



Niemcy mnie okaleczyli
Wstrząsający wywiad
z polską ofiarą pacyfikacji

Seks Czesława Miłosza
Kulisy romansów i miłości
polskiego noblisty

Pogrom we Lwowie
Kto i dlaczego mordował
Żydów na ulicach?

NR 12(82)/2019 GRUDZIEŃ 2019

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LIŚCICKIEGO

Polscy czołgiści

PANCERNA
KAWALERIA
MACZKA

9 772299 951509



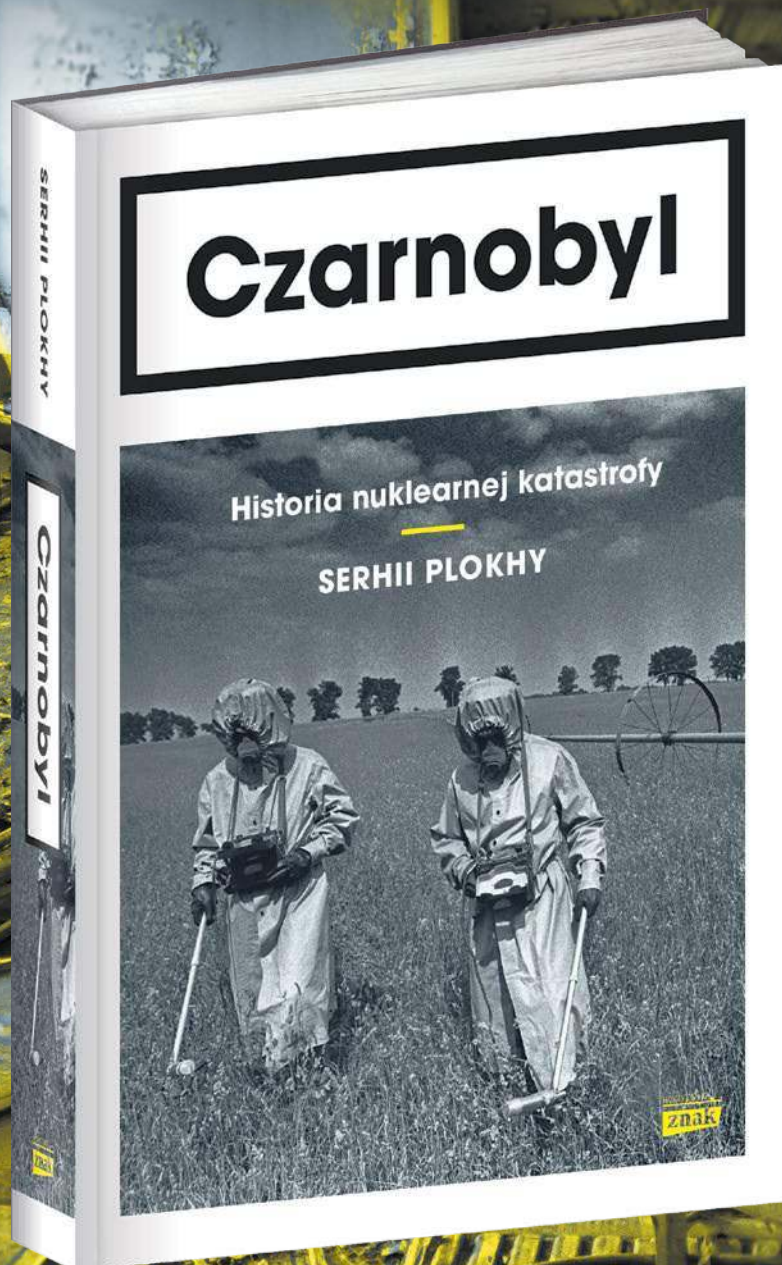
ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 996 031

12

Nowe fakty z tajnych akt KGB



Książka już w sprzedaży!

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczky**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Bianka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 21 stycznia 1935 r.

Spotkanie dzieci z weteranami w 72. rocznicę powstania styczniowego



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Tragedia wyzwolicieli

A miało być tak pięknie. Czołgiści gen. Stanisława Maczka. Spadochroniarze gen. Stanisława Sosabowskiego. Piechurzy gen. Władysława Andersa. Polscy lotnicy i polscy marynarze. Wszyscy oni żyli nadzieją, że w ostatnim akcie II wojny światowej triumfalnie przybędą do Polski. I wyzwolą swoją ojczyznę.

Dlatego tak ofiarnie przelewali krew, walcząc na wszystkich frontach ostatniego światowego konfliktu. Bili się w powietrzu, na wodzie i lądzie. Wierzyli, że każdy wystrzelony pocisk, każdy zabity niemiecki żołnierz i każdy kilometr zdobytej ziemi przybliży ich do ojczyzny. Niestety, było inaczej.

Mimo bohaterstwa i poświęcenia żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, mimo tego, że wnieśli wkład w zwycięstwo nad III Rzeszą, ich marzenia się nie ziściły. Po wojnie nasi „sojusznicy” – Wielka Brytania i USA – sprzedały Polskę Stalinowi. Bez wrzutu okiem. Bez wyrzutów sumienia. Polska została wyciśnięta jak cytryna i wyrzucona na sowietki śmietnik.

Tak, prawa, którymi rządzi się wielka międzynarodowa polityka, są bezwzględne i okrutne. Polacy przekonali się o tym najbole-

śniej. Dla naszych żołnierzy walczących na Zachodzie była to wielka życiowa tragedia. Całe ich wysiłki poszły na marne! A na sam koniec upokorzenie. Żeby nie drażnić bolszewików, nie zaproszono ich na paradę zwycięstwa.

Żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych nie dane było oswobodzić Polski, która spod okupacji brunatnej dostała się pod okupację czerwoną. Wyzwolili natomiast inne, położone setki kilometrów od domu państwa – Francję, Włochy, Belgię i Holandię.

Szczególnie w tym ostatnim kraju pamięć o polskich oswobodzicielach do dziś jest niezwykle żywa. Przekonałem się o tym, odwiedzając niedawno Królestwo Niderlandów. Gdy Holendrzy dowiadawali się, że jestem Polakiem, dziękowali mi serdecznie i wyrażali wdzięczność za bohaterstwo naszych żołnierzy z czasu II wojny światowej. Było to bardzo wzruszające.

Niespełna rok temu pisaliśmy w „Historii Do Rzeczy” o tragicznej epopei spadochroniarzy Sosabowskiego. Ten numer naszego pisma poświęcamy z kolei czołgistom Maczka. Wyzwolicielem Bredy i wielu innych miast oraz miasteczek Europy Zachodniej. Niedoświadczonym wyzwolicielem Polski. Cześć ich pamięci! ©

/ TEMAT NUMERU

.6 MACIEJ ROSALAK

Epopcja
„Czarnych
Diabłów”

.16 ALOJZY JEDAMSKI

Maczkowiec z Wehrmachtu

.20 MARCIN BARTNICKI

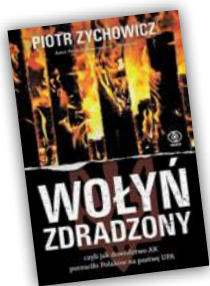
Gorzki los generała

.24 MICHAŁ MACKIEWICZ

Czołgi II RP



/ CZASY I LUDZIE



.30 AFERA WOKÓŁ KSIĄŻKI

Niebezpieczny
„Wołyń
zdradzony”

.34 TOMASZ STAŃCZYK

Polskie weto na konklawe

.38 WINICJUSZ NATONIEWSKI

Ofiara niemieckiej zbrodni:
Płonąłem jak pochodnia.42 GRZEGORZ
JANISZEWSKIStrzały w ambasadzie
w Londynie

.46 MIKOŁAJ IWANOW

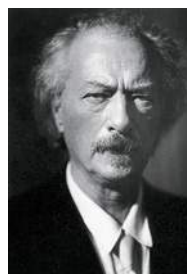
Porzuceni przez Polskę

.50 PIOTR ZYCHOWICZ

Przestroga Bocheńskiego

.54 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Bomby na Via Rasella

.58 MACIEJ ROSALAK
Projekt Stanów
Zjednoczonych
Polski.62 MAREK
GAŁĘZOWSKI
Szcześny Potocki:
wielki zdrajca

.66 SŁAWOMIR KOPER

Podboje miłosne
Czesława Miłosza

.74 JAKUB OSTROMĘCKI

Traper w paszczy niedźwiedzia



.79 PIOTR SEMKA

Sklep z lampami Honeckera

/ CO CZYTAĆ

.82 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Pięściarstwo
damskie
i męskie

/ FELIETONY

.90 PIOTR SEMKA

Egon Olsen ma
100 lat

.91 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

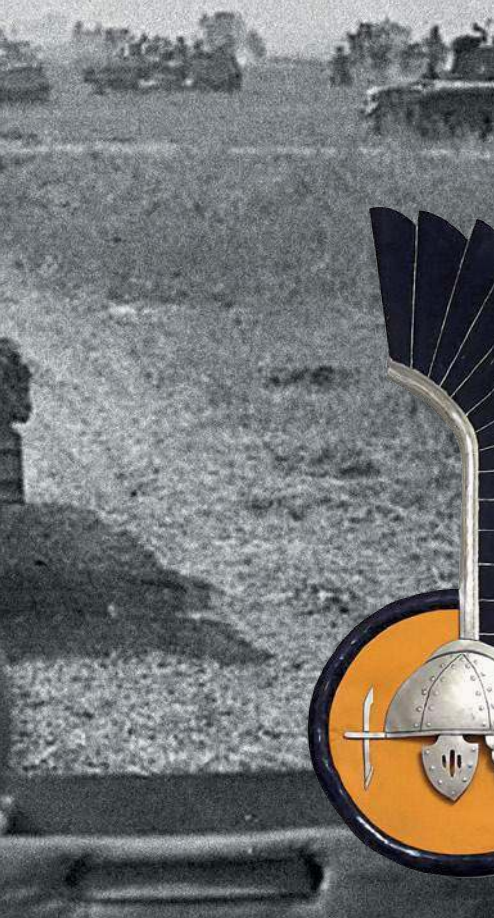
Ten pierwszy marsz

/ KRESY

.92 TOMASZ STAŃCZYK

Pogrom lwowski

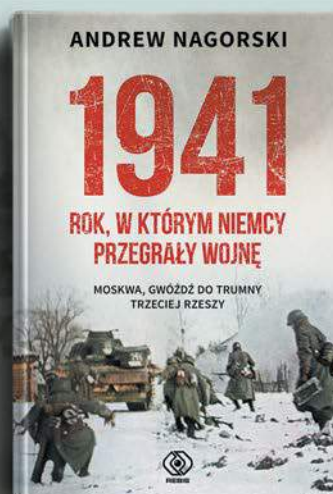




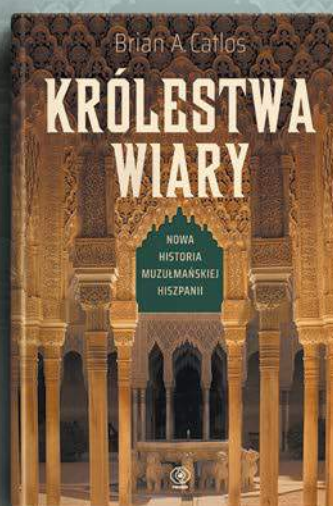
/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Wyzwolenie Bredy



Moskwa, gwóźdź do trumny Trzeciej Rzeszy



Tysiąc lat wojen, intryg, pasji religijnej i osiągnięć kulturalnych

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

General Stanisław Maczek w lewej
wieżyczce cromwella – czołgu dowodzenia
1. Dywizji Pancernej FOT. NAC



1944–1945 /

1. Dywizja Pancerna na szlaku od Falaise do Wilhelmshaven

Epopeja

„Czarnych Diabłów”



Maciej Rosalak

Byli nieustraszeni. Polscy czołgiści siali zniszczenie i przerażenie wśród Niemców. Parli do przodu jak taran, wyzwalać kolejne miasta Europy Zachodniej. Nikt nie mógł ich zatrzymać

To był wielki zwycięski marsz gen. Stanisława Maczka i „Czarnych Diabłów” – jak z respektem mówili o jego żołnierzach Niemcy. Wiódł w pobliżu atlantyckiego wybrzeża zachodniej Europy, na lewym skrzydle wojsk alianckich. Między sierpniem 1944 a majem 1945 r. polska 1. Dywizja Pancerna pokonała 1,8 tys. km i w ciągu 283 dni staczała zwycięskie boje z Niemcami we Francji, w Belgii, Holandii i III Rzeszy. Straciła ponad 5 tys. zabitych i rannych. Strat niemieckich nie udało się policzyć, ale wiadomo, że ponad 52 tys. żołnierzy Wehrmachtu dostało się do polskiej niewoli.

Przełom wiosny i lata 1944 r. przyniósł wydarzenia, które dodały otuchy podbitym narodom Europy. 4 czerwca Amerykanie wkroczyli do Rzymu, a dwa dni później rozpoczęła się największa operacja desantowa w dziejach – lądowanie w Normandii. Armia Czerwona doszła pod koniec lipca przez Białoruś i wschodnie tereny Rzeczypospolitej aż do Wisły. W sierpniu przełamany został opór niemiecki we Francji i alianci ruszyli na wschód, wywołując entuzjazm wyzwolanych Francuzów, Belgów i Holendrów. Tylko Polacy nie mieli powodów do radości. Sowietci zdradziecko wzięli żołnierzy Armii Krajowej w Wilnie i we Lwowie, a potem na Lubelszczyźnie i Podlasiu. Ogarniętą powstaniem, krwawiącą Warszawę Stalin pozostawił na łup Niemcom. A jednocześnie 2. Korpus polski po zdobyciu Monte Cassino wyzwolił Ankony i przełamał linię Gotów we Włoszech. 1. Dy-

wizja Pancerna walnie przyczyniła się do zwycięstwa pod Falaise i jak burza ruszyła przez Francję do Bredy i Gandawy. 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa krwawiła pod Arnhem.

Boje pancerno-motorowego związku taktycznego pułkownika (od listopada 1939 r. generała) Stanisława Maczka są świadectwem nieugiętej postawy polskiego żołnierza. Jego tak zasłużona we wrześniu 1939 r. 10. Brygada Kawalerii została odtworzona we Francji jako 10. Brygada Kawalerii Pancernej. Biła się dzielnie pod Champaubert, a w nocy z 16 na 17 czerwca 1940 r. zdobyła Montbard. Z braku paliwa i rychłej kapitulacji Francji nasi pancerniacy musieli zniszczyć sprzęt i przedzierać się z Francji do Anglii. Tutaj gen. Maczek potrafił zorganizować oddział jeszcze większy – całą dywizję pancerną!

Kiedy na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. 1. Dywizja Pancerna

ruszyła do Normandii, liczyła 885 oficerów i 15 210 szeregowych oraz 381 czołgów. Składała się z 10. Pułku Strzelców Konnych (rozpoznawczego), 10. Brygady Kawalerii Pancernej (1. i 2. Pułk Pancerny, 24. Pułk Ułanów, 10. Pułk Dragonów), 3. Brygady Strzelców (Batalion Strzelców Podhalańskich, 8. i 9. Batalion Strzelców, samodzielny szwadron ckm), artylerii dywizyjnej (1. i 2. Pułk Artylerii Motorowej, 1. Pułk Artylerii Przeciwpancernej i 1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej). Broń pancerną pułków 10. BKP stanowiły czołgi średnie M4A4 Sherman,

równorzędnym z niemieckimi PzKpfw III i IV, ale z za słabą armatą i opancerzeniem w boju z tygrysami i panterami. Czołgiem zwiadowczym był lekki M5A1 Stuart. Natomiast rozpoznawczy pułk strzelców konnych dysponował cromwellami IV, bardzo chwalonymi przez załogi.

Nad Grupą Armii „B” feldmarszałka von Klugego zawisła wtedy groźba unicestwienia przez zaciskające się kleszcze. Na jej lewym skrzydle amerykańska 3. Armia gen. Pattona parła już bowiem w głąb lądu, a na prawym skrzydle, w rejonie Caen, na Niemców napierała kanadyjska 1. Armia. W środku stały amerykańska 1. Armia i brytyjska 2. Armia. Na wycofanie się grupy von Klugego nie zgodził się Hitler, który nakazał kontratak i zniszczenie wysuniętej armii zuchwałego Pattona. Jednak 25 lipca dowództwo alianckie podjęło wielką operację, będącą próbą zniszczenia wojsk niemieckich. Dzień ten jest uznawany za rozpoczynający bitwę pod Falaise, choć decydujące natarcie – w którym wzięli udział Polacy – rozpoczęło się 7 sierpnia.

Falaise

Nasza 1. DPanc. wraz z kanadyjską 4. Dywizją Pancerną weszły w skład 2. Korpusu kanadyjskiego gen. Guya Simmondsa. W ramach nakreślonej przez dowódcę brytyjskiej 21. Grupy Armii – marsz. Bernarda Montgomery’ego – operacji „Totalize” to właśnie 2. Korpus miał odegrać kluczową rolę „korka od butelki”. W „butelce” znajdowały się osaczone wojska niemieckie, a „korek” miał zatkać wyjście z niej w rejonie Falaise.

Zadanie okazało się nader trudne i kosztowało wiele ofiar (zwiększonych zresztą przez... amerykańskie lotnictwo, które dwukrotnie zbombardowało znajdujących się na pozycjach wyjściowych do ataku Kanadyjczyków, Polaków i Brytyjczyków!). Nasze oddziały walczyły ze zdeterminowanymi, a przy tym świetnie uzbrojonymi Niemcami, którzy na ogół przewyższali Polaków i Kanadyjczyków siłą ognia, liczebnością, a wreszcie doświadczeniem. W 2. Korpus „walili” podczas trwających dwa tygodnie walk dwie dywizje piechoty oraz 12. Dywizja Pancerna SS gen. Kurta Meyera. Dysponował on np. 39 czołgami PzKpfw IV i ośmioma niemal niezniszczalnymi





Mieszkancki Bredy witają polskich
wyzwolicielei FOT. WIKIPEDIA

dla naszych czołgów tygrysami oraz 27 niszczycielami czołgów Jagdpanzer IV. Na odcinku natarcia 2. Korpusu znajdowało się ok. 100 śmiertelnie skutecznych w ogniu przeciwpancernym dział kalibru 88 mm, a także 75 mm.

Warto zauważyć, że tygrysami ze 101. Batalionu Ciężkich Czołgów SS dowodził najsukcesyjniejszy czołgista hitlerowski kpt. Michael Wittmann. Na froncie wschodnim zniszczył on 119 czołgów sowieckich, a na zachodnim zdążył już unicestwić kilkadziesiąt alianckich. Słynny był jego wyczyn pod Villers-Bocage, gdzie sam jeden rozbił kolumnę brytyjskiej 7. Dywizji Pancerniej, niszcząc 25 czołgów i pojazdów opancerzonych! Jego to właśnie rozbitego tygrysa i spalone zwłoki znaleziono podczas pierwszych bojów pod Falaise na przedpolu 24. Pułku Ułanów, aczkolwiek położenie Wittmanna trupem starają się też udowodnić inni...

Zmagania w bitwie pod Falaise dzieli się na trzy fazy. W pierwszej, która trwała do 15 sierpnia, próbowano przełamać obronę niemiecką wzdłuż szosy Caen-Falaise. Polacy z 10. Brygady Kawalerii Pancerniej atakowali początkowo z nadmiernej brawurą, co przypłaciли dotkliwymi stratami. Dowódca 2. Pułku Pancernego ppłk Stanisław Koszutski wspominał: „Pierwsze pociski nieprzyjaciela szczerbią pierwszą linię czołgów. Wkrótce pali się, strzelając rakietami amunicji, cała pierwsza linia. Dowódca szwadronu ma jeden rozkaz – naprzód. Szarżuje druga linia – wchodzi na niemiecką linię, rozjeżdżając jej działa – ginie jednak tak jak pierwsza rozbita pociskami... Strzela ogień z trafionych czołgów. Ludzie wyskakują z płonących czeluści. Żywi wyciągają rannych. Palą się na nich kombinezony jak pochodnie. Biegają tak długo, aż nie zostaną skoszeni serią

z niemieckiego karabinu maszynowego. Buchają płomienie również z trzech czy czterech czołgów niemieckich, widocznie trafionych albo granatami 3. Szwadronu, albo jakimś cudem z ppanców 2. Szwadronu”. Polacy stracili podczas tej akcji aż 26 maszyn.

15 sierpnia zdobyto przyczółek nad rzeką Dives i następnego dnia oddziały 10. Brygady Kawalerii Pancerniej oraz 3. Brygady Strzelców rozpoczęły natarcie w kierunku miasta Trun, a następnie na Chambois. Jednak 18 sierpnia wspomniane (drugie już) bombardowanie sojuszniczego lotnictwa tak zniszczyło okolice Chambois, że uniemożliwiło sprawne pokonywanie terenu polskim jednostkom. Do 19 sierpnia Polacy zdobyli wzgórze Mont Ormel, które nazwano (dla jego kształtu) „Maczugą”, oraz Chambois. Niemcy zostali otoczeni między rzekami Orne i Dives, w kotle o wymiarach 10 na 12 km, mając tylko bardzo wąskie przejście między pozycjami aliantów.

Jak wspominał por. Jacek Bartel: „Załogi nie mogą uwierzyć własnym oczom, bowiem w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów, w małym wykopie biegnie droga, zapchana, wóz przy wozie... Pierwszy otwiera ogień 2. Szwadron, znajdujący się najbliżej, bo około 40 metrów od kolumny. Skuteczny ogień niszczy grupę samochodów pancernych, które tarasują drogę następnym pojazdom. Zaskoczenie było tak wielkie, że dwie pantery, które nie zdążyły przyjąć walki, zostają natychmiast zniszczone”.

Polacy rozbili niemiecką kolumnę i zajęli pozycje na północnym wierzchołku wzgórza 262. Nie udało się natomiast opanować południowego wierzchołka. Siły 1. Dywizji Pancerniej były zbyt szczupłe, aby szczelnie zamknąć „butelkę” Falaise.

Od 19 do 22 sierpnia polska dywizja broniła się przed silnymi atakami

Niemców na dwóch odosobnionych, okrążonych pozycjach: Mont Ormel i Chambois. Niemcy podejmowali desperackie, nadzwyczaj groźne próby przerwania okrążenia. Ich fale rosły, bo ciągle nadchodziły kolejne wojska von Klugego. Aby zamknąć wyjście z kotła, dowódcy obu naszych pułków pancernych postanowili opanować kolejne wzgórze.

Porucznik Bartel wspominał: „Wychodzi szwadron 2. Pułku... nie doszedł na miejsce przeznaczenia, wklajając się w walkę ogniową z działem ppanc. Po upływie mniej więcej 20 minut 3. Szwadron wysunięty daleko na »Łysym« wzgórzu otrzymuje ogień z dział 88 mm, z prawego skrzydła, z rejonu wzgórza 239, tracąc w parę minut pięć czołgów”.

Napór Niemców rósł z godziny na godzinę i sytuacja Polaków broniących północnego wierzchołka „Maczugi” stawała się dramatyczna. W rezultacie – ponieważ alianci, zamiast zniszczyć żywe siły wroga, zainteresowali się jak najszybszym zajęciem Paryża – wielu oddziałom niemieckim udało się ująć. Jedynie wsparcie Kanadyjczyków, które w końcu nadeszło, uchroniło naszą dywizję przed jeszcze większymi stratami i doprowadziło do szczelniejszego zamknięcia kotła pod Falaise.

1. Dywizja Pancerna straciła w walkach w Normandii 325 zabitych, 1002 rannych oraz 114 zaginionych. Stanowiło to 10 proc. stanu ogólnego dywizji, a 20 proc. stanu oddziałów liniowych. Zniszczeniu uległo ok. 80 czołgów. Był to nader krwawy chrzest bojowy. Dywizja wzięła natomiast 5113 jeńców, zniszczyła 55 czołgów, 44 działa polowe, 38 samochodów pancernych i 207 pojazdów mechanicznych wroga. W ogólnym rozrachunku bitwa została wygrana, ale główne zadanie strategiczne, a więc szczelne zamknięcie jednostek niemieckich w kotle i ich wyeliminowanie, nie w pełni zostało wykonane.

Gandawa i Breda

Montgomery ocenił debiut bojowy jednostki Maczka przychylnie, zapewne po to, by ukryć własne błędy. Wysłał Polaków i Kanadyjczyków na nierówny bój, nie znając przewagi liczebnej Niemców i nie orientując się w sytuacji na polu walki. Działania Montgomery'ego w Europie Zachodniej w 1944 r. spotyka-

ją się z krytyką historyków wojskowości. Należy do nich właśnie operacja „Totalize”, ale miesiąc wcześniej skompromitował się operacją „Goodwood” pod Caen, a miesiąc później – jeszcze bardziej – operacją „Market Garden”. Wyniki były opłakane, a straty nazbyt krwawe. Pułkownik Franciszek Skibiński opisywał (w „Pierwszej Pancernej”) odprawę z jego udziałem, podczas której „Monty” w ogóle nie brał pod uwagę osłony skrzydeł oddziałów wysyłanych do natarcia...

Na szczęście w dalszych działaniach Polacy mogli liczyć na dowódcę 2. Korpusu Kanadyjskiego – w którego skład 1. Dywizja Pancerna weszła obok kanadyjskich dwóch dywizji piechoty oraz dywizji i brygady pancerniej – gen. Simmondsa. Maczek pisał o nim w samych superlatywach jako o żołnierzu i człowieku. Poza tym i Polacy, i Kanadyjczycy podczas lekcji Falaise nauczyli się walczyć z Niemcami, wykorzystując przy tym bezlitośnie coraz większą przewagę ognia artylerii i czołgów. Mimo terenu przecinanego licznymi rzekami i kanałami osiągnęli niemal zawsze wytyczone cele.

Po bitwie pod Falaise Niemcy cofnęli się aż po brzeg Skaldy. Do pościgu wojsk alianckich – jako samodzielna kolumna – dołączyła 1. Dywizja Pancerna, która 31 sierpnia przekroczyła Sekwanę po moście „Warszawa” zbudowanym przez polskich saperów. W ciągu dziewięciu dni pokonała odległość 400 km, staczając liczne walki z cofającym się nieprzyjacielem i opanowując kolejne miasta.

Po ciężkich walkach rankiem 3 września Batalion Strzelców Podhalańskich wkroczył do Abbeville, niedaleko ujścia Sommy do kanału La Manche. Zdobyte tej miejscowości przez Niemców w 1940 r. zamknęło aliantów w matni Dunkierki. 5 września oddziały gen. Maczka przekroczyły granicę francusko-belgijską. 10. Pułk Strzelców Konnych rozbił niemiecką dywizję piechoty, a 3. Brygada Strzelców zdobyła Ypres – miasto znane z najbardziej krwawych bitew I wojny światowej. 8 września, po okrążeniu Niemców i z pomocą belgijskiego ruchu oporu, wyzwolono Tiel. W Ruiselede Niemcy bronili się zaciekle. Gdy walki przedłużały się, gen. Maczek tak przegrupował siły, że Niemcy po ciężkich stratach zostali zmuszeni do odwrotu.

Nasi pancerniacy, entuzjastycznie, niezwykle serdecznie witani przez Belgów i Holendrów, starali się przy tym

chronić mieszkańców. „Myśmy oszczędzali miasta, nie robiliśmy szkód, myśmy się nie zachowywali jak Niemcy czy inni barbarzyńcy. Tylko nasz żołnierz był od razu przyjacielem i na rękach noszonym wybawcą. Szybkość i zaskoczenie są tymi elementami, dzięki którym można o wiele więcej zdziałać niż wielką ilością bombardowań, użytej amunicji i nagromadzonego sprzętu” – stwierdził gen. Maczek.

Przeszkodą nie do sforsowania okazał się Kanał Gandawski broniony przez LXVII Korpus Wehrmachtu, a zaatakowany przez oddział pod dowództwem ppłk. Stanisława Koszutskiego. Batalion Strzelców Podhalańskich poniósł tak niepokojąco wysokie straty przy forsowaniu pierwszej odnogi kanału, że żołnierzy trzeba było wycofać. Nie chcąc narażać 1. Dywizji Pancerniej na dalsze niepotrzebne straty, 10 września

dowódca korpusu kanadyjskiego nakazał przerwanie pokonywania tej przeszkody wodnej i skierował Polaków w rejon Gandawy.

Południowa część miasta była już w tym czasie opanowana przez jednostki brytyjskiej 2. Armii, ale północną wciąż obsadzali Niemcy, którzy kierowali na inne obszary ogień ciężkiej artylerii. Kilka dni walczyła na ulicach Gandawy 3. Brygada Strzelców, wspierana przez belgijski ruch oporu i mieszkańców, aż Niemcy wycofali się. W Belgii żołnierze polscy wyzwolili Gandawę, Lokeren i Saint Nicholas, wszędzie witani przez ludność z ogromnym entuzjazmem. 16 września 3. Brygada Strzelców przekroczyła granicę holenderską.

Na pograniczu Belgii i Holandii gen. Maczek otrzymał zadanie oczyszczenia z oddziałów niemieckich rejonu Antwerpii. Pod Alphen oddziały polskie





Zniszczony sprzęt niemiecki pod Falaise FOT. WIKIPEDIA

■ przez trzy tygodnie były się z powodzeniem o utrzymanie terenu. Potem dywizji powierzono odcięcie nieprzyjacielowi drogi odwrotu z Tilburga do Bredy i opasanie mostów w rejonie Moerdijk.

„Perła Brabancji” – Breda, położona w południowo-zachodniej Holandii – była ważnym portem śródlądowym przy ujściu rzeki Mark i Aa do Kanału Wilhelminy. Od 28 do 30 października 1944 r. 1. Dywizja Pancerna walczyła tu z siłami trzech dywizji piechoty Wehrmachtu (256., 711. i 719.). Rankiem 28 października oddziały polskie zaatakowały stanowiska nieprzyjaciela wokół Bredy jednocześnie z dwóch kierunków. 10. Brygada Kawalerii Pancernej, którą dowodził płk dypl. Tadeusz Majewski, obeszła miasto od wschodu i północy, dążąc do odcięcia jego załogi od Kanału Wilhelminy i rzeki Mark, a 3. Brygada Strzelców pod dowództwem płk. dypl. Franciszka Skibińskiego uderzyła na Bredę od południa, aby zająć miasto i uchwycić przeprawy na rzece Mark. 29 października około południa 3. Brygada Strzelców wsparta 2. Pułkiem Pancernym wkroczyła od południa na przedmieścia Bredy. Rankiem następnego dnia zgrupowanie złożone z części 1. Pułku Pancernego oraz 10. Pułku Dragonów weszło do miasta od północy. W tej sytuacji Niemcy wycofali się, niszcząc po drodze most na Mark.

Manewr oskrzydlenia nieprzyjaciela oraz uderzenia z niespodziewanej strony stał się źródłem wspianego polskiego sukcesu. Nie dość, że 29 paź-

dziernika po dwudniowych walkach Bredę zdobyto, a opór rozbitych oddziałów niemieckich został ostatecznie złamany 30 października, to jeszcze cel osiągnięto bez strat wśród ludności cywilnej. W wyzwolonej Bredzie zapanowała ogromna radość. Żołnierze 1. Dywizji Pancernej stali się bohaterami. 11 listopada 1944 r. rada miejska przyznała gen. Maczkowi i jego podkomendnym honorowe obywatelstwo miasta. Wśród mieszkańców Bredy polscy żołnierze znaleźli oddanych przyjaciół, a po zakończeniu wojny wielu z nich założyło tu rodziny.

Walki o Moerdijk trwały od 3 do 9 listopada, gdyż trudny teren uniemożliwiał szybki i skuteczny atak. Artyleria musiała niszczyć niemieckie umocnienia, aby stały się możliwe do przejścia przez czołgi. 20 dywizjonów artylerii z 1. Armii Kanadyjskiej wsparło wówczas działa artylerii dywizyjnej i czołgów w wyrąba-

niu przejścia. Ci z naszych pancerniaków, którzy pamiętali Wrzesień '39, mieli satysfakcję z dysponowania bronią silniejszą od niemieckiej. Po sześciu dniach i silnym ataku 1. Dywizji Niemcy skapitulowali. Polacy nacierali dalej i po ciężkich walkach osiągnęli brzeg Mozy. W bojach na terenie Holandii dywizja straciła 84 oficerów i 1,3 tys. szeregowych poległych, rannych i zaginionych.

Następnie Polacy przeszli do obrony nad Mozą – aż do 7 kwietnia 1945 r.

Wilhelmshaven

W kwietniu 1945 r. polska dywizja pancerna – nadal w składzie kanadyjskiego 2. Korpusu – znalazła się na granicy holendersko-niemieckiej. Pierwszym celem było sforsowanie kanału Kusten. Po pięciodniowych walkach w bardzo trudnym terenie udało się przełamać obronę niemiecką. W miarę posuwania się w głąb terytorium wroga opór nieprzyjaciela tężał. Zamiast entuzjazmu Belgów i Holendrów pancerniacy polscy spotykali się z wrogością i histerycznym strachem Niemców, których hitlerowska propaganda karmiła kłamstwami o okrucieństwie polskich „Czarnych Diabłów”. Na ich szlaku znalazł się obóz jeniecki w Oberlangen, gdzie przebywały wywiezione po powstaniu warszawskim kobiety – żołnierze Armii Krajowej. Obóz wyzwolił patrol 2. Pułku Pancernego (patrz obok: „Koleżanki, jestem Polakiem!”).



M4A4 Sherman – podstawowy czołg na uzbrojeniu 1. Dywizji Pancernej

FOT. ARCHIWUM

Prawdziwe kłopoty sprawiała aura tej wiosny. „Nie byłoby przesadą określić, że topiliśmy się w błocie, szczególnie czołgi i działa samobieżne, zrywające gąsienicami cienką warstwę torfu i zagłębiające się w ciemną maź błota. Rzeka Leda okazała się rzeką bardziej bagnistą niż jakakolwiek na naszym Polesiu, a teren przed i za rzeką tak podmokły i poprzerynany kanałami, że już nie tylko mosty, ale drogi i dojścia trzeba było budować, by iść naprzód” – pisał gen. Maczek. Mimo to sforsowano Ledę oraz zdobyto Aschendorf, Tunxdorf, Papenburg, Colinghorst i Posthausen.

4 maja 1. Dywizja Pancerna rozpoczęła przełamywanie obrony niemieckiej w rejonie portu Wilhelmshaven, gdzie mieściła się potężna baza Kriegsmarine. „W miarę zbliżania się dywizji do Wilhelmshaven obrona niemiecka, złożona z mieszanych oddziałów marynarki wojennej, formacji spadochronowych i SS, staje się coraz twardszą” – zanotował dowódca 1. Dywizji Pancernej.

5 maja Niemcy skapitulowali, a 6 maja do miasta wkroczyły 2. Pułk Pancerny mjr. Michała Gutowskiego i 8. Batalion Strzelców Brabanckich ppłk. Aleksandra Nowaczyńskiego. Kapitulację niemieckiej załogi przyjął zastępca dowódcy 10. BKP płk dypl. Antoni Grudziński. Podały się dowództwa: twierdzy i bazy marynarki wojennej, floty „Ostfriesland”, 10. Dywizji Piechoty i jednostek artylerii. Wśród wziętych do niewoli 1,9 tys. oficerów i 32 tys. żołnierzy było dwóch admirałów oraz generał. Zdobycz objęła: trzy krążowniki, 18 okrętów podwodnych, 205 mniejszych jednostek, 94 działa forteczne, 159 dział polowych, 560 ckm, 379 lkm, 40 tys. karabinów, 280 tys. pocisków artyleryjskich, 64 mln amunicji do broni ręcznej, składy licznych min i torped oraz zapasy żywności dla 50 tys. żołnierzy na trzy miesiące.

„A gdyśmy weszli do Wilhelmshaven – napisał gen. Maczek (»Od podwoły do czołga«) – na łuku bramy portowej przywitał nas orzeł polski, zdjęty w 1939 r. z budynku Dowództwa Floty w Gdyni. Został on jako łup zawieziony przez Niemców do Wilhelmshaven, tej kolebki niemieckiej marynarki wojennej. Odzyskanego orła polskiego wręczyliśmy przedstawicielom polskiej marynarki wojennej wraz ze zdjętym ze szczytu orłem niemieckim – na wieczną rzecz pamiątkę”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koleżanki, jestem Polakiem!



Maciej Rosalak

To było jak w bajce. Oto uwięzione za obronę słusznej sprawy siostry ratują bracia nadjeżdżający z końca świata na stalowych rumakach. Dowódca 2. Pułku Pancernego 1. Dywizji Pancernej – ppłk Stanisław Koszutski – kiedy tylko dowiedział się od Holendrów, że po niemieckiej stronie granicy znajduje się obóz jeniecki z polskimi kobietami, ruszył tam czołgiem, mając jeszcze dwa transportery opancerzone oraz kilku żołnierzy na jeepach i motocyklach. Czekala ich wyjątkowa chwila: polscy żołnierze, nareszcie zwycięscy i zbrojni nie gorzej od Niemców, wyzwolili z niemieckiej niewoli polskie dziewczęta – będące również żołnierzami, heroicznie walczącymi przed rokiem w powstaniu warszawskim! Jakby Opatrzność postawiła na drodze pancerniaków obóz w Oberlangen, aby dać Polkom i Polakom chwilę radości w pojałtańskim świecie, gdy ich przyszłość była tak niepewna...

„Tego dnia usłyszałem, że jedziemy wyzwolić jakiś obóz, w którym znajdują się Polki z Warszawy. Pojechałem swoim jeepem na końcu kolumny. Z daleka widziałem druty i wieżeczki obozu. Kiedy podjechaliśmy, wywiązała się strzelanina ze strażnikami. W pewnym momencie czołg wjechał wprost na bramę obozu, a ja swoim jeepem skręciłem w prawo. Mój kolega, bardzo odważny człowiek, wyskoczył z samochodu z karabinem w rękę. On pierwszy przedostał się przez druty” – wspominał por. Zbigniew Kozak, oficer 2. Pułku Pancernego.

Załoga nie stawiała dłuższego oporu i po polskiej stronie obeszło się bez strat. Kobiety były uradowane, ale i zaskoczone. „Siedziałam z przyjaciółką przed barakiem, kiedy przybiegły rozszalałe dziewczyny, krzycząc, że wyzwolili nas Polacy. Pomyslałyśmy, że zwariowały” – mówiła jedna z więźniarek. Inna wspominała: „Rozjechano bramę obozu. Przyznam, że inaczej wyobrażałyśmy sobie polskiego oficera. Myślałyśmy, że to wyprostowany mężczyzna w rogatywce na głowie i w sztywnym kołnierzu. Tymczasem podjechał do nas motocyklista w berecie. Wydawało się nam, że to cudzoziemiec, i zwracaliśmy się do niego w językach obcych, kiedy on nagle powiedział: »Koleżanki, jestem Polakiem« i się popłakał”.

Dziewczęta z Armii Krajowej – głównie sanitariuszki i łączniczki – stanęły w karnych szeregach. „Stan 1716 żołnierzy na placu, 20 w izbie chorych i 7 niemowląt” – brzmiał meldunek złożony przez komendantkę obozu por. Marię Irenę Mileską „Jagę”. Dowódca zapamiętał: „Na żadnym przeglądzie nie śledziły mnie tak oczy żołnierzy ani ja tak w żołnierskie oczy nie patrzyłem. Oczy są przeważnie niebieskie i przeważnie bardzo młode. Przeważnie we łzach. Ja też już dobrze nie widzę, trochę jak przez mgłę”. Powiedział: „Żołnierze, to historyczny moment spotkania na ziemi niemieckiej dwóch Polskich Sił Zbrojnych. Dzień ten niech zostanie na zawsze w Waszej Pamięci jako ukoronowanie dążeń i trudów. Niech żyje Polska!”. © ©



Breda pamięta o Polakach

/ Holendrzy po królewsku przyjęli ostatnich żyjących maczkowców na uroczystościach 75. rocznicy wyzwolenia Bredy

Nigdy nie zapomnimy, że swoją wolność zawdzięczamy żołnierzom 1. Polskiej Dywizji Pancernej pod dowództwem gen. Stanisława Maczka. Dbamy o ich dziedzictwo w miejscu pamięci gen. Maczka w Ettensebaan, które zostanie otwarte za kilka miesięcy – powiedział burmistrz miasta Paul Depla. Celebracja rozpoczęła się od uroczystej mszy

świętej w kościele pw. św. Wawrzyńca w Bredzie.

Uczestnicy uroczystości odwiedzili również Polski Honorowy Cmentarz Wojskowy w Bredzie, gdzie leży ponad 160 poległych żołnierzy 1. Dywizji Pancernej oraz zmarły w 1994 r. gen. Stanisław Maczek. Salwę honorową ku pamięci poległych polskich żołnierzy oddał pododdział 10. Brygady Kawalerii

Pancernej imienia gen. Maczka w Świątoszowie.

Wielką atrakcją był przejazd pojazdów z czasów II wojny światowej po głównym rynku miasta. Na czele kolumny, w amerykańskim jeepie z tamtego okresu, jechał kpt. Edmund Semrau – w 1944 r. żołnierz 2. Szwadronu 1. Pułku Pancernej – co wywołało niekończącą się owację tłumów.

W uroczystościach rocznicowych w Bredzie po raz pierwszy uczestniczyli również Polki, które „maczkowcy” wyzwolili 12 kwietnia 1945 r. z obozu w Oberlangen. ©©

(p.w.)



Polscy weterani podczas uroczystości rocznicowych w Bredzie

FOT. ANDRZEJ LANGE/PAP

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB
REPRJESJONOWANYCH



Holendrzy tłumnie uczestniczyli w uroczystości

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRJESJONOWANYCH



W uroczystości rocznicowe zaangażowała się grupa rekonstrukcyjna FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH



Prezydent Andrzej Duda w rozmowie z kombatantem

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH



Polski cmentarz wojenny w Bredzie

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

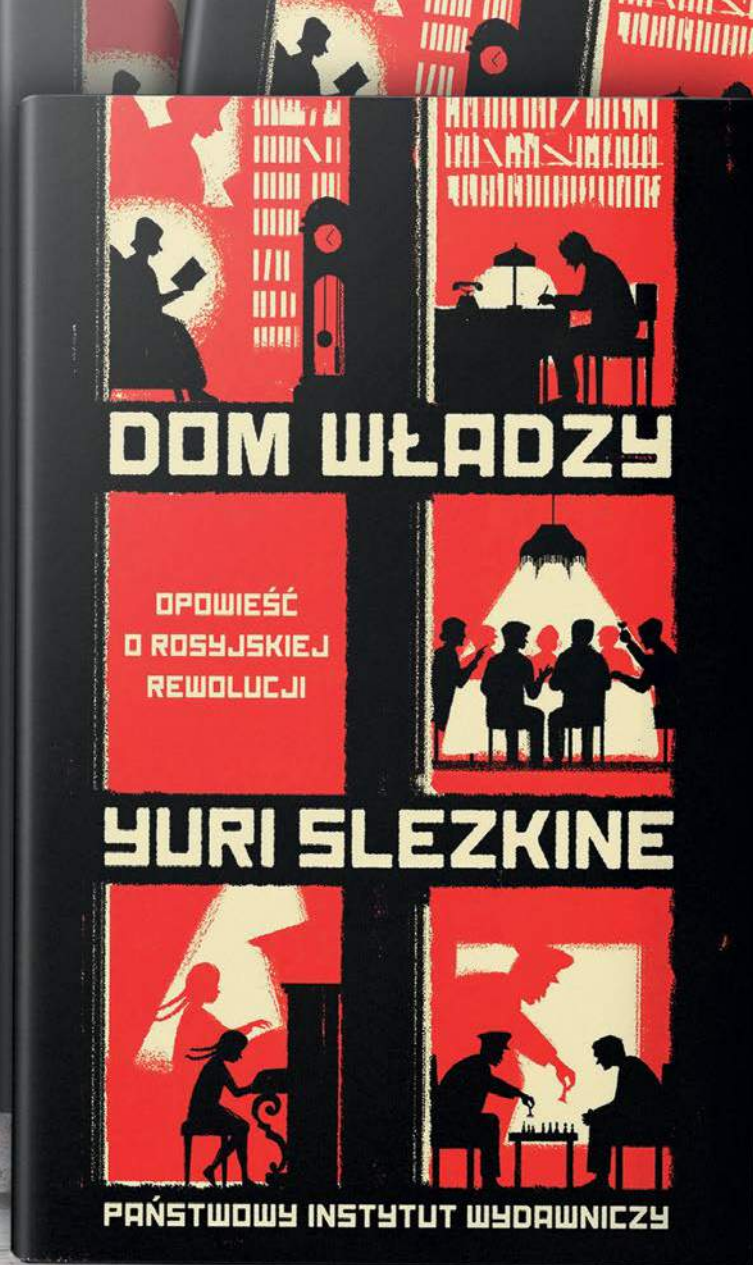


Oprawa stadionowa w Bredzie z podziękowaniami dla polskich żołnierzy FOT. EAST NEWS



Kombatant przy grobie kolegi

FOT. URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH



ŚWIATOWY BESTSELLER JUŻ W POLSCE

Znakomita wiwisekcja sowieckiego reżimu ukazana przez pryzmat losów lokatorów „Domu władzy” – budynku, w którym mieszkali przedstawiciele najwyższych władz partii. Kariery, dramaty rodzinne, aresztowania, łagry, kary śmierci. A jednak bolszewicy to też ludzie...

Pierwsze polskie wydanie książki, która zachwyciła recenzentów „The New Yorker”, „The Washington Times”, „London Review of Books” czy „The Guardian”.



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Książka dostępna na piw.pl

oraz w księgarni Państwowego Instytutu Wydawniczego na ul. Foksal 17 w Warszawie.

eprasa.pl bb49dfe036

/ Dwa pociski przeleciały koło mnie, tylko iskry za nimi szły. Wraz z nimi całe życie przeszło mi przed oczami. Już myślałem, że po mnie

PIOTR WŁOCZYK: Pięknie was – weteranów 1. Dywizji Pancernej – przywitali Holendrzy w 75. rocznicę wyzwolenia Bredy.

POR. ALOJZY JEDAMSKI: W tym roku było wyjątkowo hucznie, ale Holendrzy zawsze są dla nas wyjątkowo mili. Straciliśmy tam wielu chłopaków i oni pamiętają o naszym poświęceniu. Chociaż kolejnych rocznic nie da się oczywiście porównać do tego, jak nas obściskiwali, kiedy wyzwoliliśmy to miasto. Szczególnie płęć piękna!

Służył pan u gen. Maczka w zwiadzie, więc musiał być pan jednym z pierwszych żołnierzy, którzy wkroczyli do tego miasta...

Do Bredy faktycznie wkroczyłem jako jeden z pierwszych. Teraz, gdy tam byliśmy, chciałem pokazać, w którym miejscu wjechaliśmy do miasta, ale to wszystko się niesamowicie pozmieniało. Ciężko było to wszystko rozpoznać, ale jednak byłem w stanie pokazać, gdzie na „powitanie” niemiecki żołnierz strzelił w naszym kierunku z panzerschrecka. Niemiec ukrył się w ogrodzie przy ulicy. Z bardzo bliska wystrzelił, nie dalej niż z 20 metrów. Ja jechałem pierwszym carriersem, który wjechał do Bredy. To były pojazdy gąsienicowe, które tylko z boku były obudowane pancernem, natomiast od góry były zupełnie otwarte. Były szybkie i zwrotne, ale niestety nie dawały dużej ochrony. Byliśmy wtedy w Bredzie wystawieni jak kaczki na odstrzał. Niemiec trafił jednak w czołg, który jechał tuż za nami. Jego kierowca zginął na miejscu. Dwa pociski przeleciały wtedy koło mnie, tylko iskry za nimi szły. Wraz z nimi całe życie przeleciało mi przed oczami. Już myślałem, że po mnie.

Zwiad to zazwyczaj jeden z najbardziej niebezpiecznych odcinków żołnierskiej służby. Jak to wyglądało w pańskim oddziale?

U gen. Maczka przypadła mi służba w 10. Pułku Dragonów w specjalnym plutonie rozpoznawczym. Pełen stan



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Żołnierz / Z por. Alojzym Jedamskim, weteranem 1. Dywizji Pancernej



rozmawia Piotr Włoczyk

Maczkowiec z Wehrmachtu

mojego plutonu to było 10 carriersów, czyli 40 żołnierzy. Straty mieliśmy jednak tak potężne, że gdy odchodziłem ranny po raz pierwszy, pluton liczył już tylko 13 żołnierzy. Jednak tak już jest z oddziałami rozpoznawczymi. Bez naszej roboty 1. Dywizja Pancerna nie ruszała się z miejsca. Zawsze byliśmy na przodzie i jako pierwsi trafialiśmy na Niemców. To się wiązało z wielkim niebezpieczeństwem. Raz, gdy poszliśmy w 17 na patrol, tylko ośmiu z nas wróciło całych. Wpadliśmy pod ciężki ogień i jeden zginął na miejscu, a ośmiu zostało bardzo ciężko rannych...

Kiedy został pan ranny po raz pierwszy?

To było tuż po wyzwoleniu Bredy. Poruszaliśmy się na północ, w kierunku Moerdijk. 4 listopada rano szliśmy zrobić rozpoznanie. Było nas sześciu. Podeszliśmy pod kościół w Moerdijk. Okazało się, że w kościele śpi pełno Niemców! Kapral Marcinkiewicz powiedział, że nie możemy się już cofnąć... Już mieliśmy wchodzić do kościoła – ja miałem ubezpieczać z lewej strony – żeby zaskoczyć śpiących i wziąć ich do niewoli, kiedy nagle artyleria zaczęła strzelać w kościół!

Od wybuchów zrobiło się ciemno, a to był przecież poranek. Sufit świątyni zaczął się walić na Niemców. Ci, którzy zdążyli się poderwać, wybiegali z kościoła. Zrobił się jeden wielki lament i krzyk. Między kolejnymi wybuchami słyszeliśmy tylko „Hilfe!”. Mnie poddało się trzech Niemców. W tym momencie w mur, przy którym stałem, uderzył pocisk... Na szczęście tak upadłem, że zauważył mnie kpr. Marcinkiewicz. Ściągnął mnie do siebie i zaczął opatrywać. Gdybym upadł trochę inaczej i leżał za załomem muru, toby mnie nie zauważył i na pewno bym się wykrwawił – dostałem odłamkiem w głowę i w nogę. Nie wiem, co się stało z tymi Niemcami, ale myślę, że było z nimi dużo gorzej niż ze mną. Pocisk uderzył przecież bliżej nich niż mnie. Nawiasem mówiąc, ten kościół zawalił się kompletnie i Holendrzy już go nie odbudowali po wojnie.

Jak źle było z panem?

Leżałem w szpitalu od 4 listopada do 4 lutego. Trzy miesiące wychodziłem z tych obrażeń. Było ze mną bardzo krucho, bo nawet chcieli mi nogę amputować! Strasznie była poszarpana. Jednak jakoś udało się ją uratować.

Tamten dzień w Moerdijk okazał się dla mnie bardzo nieprzyjemny, ale jeszcze wcześniej wojna mogła się wydawać momentami wręcz... komiczna. Byłem bowiem świadkiem bardzo niecodziennej strzelaniny.

Co to znaczy „niecodzienna strzelanina”?

3 listopada bardzo późnym wieczorem mój bezpośredni przełożony rozkazał mi – pełniłem wtedy funkcję gońca – jechać do dowódcy pułku, mjr. Uścińskiego. Pojechałem z kierowcą Anuszkiewiczem i jeszcze jednym kolegą – Barczakiem. Zameldowaliśmy się u dowódcy. Pozwolił nam przenocować w domu, który zajmował. W kuchni, która nam przypadła, nie było wygodnie, więc poszliśmy po słomę do stodoły. Nie mieliśmy latarki, więc sięgamy po zapalki.

Odpalamy pierwszą i... nie możemy uwierzyć własnym oczom! Niemcy! W środku byli niemieccy żołnierze! Barczak wyszarpnął pistolet i strzelił prosto przed siebie na oślep. Okazało się, że trafił jednego z żołnierzy prosto w palcucha od stopy. Stodołę wstrząsnął ryk rannego... Niemcy – było ich ośmiu – nie

mieli na szczęście ochoty walczyć. Nasze plany odnośnie do przespania nocy legły w gruzach. Musieliśmy pilnować do rana naszych jeńców, żeby dowódca pułku mógł się bezpiecznie wyspać. Znałem niemiecki, więc wyłapałem z ich rozmowy, jak oskarżali się wzajemnie o zrobienie tego błędu – po ciężkiej strzelaninie zgubili się w terenie i postanowili schronić się na noc w pierwszej lepszej stodole, choć front był przecież tuż obok.

Za pierwszym razem wysłał pana do szpitala pocisk artyleryjski. Co się stało za drugim razem?

Wpadłem w niemiecką pułapkę. Doszło do tego 21 kwietnia w okolicy Groningen na samej północy Holandii. Stamtąd było już bardzo blisko do Wilhelmshaven, gdzie 1. Dywizja Pancerna zakończyła swój szlak bojowy. To się zdarzyło w nocy. Szedłem akurat rowem na stanowisko, tzw. czujkę. Niemcy ustawili na mojej drodze pułapkę. Dotknąłem kolaniem drutu, który połączony był z ładunkiem wybuchowym umieszczonym w puszcze.

Co to był za materiał?

Fosfor. Coś strasznego. Zostałem ranny w nogę, a także w rękę i twarz.

Gdyby kolega za mną nie szedł, tobym się spalił. Momentalnie cały stanąłem w płomieniach. Kolega mnie gasił i chyba tylko dzięki niemu żyję. W prawej ręce miałem stena, a przez lewą miałem przerzucony koc, na którym chciałem się położyć. Ten koc uratował mi oczy, bo zasłoniłem nim twarz.

Czyli koniec wojny zastał pana w szpitalu? Niewesołe warunki do świętowania...

Tak, leżałem wtedy w szpitalu w Ostendzie. Pełno było tam rannych Anglików. 8 maja przyszła siostra i powiedziała: „How are you, Polski?”. Podsunęła mi kule, żebym zszedł na dół. Powiedziała po angielsku: „Król przemawia, wojna skończona!”. Anglicy wiwatowali, całowali się. Ja też cieszyłem się z końca wojny, ale oni chyba jednak bardziej. Anglia pozostawała wolnym krajem, a moja Polska trafiała we władanie Stalina.

Do dywizji gen. Maczka trafił pan prosto z... Wehrmachtu. W jakich okolicznościach znalazł się pan w niemieckiej armii?

Mieszkałem we wsi Białobłoty koło Jabłonowa Pomorskiego. W 1941 r.



Universal Carrier – pojazd rozpoznania używany w dywizji Maczka FOT. WIKIMEDIA

■ wywieźli nas z rodziną najpierw do obozu w Jabłonowie Pomorskim. Każdy musiał tam podpisać volkslistę. Następnie wywieźli nas na roboty do bauera pod Chełmno. Dwa lata robiłem tam przy krowach.

Pod koniec wojny Niemcom bardzo brakowało żołnierzy. Na siłę mnie wzięli do Wehrmachtu. Służyłem tam od grudnia 1943 do sierpnia 1944 r. Jednak oni nie mieli wiele korzyści z Polaków, chociaż dobrze nas wyszkolili. Dawali nam mocno w kość. Tak mocno, że na ćwiczeniach złamałem nawet karabin (śmiech). Kiedy uciekłem do polskiego wojska, nawet nie pytali, czy umiem strzelać. To było oczywiste.

Po szkoleniu Niemcy wysłali mnie do Francji. Pracowałem tam na plażach przy wznoszeniu umocnień przeciw spodziewanej inwazji. Co drugi dzień pełniłem funkcję wartownika przy kwaterze głównej gen. Johanna Sinnhubera. Dosłownie drżałem na jego widok – taki to był człowiek. Stacjonowaliśmy w okolicy Calais, ale potem spod granicy Belgii szliśmy na piechotę do Normandii, gdzie trwały ciężkie walki z siłami inwazyjnymi. Niemcy mieli nadzieję powstrzymać aliantów na samym wybrzeżu, ale wobec miażdżącej przewagi tych ostatnich były to kompletnie nierealne plany. Każdy żołnierz służący w Wehrmachcie doskonale to rozumiał.

Wspomniał pan, że Niemcy nie mieli z was pożytku.

Żadnego pożytku z nas nie mieli! Może mi pan nie wierzyć, ale ja ani razu u Niemców nie wystrzeliłem na froncie. Czasem mówi się, że szczególnie Ślązacy chcieli walczyć za Rzeszę, ale to wszystko nieprawda. Nikt z Polaków, których poznałem w Wehrmachcie, nie chciał walczyć za Hitlera. Oni tak samo jak ja byli wcieleni siłą. Szlag mnie trafia, kiedy słyszę, że skoro byliśmy w Wehrmachcie,



Alojzy Jedamski (z lewej) w czasie okupacji Niemiec 1945–1947

FOT. ARCHIWUM AŁOJZEGO JEDAMSKIEGO



to chcieliśmy tam służyć i dopiero, gdy Niemcy zaczęli przegrywać, zmieniliśmy front. Jeżeli ktoś odmawiał wcielenia do Wehrmachtu, to alternatywa była tylko jedna – Auschwitz. Chciałbym zobaczyć, jak ktoś odmawia wcielenia do Wehrmachtu i wybiera obóz...

Jak pan uciekł od Niemców?

W mojej kompanii było 70 Polaków. Uciekli wszyscy zdrowi, został tylko jeden, który był ranny, ale o tym dowiedziałem się dopiero później. W Wehrmachcie najpierw brali do walk frontowych samych Niemców. My byliśmy w drugiej linii. Kiedy tamci się wykrwawili, wzięli nas. 3 sierpnia zagonili mnie na linię, ale już 11 sierpnia nad ranem uciekłem z kolegą. Pamiętam, że biegliśmy przez pole pszenicy związanej w sztygach (snopkach), potem była rzeczka, a za nią już stacjonowali Anglicy.

Zdziwili się?

Nie. Nie byli świadomi, bo... spali. Mogliśmy ich wszystkich rozstrzelać. Spali pod żywoptem w jednym rzędzie. Kiedy już nas wzięli do „niewoli”, załadowali nas z innymi na statek i przerzucili na drugą stronę kanału do Wimbledonu. W obozie pojawił się szybko polski oficer. Powiedział tylko: „Kto się czuje Polakiem, proszę wystąpić”. W obozie takich jak ja były setki. Wszyscy wystąpili i w ten sposób zasililiśmy szeregi Wojska Polskiego.

1 września w Szkocji dostałem mundur. Wtedy wszystko działa się

ekspresowo, bo Polakom brakowało żołnierzy, potrzebne były uzupełnienia. Wchodziło się z jednej strony w ciuchach niemieckich, a wychodziło się już w polskim mundurze. Żadnego szkolenia ze strzelania nie było. Wiedzieli, że umiemy walczyć i na pewno damy sobie radę. Dwa zastrzyki, przysięga i prosto do Dover, a stamtąd do Francji.

Gdyby nie żołnierze z niemieckiego wojska, to szybko by z dywizji gen. Maczka zrobili brygadę. Z oficerami nie było większego problemu, tylko brakowało dramatycznie żołnierzy frontowych.

Chyba każdy weteran powie, że służba pod gen. Maczkiem była wyjątkowa. Ten dowódca to wciąż prawdziwa legenda.

I jest to jak najbardziej zasłużona legenda. Pod gen. Maczkiem bardzo dobrze mi się służyło. Tam były przede wszystkim porządek i koleżeństwo. Generał zawsze dbał, żeby poruszać się w jak największym porządku, żeby broń Boże nie było żadnego bałaganu. Dużo ochotników mieliśmy w szeregach, nawet z Argentyny i Urugwaju. Bardzo dobrze spisywali się Polacy wyszkoleni jeszcze w Afryka Korps. Bardzo wielu takich chłopaków poszło potem z niewoli brytyjskiej prosto do gen. Andersa i do gen. Maczka. U nas w plutonie było kilku takich fantastycznych chłopaków.

Do Polski wrócił pan dopiero w październiku 1947 r. Wojna się skończyła, ale żołnierze gen. Maczka stali się częścią alianckich sił okupacyjnych.

Moja jednostka przeszła dwa lata nadzorowała okupację rejonu Cloppenburga. Jeszcze długo po wojnie trzeba było czyścić teren z hitlerowskich niedobitków. Nawet po ustaniu działań wojennych patrole naszymi carriersami nie należały do bezpiecznych... © © Wszelkie prawa zastrzeżone

por. Alojzy Jedamski

– (ur. 1925 r.) służył w 10. Pułku Dragonów 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Po wojnie do 1947 r. służył w wojskach okupujących północno-zachodnie Niemcy.



DO IV EDYCJI KONKURSU ZAPRASZA PARTNER STRATEGICZNY



ORLEN



POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



Marcin Bartnicki

**Brytyjczycy
w osobiwy sposób
„podziękowali”
generałowi Maczkowi
za jego zasługi.
Po wojnie musiał
pracować jako barman**

Jednym rozkazem generał Stanisław Maczek zdecydował o powodzeniu kampanii w Normandii i przypieczętował los walczących tam jednostek niemieckich” – pisze brytyjski historyk Evan McGilvray w biografii polskiego generała. „Przez wielu żołnierzy i historyków Maczek traktowany jest jako »niedoświadczony«, w rzeczywistości w Normandii w 1944 roku był najbardziej doświadczonym dowódcą wojsk pancernych”. Po wojnie jego wiedza i umiejętności okazały się niepotrzebne. Brytyjczycy nie znaleźli dla niego miejsca w armii, nie wypłacili mu też emerytury, z której mógłby utrzymać rodzinę. McGilvray nazywa to wprost zdradą. W czasie, gdy mieszkańcy holenderskiego miasta Axel, które wyzwoliła 1. Dywizja Pancerna, nazwali jego imieniem ulicę – „General Maczekstraat”, polski dowódca utrzymywał się z wykonywania prostych prac. Był m.in. barmanem i sprzedawcą.



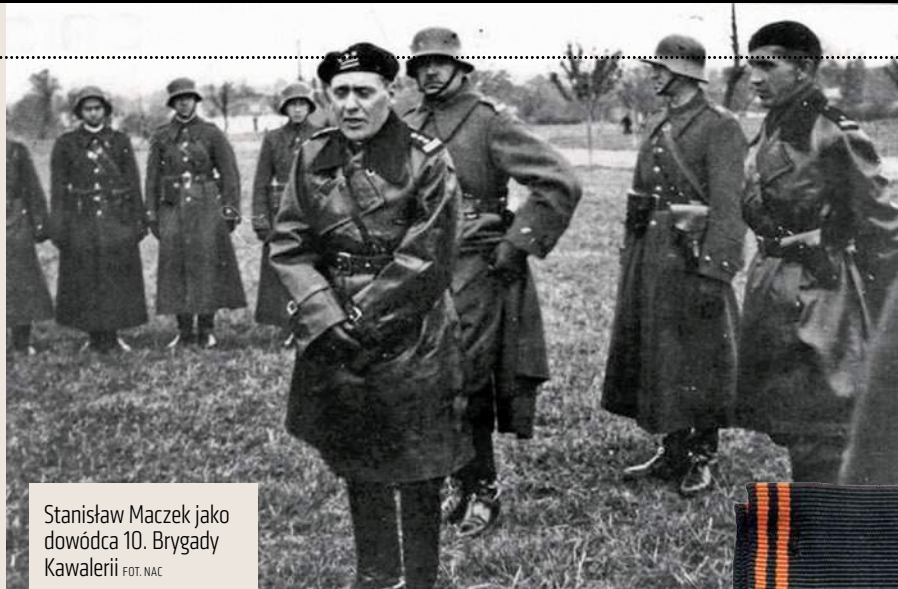
FOT. CAV

Mistrz manewru

Stanisław Maczek wychował się w Galicji, w Austro-Węgrzech, ale jego rodzina ma korzenie chorwackie (w języku chorwackim nazwisko generała to Maček). Witold, ojciec Stanisława, był sędzią. Przyszły dowódca początkowo nie myślał o wojsku, zamierzał studiować filozofię lub psychologię. Jako 18-latek trafił w 1910 r. na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie studiował filozofię i filologię polską. Studia zostały przerwane przez wojnę i powołanie do wojska. Rozpoczął niezwykle szlak bojowy – walczył przez cztery lata na froncie

1892–1994 / Stanisław Maczek i jego żołnierze

Gorzki los generała



Stanisław Maczek jako dowódca 10. Brygady Kawalerii FOT. NAC

włoskim, a potem w wojnie z Ukraińcami, w wojnie polsko-bolszewickiej, w kampanii wrześniowej 1939 r., w obronie Francji rok później, a od 1944 r. przebył z 1. Dywizją Pancerną drogę z Normandii do Niemiec.

Przez powołanie do wojska nie trafił do Legionów Polskich, co wpłynęło na jego późniejszą karierę i być może również podejście do polityki. Gdy w II RP legionowe otoczenie Piłsudskiego robiło polityczną i wojskową karierę, Maczek pozostawał apolityczny. Pozwoliło mu to uniknąć udziału w rozgrywkach, które trawiły Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie w czasie II wojny światowej. Jednocześnie zaangażowanie i sukcesy na polach bitew w wojnie o niepodległość zapewniły mu szacunek i wysoką pozycję.

Pierwszymi walkami, które nie były dla Maczka częścią obcej wojny, była odsiecz Lwowa, zaraz po zakończeniu wielkiej wojny. Jako 26-letni porucznik dowodził „Lotną kompanią szturmową”. Nie była to jeszcze jednostka pancerna, ale energiczny młody dowódca znakomicie wykorzystał jej potencjał do prowadzenia walki manewrowej, co stanowiło nową jakość w porównaniu z tkwieniem w okopach i masowymi szturmami, z których słynęła zakończona właśnie wojna światowa.

Talent Maczka został szybko doceniony. W czasie wojny polsko-bolszewickiej otrzymał pod swoją komendę pierwsze czołgi – z trzech francuskich Renault FT-17 sformowano pluton pancerny, wchodzący w skład liczącej dwa bataliony grupy bojowej dowodzonej przez Maczka. Pluton nie dysponował wielką siłą ognia, ale już samo pojawienie się czołgów w połączeniu ze skoncentrowanym ostrzałem powodowało panikę

w szeregach bolszewików. Była to cenna lekcja, którą dowódca wykorzystał w przyszłych kampaniach.

Kolejne jednostki pod komendą Maczka były oczywiście tylko namiastką w pełni mobilnych jednostek niezbędnych do prowadzenia wojny manewrowej. Pierwszą taką w pełni zmotoryzowaną jednostką w historii Wojska Polskiego stała się w październiku 1938 r. 10. Brygada Kawalerii. Na jej czele stanął płk Stanisław Maczek. Cel, w którym utworzono jednostkę, był mało chwalebny, zadaniem grupy było bowiem zajęcie Zaolzia.

Brygada doświadczyła pierwszej prawdziwej walki niespełna rok później. W wojnie obronnej wchodziła w skład dowodzonej przez gen. Antoniego Szylinga Armii „Kraków”. „Czarne Diabły” – jak nazywano ludzi Maczka (od długich, czarnych skórzanых płaszczy, które nosili) – miały opóźnić natarcie Niemców. Naziści byli zaskoczeni skutecznością i determinacją brygady. Tylko jednego dnia – 2 września – stracili w starciu z Maczkiem 30 czołgów. Dysponowali jednak wielokrotną przewagą liczebną, mieli przewagę w uzbrojeniu i od początku wojny dominowali w powietrzu. W takiej sytuacji walki nie mogły trwać długo. Już po niespełna dwóch tygodniach „Czarne Diabły” straciły połowę ludzi i 70 proc. sprzętu.

Za dowód uznania dla polskich pancerniaków można uznać to, że po

pierwszych starciach, w których niemieckie jednostki ponosiły duże straty, Niemcy starali się ich raczej obejść, niż ostatecznie zniszczyć. Wehrmachtowi nie udało się zlikwidować brygady. 19 września, zgodnie z rozkazem, który Maczek otrzymał od Naczelnego Wodza, połowa z początkowych 3 tys. żołnierzy defiladowym krokiem przekroczyła granicę z Węgrami. Pułkownik zdołał jeszcze po drodze zabrać rodzinę. 21 października był już we Francji, gotowy do dalszej walki, czego niestety nie można było powiedzieć o samej Francji.



W przebraniu Araba

Brak politycznego uwikłania pozwolił mu uniknąć rozliczeń, które czekały obwinianych o klęskę dowódców związanych z sanacją. W lutym 1940 r. Maczek, już w stopniu generała, objął dowództwo polskiej lekkiej brygady pancernej. Niestety, jednostka istniała głównie na papierze. Francuzi zapewnili szkolenia, ale uzbrojenie przekazane Polakom było przestarzałe i wystarczyło na wyposażenie czterech batalionów. O Maczku przypominano sobie dopiero, gdy III Rzesza zaatakowała Holandię oraz Belgię i stało się jasne, że Francja nie uniknie wojny.

10. Brygada Kawalerii Pancernej otrzymała czołgi, działa i inne niezbędne uzbrojenie, Polacy nie zdążyli jednak dobrze się z nim zapoznać, ponieważ od razu zostali skierowani do walki. Ich zadaniem było osłanianie skrzydeł 4. Armii, ale sytuacja na froncie pozwałała już tylko na osłonę odwrotu 20. Dywizji Piechoty. Brak benzyny i amunicji powodował, że brygada musiała porzucać i niszczyć sprzęt. Podobnie jak we wrześniu 1939 r. jednostkę Maczka otaczało wycofujące się wojsko, Niemcy znów zyskali przewagę w powietrzu, ale jego żołnierze po raz kolejny wykazali się niezwykłą skutecznością.

Tak było m.in. w czasie ataku na kontrolowane przez Niemców miasto Montbard. Naziści przeważali liczebnie, a Polacy nie mieli artylerii polowej, nie brakowało jednak determinacji. „Postanowił zaatakować miasto nocą,

■ z dużym impetem, razem z dragonami i saperami, wykorzystując element zaskoczenia. Oto była kwintesencja działania Maczka: niekonwencjonalna taktyka, być może podpatrzona u Niemców, i, jak byśmy to dziś powiedzieli: szok i »trwoga« – pisze Evan McGilvray w książce „Generał Stanisław Maczek”. Niemcy rzeczywiście byli zszokowani nocnym atakiem. 10. Brygada dotarła do zabudowań bez strat i szybko opanowała miasto, biorąc zaskoczonych obrońców jako jeńców.

Wojna była jednak przegrana. 17 czerwca 1940 r. Maczek z oddziałem liczącym już tylko 500 ludzi, nie mając benzyny ani amunicji, otoczony przez Niemców, wydał rozkaz zniszczenia sprzętu. Aby nie dostać się do niewoli i przedrzeć się przez teren znajdujący się pod kontrolą Niemców, Polacy rozdzielili się na małe grupy. Nie znali Francji i mieli tylko jedną mapę turystyczną Michelin. Dowódca każdej z grup odrysował najważniejsze punkty na mapie i skierował się na południe Francji.

Podczas ucieczki Maczek przez przypadek odłączył się od swoich ludzi. Próbuąc przebiec w poprzek drogi, przez którą przejeżdżali Niemcy, najlepszy polski pancerniak skoczył w krzaki, w których przeczekał niebezpieczeństwo, ale zgubił niestety towarzyszy. Ostatecznie odnalazł rozproszonych żołnierzy, przedostał się do Marsylii, a tam, w przebraniu Araba, wmieszał się w tłum arabskich żołnierzy służących do niedawna we francuskiej armii, którzy wypływali do Algierii. Udał się następnie do Casablanki, gdzie spotkał swoją żonę, a następnie przez Lizbonę do Anglii. 21 września 1940 r. wylądował na lotnisku w Bristolu.

Bez powrotu

Tworzenie jednostki pancernej od podstaw w Anglii napotkało początkowo jeszcze większe problemy niż we Francji. Po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki Brytyjczycy za priorytet uznali przekazywanie uzbrojenia Stalinowi, w dodatku do pomysłu utworzenia polskiej dywizji pancernej podchodzili niechętnie. Sprawę pogarszały jeszcze wewnętrzne konflikty w polskim rządzie emigracyjnym. Maczek konsekwentnie przyglądał się im z boku i unikał politycznego zaangażowania.



Grób gen. Stanisława Maczka na cmentarzu w Bredzie. FOT. WIKIWAND.COM

Do odtworzenia jednostki pancernej brakowało również ludzi. Polacy ewakuowani ze Związku Sowieckiego zostali na Bliskim Wschodzie, a następnie pod dowództwem gen. Andersa trafili do Włoch. Podstawowym źródłem rekrutów stały się więc obozy jenieckie w Afryce Północnej. Trafiali tam Polacy wcieleni do Wehrmachtu i wysłani do Afryki, którzy chętnie przechodzili do tworzących się polskich jednostek.

Generał Maczek dopiął jednak swego. 1 sierpnia 1944 r., gdy w Warszawie wybuchło powstanie, stanął na plaży w Normandii, mając za sobą kilkanaście tysięcy ludzi wyposażonych w 381 czołgów i 4050 innych pojazdów. „Jako wasz dowódca życzę wam jednej rzeczy – by Niemcy zapłacili krwią za przywilej walki z Wami” – powiedział do swoich żołnierzy.

8 sierpnia, wykonując kontrowersyjny rozkaz Montgomery’ego, rzucili się do frontalnego ataku. Dobrze zamaskowane działa przeciwlotnicze kalibru 88 mm, doskonale nadające się do zwalczania czołgów, w kilka minut zniszczyły 26 spośród 36 rzuconych do ataku shermanów. Amerykańskie czołgi wyraźnie ustępowały niemieckim panterom i tygrysom. Wieża jednego z nich została przestrzelona na wylot pociskiem wystrzelonym z działa 88 mm z odległości 2 km. Z takiego właśnie dystansu skuteczny ostrzał mogły prowadzić niemieckie tygrysy. Amerykańskie shermany i brytyjskie czołgi Mk VIII Cromwell, aby przebić się przez ich pancerze, musiały podejść znacznie bliżej. Frontalny atak na wąskim odcinku, był samobójstwem. Maczek wstrzymał atak. Na Polaków zrzucono winę za niepowodzenie akcji, oskarżając przy okazji żołnierzy o tchórzostwo.

Opinia ta zmieniła się w ciągu kilku następnych tygodni. Brytyjska ofensywa utknęła w patowej sytuacji pod Falaise (szerzej piszemy o tej bitwie na str. 6–11).

Wyzwalając kolejne miasta, m.in. w Holandii, gen. Stanisław Maczek zasłynął z minimalizowania strat wśród ludności cywilnej. Nie zgodził się np. na proponowane przez Montgomery’ego bombardowania Bredy. Uniknął też walk ulicznych. Dzięki temu podczas zdobywania miasta nie było żadnych ofiar cywilnych. Mieszkańcy Bredy pamiętają to do dziś.

Maczek zakończył szlak bojowy w Niemczech, w Wilhelmshaven. Polska dywizja otrzymała własną strefę okupacyjną w rejonie, który w ostatnim rozkazie miała zdobyć. W ciągu 10 miesięcy walk 1. Dywizja Pancerna straciła ponad 5 tys. zabitych, rannych i zaginionych żołnierzy. Wzięła w tym czasie 18,5 tys. jeńców.

Jednostka przestała istnieć 1 maja 1947 r. Jeszcze przed demobilizacją gen. Maczek został pozbawiony polskiego obywatelstwa przez komunistyczny rząd w Warszawie. W tej jednej kwestii dowódca nie był apolityczny – nie miał wątpliwości, że kontrolę nad Polską sprawuje rząd okupacyjny. Większość jego ludzi podzielała tę opinię. Nielicznych, którzy wyłamali się i wrócili do Polski, spotkał los podobny do płk. Franciszka Skibińskiego. Po roku został aresztowany, w przesłuchaniach stracił wszystkie zęby, a z więzienia wyszedł dopiero w 1956 r.

Po demobilizacji Brytyjczycy zapomnieli o polskim generale. Nie otrzymał emerytury, z której mógłby utrzymać rodzinę, pracował więc jako sprzedawca i barman, ale nigdy nie skarżył się na swój los. W barze hotelu Learmonth w Edynburgu zatrudnił go dawny podwładny – podoficer. Dawni żołnierze, wchodząc do baru, stawiali przed generałem barmanem na baczność.

Jego sytuacja zmieniła się dopiero pod koniec lat 60., gdy otrzymał wysoką emeryturę od rządu Holandii. Na wniosek 40 tys. mieszkańców Bredy dostał również honorowe obywatelstwo tego kraju. W Bredzie znajduje się też grób generała. Spoczął wśród swoich dawnych żołnierzy. Zmarł w 1994 r. w wieku 102 lat. Do 1989 r. nie uznawał rządu w Warszawie, ale nie związał się też z rządem emigracyjnym. W latach 80. komuniści próbowali nakłonić go do powrotu do Polski. Maczek nie chciał mieć jednak z nimi nic wspólnego.

STAJESZ NA STACJI RUSZASZ Z POMOCĄ



#DobryKierowca

Kupując na stacjach ORLEN, wspomagasz
ZAKUP SPRZĘTU MEDYCZNEGO

Fundacja ORLEN od lat wspiera szpitale na terenie całej Polski, regularnie przekazując darowizny na zakup specjalistycznego sprzętu medycznego.

Dowiedz się więcej na:

www.dobrykierowca.orlen.pl



ORLEN



Francuscy oficerowie przyglądają się manewrom polskich renault FT, Biedrusko, 1921 r. FOT. MWP

1918–1939

Od Renault FT do 7TP

Historia polskich czołgów



Michał Mackiewicz

Historia polskiej broni pancernej zaczęła się wraz z odzyskaniem niepodległości. Pierwsze nasze czołgi weszły do akcji w roku 1918

Początki polskiej broni pancerniej sięgają 1918 r. W Korpusach Polskich w Rosji używano zdobycznych samochodów pancernych, natomiast podczas walk z Ukraińcami o Galicję Wschodnią, we Lwowie i w Przemyślu pojawiły się pierwsze improwizowane pojazdy rodzimej konstrukcji. W 1919 r. z Francji do Polski przybyła „Błękitna Armia” gen. Józefa Hallera. W skład formacji wchodził 1. Pułk Czołgów uzbrojony w pojazdy Renault FT. Organizację pułku rozpoczęto w marcu 1919 r. w Martigny-les-Bains (Wogezy) na podstawie francuskiego 505. Pułku Artylerii Specjalnej. W czerwcu przerzucano go do Polski, jako jedną z ostatnich bojowych jednostek „Błękitnej Armii”. Pułk liczył wówczas 841 oficerów i żołnierzy (w tym 388 Francuzów) oraz

120 „renówek” zorganizowanych w pięć kompanii po 24 wozy każda.

FT przeciw bolszewikom

Renault FT zasłużył na miano rewolucyjnego pojazdu. Idea narodziła się w 1916 r., a zadanie zrealizowania projektu powierzono słynnemu konstruktorowi samochodów, Louisowi Renaultowi. Wymagania stawiane nowej broni scharakteryzował francuski gen. Frédéric-Georges Herr, wybitny teoretyk artylerzysta: „Artyleria towarzysząca powinna być opancerzona w stosunku do pocisku karabinu maszynowego oraz posiadać ciąg mechaniczny. Ażeby mogła wszędzie przejść, układ silnikowy powinien być osadzony na gąsienicy, a nie na kołach. Pancerz powinien być lekki, pod względem grubości mało się różniący od tarcz ochronnych obecnych dział polowych. Waga całego sprzętu, ciągnika i działa, nie powinna przekraczać 4 ton, aby można go było przewozić na zwykłych samochodach ciężarowych, będących w użyciu w wojsku, a przez to zachować ruchliwość strategiczną podobną do ruchliwości strategicznej oddziałów, którym musi towarzyszyć we wszystkich ich przesunięciach”.

I taki był właśnie lekki czołg Renault FT przeznaczony do bezpośredniego wsparcia piechoty. W porówna-

niu z przysadzistymi, romboidalnymi angielskimi markami niespełna siedmionowowy Renault wyróżniał się zgrabną sylwetką, a jego uzbrojenie umieszczono w obrotowej wieży, zapewniając 360-stopniowe pole ostrzału. Pancerz zbudowano ze stalowych płyt o grubości sięgającej od 6 do 16 mm, co zapewniało odporność na ostrzał broni strzeleckiej. Pojazd uzbrojono w karabin maszynowy Hotchkiss wz. 14 kal. 8 mm lub działko Puteaux kal. 37 mm wyposażone w zamek półautomatyczny. Gaźnikowy, chłodzony cieczą silnik umieszczono z tyłu kadłuba, z przodu znajdował się przedział bojowy dla załogi składającej się z kierowcy i dowódcy-strzelca. Zawieszenie zbudowane było z czterech wózków jezdnych (po obu stronach) połączonych wzdłużną belką amortyzowaną piórowym resorem. Koła napędowe znajdowały się z tyłu, natomiast duże koła napinające umieszczono z przodu, co wpłynęło na lepsze właściwości trakcyjne w trudnym terenie. Układ konstrukcyjny Renault FT po dziś dzień uznaje się za klasyczny.

1. Pułku Czołgów, na którego wyposażeniu znalazły się 72 czołgi z armatą i 48 uzbrojonych w kaem, użyto na froncie bolszewickim. Chrztem bojowym był udział w walkach o Bobrujsk w końcu sierpnia 1919 r. – jedna kompania wspierała pułki wielkopolskie w udanym ataku na miasto. W toku wojny czołgi wykorzystywano jeszcze wielokrotnie, a ich pojawienie się na linii frontu decy-

dowało zazwyczaj o lokalnych sukcesach. Renault FT rzucono do walki w sile plutonu/kompanii, rzadko kiedy decydując się na tworzenie większych zgrupowań, tak jak choćby pod Warszawą w sierpniu 1920 r.

Efektywnemu wykorzystaniu maszyn nie sprzyjał także charakter prowadzonych walk. Mała prędkość i niewielki promień działania istotnie ograniczały możliwości użycia pojazdów w wybitnie manewrowej wojnie przeciwko Rosji sowieckiej. Kolejną barierę stanowiła kiepska łączność, uniemożliwiająca koordynację działań powyżej szczebla plutonu. Decentralizacja oddziałów pancernych oraz ich pomocnicza rola względem broni głównych znalazły wyraz w instrukcji wydanej w 1920 r.: „Ścisłe współdziałanie czołgów z piechotą wymaga podporządkowania oddziałów czołgów d-ctwu piechoty na czas walki. [...] Zasadniczo przydziela się jednemu bataljonowi piechoty jeden pluton czołgów [5 pojazdów – przyp. M.M.]. Można jednakowoż przydzielić także i dwa plutony, o ile tego wymaga sytuacja bojowa”.

W kontekście wojny 1920 r. warto wspomnieć o dwóch śmiałych zagonach na tyły przeciwnika, podczas których wykorzystano broń pancerną. Pierwszy, którego celem był Żytomierz, przeprowadzono w ramach ofensywy na Kijów. Wydzielona grupa bojowa żołnierzy z 1. Pułku Piechoty Legionów, dysponująca kilkudziesięcioma samochodami ciężarowymi Fiat i Packard, armatami kal. 75 mm podczepionymi do ciągników artyleryjskich, dokonała kilkudziesięciokilometrowego rajdu, zajmując ważny węzeł komunikacyjny. W akcji wziął udział również zdobyty uprzednio na bolszewikach samochód pancerny Garford, najcięższy i największy samochód pancerny epoki, uzbrojony w armatę 76,2 mm oraz trzy karabiny maszynowe Maxim.

Zupełnym przeciwieństwem ociężanego garforda był samochód pancerny Ford FT-B – jedyny opracowany w Polsce i seryjnie produkowany wóz bojowy z lat 1918–1921. Jego twórcą był inż. Tadeusz Tański. Produkcji podjęły się warszawskie zakłady Spółki Akcyjnej „Gerlach i Pulst”. Miał masę niespełna 1,5 tony i dwuosobową załogę, którą chronił pancerz z nitowanych płyt walcowych o grubości 8 mm. Uzbrojenie stanowił karabin maszynowy Maxim zamontowany w obrotowej wieżyczce. Samochód

osiągał maksymalną prędkość 50 km/godz. W rajdzie na Kowel we wrześniu 1920 r. wzięła udział grupa bojowa licząca: 1 tys. żołnierzy, osiem armat kal. 75 mm, kilkanaście karabinów maszynowych, 54 samochody i dziewięć wozów pancernych – siedem fordów FT-B i dwa white’y. Manewr doprowadził do dezorganizacji obrony bolszewików.

W latach 20. potencjał pancerny WP nie uległ wzmocnieniu. Podstawowym sprzętem pozostawały wysłużone renaulty FT oraz samochody pancerne Peugeot, których kilkanaście kupiono od Francuzów jeszcze w 1920 r. Próby modernizacji francuskiego sprzętu nie dały zadowalających efektów. W 1929 r. utworzono z wydzielonej części Departamentu Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych Szefostwo Broni Pancernej. W Polsce uważnie śledzono rozwój konstrukcyjny czołgów za granicą i szybki postęp prac koncepcyjnych nad ich użyciem. Marginalizowana do tej pory broń pancerna została doceniona i uwzględniona w procesie modernizacji WP, który rozpoczął się w latach 30.

Pojazdy z Czechowic

Produkcja wozów bojowych, czyli samochodów pancernych, czołgów lekkich oraz rozpoznawczych, była domeną Państwowych Zakładów Inżynierii (PZInż.) w Warszawie. W 1930 r. do przedsiębiorstwa włączono Zakłady Mechaniczne „Ursus” z Czechowic. Raczkujący, trapiiony licznymi problemami

i zdobywający dopiero doświadczenie krajowy przemysł zbrojeniowy nie był w stanie zaprojektować i wyprodukować od podstaw nowoczesnego wozu bojowego. Punktem wyjścia musiały stać się konstrukcje obce.

W latach 30. podstawę polskiej broni pancernej stanowiło kilkaset tankietek TK-3 i TKS, nazywanych, nieco na wyrost, czołgami rozpoznawczymi. Konstrukcję oparto na angielskim wozie Carden-Loyd Mk VI, ale wprowadzono wiele oryginalnych modyfikacji i udoskonaień. Przede wszystkim zastosowano całkowite opancerzenie (w angielskich wozach przedział bojowy był odkryty od góry), nowe zawieszenie oraz skrzynię biegów. Pierwsze wozy, czyli TK-3, rozpoczęły służbę w 1931 r., dwa lata później pojawiła się udoskonalona wersja – TKS. Czołg otrzymał lepsze opancerzenie (płyty grubości do 10 mm, w TK-3 do 8 mm), które zabezpieczało od zwykłych pocisków karabinowych na każdą odległość, a od pocisków przeciwpancernych na odległość powyżej 200 m, zastosowano też silnik Polski Fiat 122B zamiast importowanego Forda oraz obrotowy peryskop konstrukcji inż. kpt. Rudolfa Gundlacha, który umożliwiał obserwację pola walki w zakresie 360 st. bez potrzeby odwracania głowy. Nowy pojazd miał też zmieniony kształt przodu kadłuba oraz nowe uzbrojenie dla kaemu. Obie polskie tankietki uzbrojone były w jeden karabin maszynowy Hotchkiss wz. 25 kal. 7,92 mm, ale kilkadziesiąt sztuk przebrojono w najcięższy karabin maszynowy krajowej konstrukcji wz. 38FK kalibru 20 mm.

Główną zaletą tankietek były małe rozmiary oraz dobre właściwości

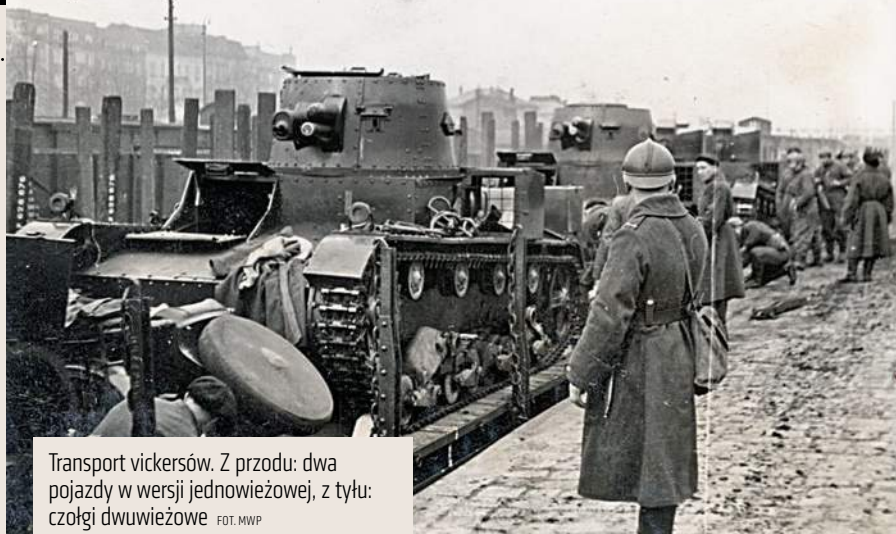


Polski samochód pancerny Ursus wz. 29 FOT. MWP

manewrowe, dzięki którym wozy znakomicie nadawały się do celów rozpoznawczych. Prędkość po drodze wynosiła 45 km/godz. We wrześniu 1939 r. większość z nich rozdzielono między dywizję piechoty (samodzielne kompanie czołgów rozpoznawczych – 13 wozów) i brygadę kawalerii (szwadron 13 tankietek wchodzący w skład dywizjonu pancernego).

Carden-loydy nie były jedynymi pojazdami kupionymi w Anglii. Na początku lat 30. nabyliśmy także 38 sześciotonowych czołgów Vickers E w dwóch wersjach: jednowieżowej, uzbrojonej w armatę kal. 47 mm, i dwuwieżowej z dwoma karabinami maszynowymi. Pojazd nie był dobrze oceniany i od samego początku zakładano, że stanie się sprzętem bazowym, na podstawie którego polscy inżynierowie opracują rodzimy model czołgu spełniający wymogi nowoczesnego pola walki. Krytykowano benzynowy chłodzony powietrzem silnik o mocy 90 KM, złą jakość stalowych blach pancerza, słabe uzbrojenie oraz układ jezdný. Licencyjną produkcję czołgu w pierwotnej postaci uznano za niecelową, decydując się na daleko idącą modyfikację.

Prace projektowe nad pojazdem oznaczonym VAU-33 (Vickers Armstrong Ursus) prowadzono w Biurze Konstrukcyjnym Broni Pancernej oraz Biurze Studiów PZInż. W 1935 r. w czechowickiej Fabryce nr 1 uruchomiono produkcję czołgu, który otrzymał oznaczenie 7TP (siedmiotonowy polski). Nowa produkowana w kraju jednostka napędowa – wysokoprężny, chłodzony cieczą silnik Saurer-Diesel VBLDb (PZInż. 235) o mocy 110 KM – zapewniła lepsze osiągi, zwłaszcza podczas jazdy w terenie. Przekonstruowano sprzęgło i skrzynię przekładniową, a tylna część kadłuba zyskała nowy kształt. Nie mniej istotne było wzmocnienie zawieszenia, a nade wszystko opancerzenia. Zamiast hartowanych płyt stalowych zastosowano nowe, walcowane i utwardzane powierzchniowo w procesie nawęglania; zwiększyła się także ich grubość, z 13 do 17 mm. Poza tym pancerne płyty mocowano do kratownicy śrubami, a nie nitami, co było bezpieczniejszym rozwiązaniem (przy uderzeniu pocisku nity



Transport vickersów. Z przodu: dwa pojazdy w wersji jednowieżowej, z tyłu: czołgi dwuwieżowe FOT. MWP

wpadały do wnętrza, raniąc członków załogi).

W sprawozdaniu z prób porównawczych nowego czołgu z angielskim pierwowzorem stwierdzono: „Czołg 7TP w porównaniu z czołgiem Vickers na drogach bitych ma prędkość

maksymalną nieznacznie mniejszą, natomiast w terenie, wskutek większego stopnia przyspieszenia, łatwiej pokonuje wszelkie przeszkody naturalne”.

Pierwsze 7TP produkowano w wersji dwuwieżowej z karabinami maszynowymi. Walory bojowe wzrosły z chwilą opracowania

wersji jednowieżowej. Tutaj zasadnicze uzbrojenie stanowiła armata przeciwpancerna kal. 37 mm szwedzkiej firmy Bofors (sprzęgnięty był z nią cekaem wz. 30 kal. 7,92 mm), którą produkowano na licencji w Polsce. Czołgi wyposażono w peryskop Gundlacha, a niektóre także w radiostację N2C – miały je wozy dowódców batalionu, kompanii i plutonów. Załogę czołgu stanowiło trzech ludzi: dowódca ładowniczy, strzelec, kierowca (wersja jednowieżowa). Zapas amunicji do armaty wynosił 80 nabojów. W dwóch zbiornikach paliwa znajdowało się 130 l paliwa, co pozwalało na przejechanie ok. 130 km w terenie. Do 1939 r. wyprodukowano ok. 140 czołgów 7TP, głównie w wersji jednowieżowej.

Wrześniowy sprawdzian

W 1939 r. WP posiadało ok. 800 wozów bojowych. Przeszło połowę stanowiły tankietki, które – z wyjątkiem kilkudziesięciu uzbrojonych w nkm kal. 20 mm –

nie nadawały się do zwalczania pojazdów opancerzonych. Iluzoryczną wartość bojową posiadało ponad 100 FT; z części z nich utworzono samodzielne kompanie, a pozostałe, jako drezyny, znalazły się w składach pociągów pancernych. Nisko wreszcie ocenić wypada przydatność ok. 100 samochodów pancernych (wz. 29 i 34) – słabo opancerzonych, o niezadowalających właściwościach trakcyjnych.

Nie sposób nie wspomnieć o 10 pociągach, które znalazły szerokie zastosowanie w latach 1918–1921, na ogół z dobrym skutkiem. W 1939 r. nasze pancerki, modernizowane w ciągu całego dwudziestolecia, dysponowały sporym potencjałem bojowym: silną artylerią, mocnym opancerzeniem i dużą szybkością. W toku kampanii pociągi pancerne odniosły wiele lokalnych sukcesów, okazały się jednak bezradne wobec ataków lotnictwa.

Bez wątpienia najwartościowszym sprzętem pancernym były czołgi lekkie, które grupowano w bataliony liczące 45–49 maszyn. W 1939 r. mieliśmy trzy takie jednostki – dwie wyposażone w 7TP i jedną z eksportowymi Renault R-35, które zakupiono we Francji w 1939 r. (batalion R-35 nie odegrał praktycznie żadnej roli w walkach). Dostrzegając przebojowość i ofensywne walory czołgów jako doskonałego narzędzia do ataku ze skrzydeł i wyjścia na tyły przeciwnika, ograniczano jednocześnie ich rolę do zadań stricte taktycznych. Broni pancernej nie traktowano u nas jako formacji przeznaczonej do wykonywania samodzielnych działań o charakterze operacyjnym, ale – podobnie jak np. we Francji – wsparcie dla piechoty i kawalerii.

W kampanii wrześniowej pojazdy pancerne były rozproszone; rzucano je do boju w sile kompanii lub plutonu. Warto nadmienić, że nawet dwie „wielkie”

jednostki zmotoryzowane – 10. Brygada Kawalerii i Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa – choć mobilne i względnie dobrze nasyczone bronią maszynową oraz przeciwpancerną, miały niską wartość ofensywną wobec niewielkiej liczby czołgów. Na przykład w brygadzie Maczka była to zaledwie niepełna kompania z kilkoma, wątpliwej wartości, vickersami.

Także niemiecka Panzerwaffe nie imponowała parametrami czołgów. Gros spośród w sumie ok. 3,2 tys. wozów bojowych stanowiły Panzerkampfwagen (PzKpfw) I i II. Ten pierwszy, niespełna sześciotonowy, trudno zresztą uznać za pełnowartościowy czołg, bo cieniutki 13-milimetrový pancierz i dwa karabiny maszynowe czyniły z niego raczej tankietkę. „Dwójka”, nieco cięższa i ciut lepiej opancerzona, dysponowała mocniejszym uzbrojeniem – poza kaemem także armatą kal. 20 mm. Łącznie do ataku na Polskę Niemcy rzucili blisko 2 tys. czołgów obu typów. Do tego dochodziło ok. 200 eksceskich PzKpfw 35(t) i 38(t); oba dysponowały kaemami i armatami kalibru 37 mm. Najnowocześniejsze, najlepiej uzbrojone i opancerzone czołgi (PzKpfw III – pancierz 15 mm, armata kaliber 37 mm, PzKpfw IV – pancierz 30 mm, armata kaliber 75 mm) były stosunkowo nieliczne, do walki skierowano ich ok. 270. Pozostały sprzęt tworzyły samochody pancerne.



Czołgi 7TP w trakcie ćwiczebnego pokonywania czechosłowackich zapór przeciwczołgowych, Zaolzie, jesień 1938 r. FOT. MWP

Grubości pancerzy same w sobie niewiele nam mówią. Należy je porównać z osiągniętymi przez armatę ppanc. kal. 37 mm. Otóż wystrzelony z niej pocisk przebił na dystansie 800 m pancerną płytę grubości 30 mm ustawioną pod kątem 90 stopni, płytę 25 mm zaś z odległości 1 tys. m. Jak widać, wszystkie pojazdy wroga były w zasięgu naszych „siódemek”, które kilkakrotnie toczyły z nimi równorzędne pojedynki, m.in. pod Piotrkowem Trybunalskim, w starciu, które było chrztem bojowym 7TP.

„[Niemcy] są przekonani, że nas rozbili lub przepędzili, Bóg wie jak daleko – wspominał bitwę z 4–5 września kpr. Mieczysław Białkiewicz z 2. Batalionu Czołgów Lekkich. – O naiwni, jakże głęboko się mylą. Teraz już czeka na nich cały batalion najgroźniejszych polskich czołgów, doskonałych 7TP. Mój pluton stoi tuż przy szosie. Umawiamy się, jak mamy strzelać. Za chwilę ukazuje się na szosie kilkanaście pokracznych sylwetek z białą-czarnymi krzyżami na kadłubach. Biorę pierwszego na krzyż lunety i »prowadzę«. Zbliży się wolno. Podpusz-

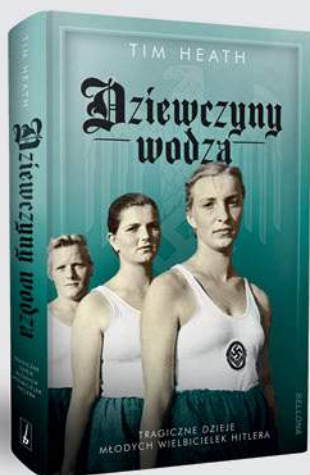
czamy ich spokojnie 300, 200, 150 m. W słuchawkach hełmu radiowego brzęczy ostry rozkaz: »Rysie, tu Żbik – kolejno... ognia!«. Naciskam pedał spustowy. Wstrząs... Huk... Na ciemnym kadłubie złowrogi, niebieskawy błysk. Czołg nagłym skrzemem wali drzewo przydrożne i staje. Z długiej, wysmukłej lufy działka cią-

gnie się w dal jadowita, fioletowa smuga dymu. Drugi raz naciskam, ten sam błysk i smuga. Nagle otwiera się kłapa, ukazując się czarna sylwetka. Natychmiast przełączam dźwigenkę na ckm i kilka razy naciskam pedał. Kilka ostrych szczeknięć cekaemu i sylwetka niknie. Spod pancerza wydobywają się jasne płomienie ognia: cały pokraczny »gad« płonie jak pochodnia. Z następnymi »Panzerwagenami« dzieje się mniej więcej to samo”.

Pomimo lokalnych sukcesów polscy pancerniacy nie mogli zmienić obrazu wojny. W 1939 r. Wehrmacht, dzięki nowatorskiej strategii blitzkriegu, był nie do pokonania. Tak miało zresztą pozostać przez następne dwa lata. A jednak doświadczenie zdobyte w dwudziestolecu międzywojennym, a zwłaszcza podczas kampanii jesiennej, nie poszło na marne. Zaprocentowało w kolejnych latach wojny, zwłaszcza w kontekście imponującego szlaku bojowego 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka.

Autor jest pracownikiem naukowym Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

REKLAMA



Tragiczne dzieje MŁODYCH WIELBICIELEK HITLERA

BELLONA

KSIĘGARNIE



Świat Książki



swiatksiazki.pl



W obronie dobrego

/ Mamy do pogodzenia dwie wartości: wolność badań, wypowiedzi i opinii, a z drugiej strony – ochronę wizerunku, pamięć i troskę o tożsamość narodową

Uczestnicy konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią” analizowali dotychczasowe wysiłki zmierzające do obrony prawdy historycznej o roli Polaków w czasie II wojny światowej oraz zastanawiali się nad najbardziej skuteczną strategią działania na przyszłość. Zbrodnie przeciwko Polakom funkcjonują w przestrzeni światowej w sposób całkowicie rozproszony. Za każdym razem trzeba opowiadać o każdej z tych rzeczy osobno. Brakuje jednego pojęcia, które sprawiłoby, że ludzie, słysząc to słowo, mogliby je skojarzyć z polskimi cierpieniami – powiedział red. Paweł Li-

sicki, otwierając konferencję. Redakcja tygodnika „Do Rzeczy” zaproponowała, by takim pojęciem, określającym ogół polskich ofiar i cierpień z lat 1937–1953, stała się „polska hekatomba”.

– Drugim powodem, dla którego chcieliśmy zorganizować tę konferencję, jest poczucie, że obecny sposób ochrony polskiej pamięci, biorąc pod uwagę skalę rozpowszechniania fałszywych informacji i kłamstw, jest zbyt słaby. Nie jest oczywiście łatwo znaleźć tu dobrą metodę, ponieważ mamy do pogodzenia dwie wartości: z jednej strony wolność badań, wypowiedzi i opinii, a z drugiej ochronę wizerunku, pamięć i troskę o tożsamość narodową. Jak znaleźć ten złoty środek?

O tym będziemy dziś dyskutowali – powiedział red. Paweł Lisicki.

Słowo wstępne do uczestników konferencji wygłosił również minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro. – Chciałbym podziękować za ten pomysł, za tę inicjatywę i za podjęcie niezwykle ważnego tematu dotyczącego świadomości historycznej nas, Polaków. Nikogo nie muszę w tym gronie przekonywać, jak ważny jest ten temat. Potrzebna jest debata na ten temat w związku z procesami, które dzieją się nie tylko w naszym kraju, nie tylko w świadomości nas, Polaków, lecz także dzieją się na świecie w zakresie reinterpretacji tego, co wydarzyło się w czasie II wojny światowej – mówił minister Zbigniew Ziobro.

Wśród uczestników debaty znaleźli się znakomici eksperci z dziedziny historii, prawa, dyplomacji publicznej oraz cenieni publicyści, m.in. prof. Wojciech Roszkowski, prof. Andrzej Nowak,



imienia Polski

mec. Jerzy Kwaśniewski, prof. Bogdan Szlachta, prof. Maciej Szymanowski, Rafał A. Ziemkiewicz oraz Tadeusz Płużański.

– Nie uciekajmy – my, historycy – od tego, że czasem potrzeba takiej wielkiej syntezy, jednego pojęcia, by opisać jakieś zjawisko. Często opieramy się w debacie na jednym symbolu czy pojęciu. Pojęcie „Holokaust” też jest wielkim uproszczeniem... Samo pojęcie „hekatomba” jest znakomicie wymyślone. Nie tylko dlatego, że nie jest dostatecznie wykorzystane w innych kontekstach. Nie jest „zajęte”. Można je więc „zająć”

i wypełnić naszą treścią – powiedział prof. Roszkowski podczas konferencji, zachęcając do upowszechniania pojęcia „polska hekatomba”.

Rafał A. Ziemkiewicz podkreślał z kolei, że Polacy, walcząc z fałszowaniem historii II wojny światowej, powinni przypominać o tym, jak Zachód biernie przyglądał się zagładzie Żydów.

Podczas kolejnych paneli konferencji uczestnicy debatowali również na temat rzeczywistych źródeł polonofobii i antypolonizmu na świecie, a także najlepszych prawnych sposobów ochrony polskiej pamięci. ©© (p.w.)

W tygodniku „Do Rzeczy” ukazało się dotychczas pięć dodatków:

1. „Zbrodnie sowieckie”
2. „Zbrodnie niemieckie”
3. „Zbrodnie ukraińskie”
4. „Prawo i pamięć”
5. „Polacy przeciw oszczerstwu”

Można je pobrać bez opłat ze strony:

www.dorzeczy.pl/dodatki

Pełną relację wideo z konferencji można obejrzeć na stronie:

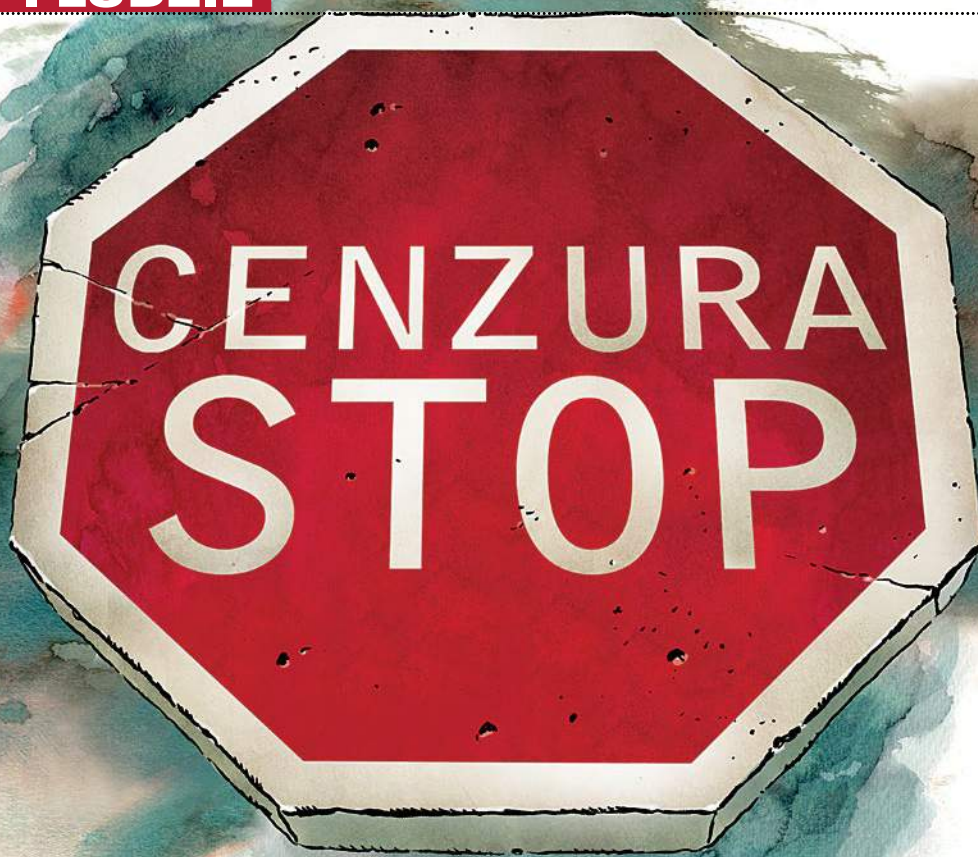
www.dorzeczy.pl/konferencja-fsp

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizator

Patroni medialni

RYS. KRZYSZTOF WIRKOWSKI



Afera / Wokół książki Piotra Zychowicza

Niebezpieczny „Wołyń zdradzony”

/ Książka „Wołyń zdradzony” została usunięta z konkursu „Książka Historyczna Roku”. Wywołało to oburzenie opinii publicznej i burzę w środowisku historyków. Publikujemy najciekawsze głosy

24 X 2019 – Piotr Zychowicz na Facebooku

Szanowni Państwo, doszło do niebywałego skandalu. Mój „Wołyń zdradzony” został właśnie usunięty z konkursu „Książka Historyczna Roku”. Nie potrafią nas pokonać na argumenty – posuwają się do zakulisowych intryg.

24 X 2019 – prof. Sławomir Cenckiewicz na Twitterze

Oszukano IPN i mnie. – Odchodzę z jury nagrody „Książka Historyczna Roku”. Pamiętajcie, ani ja, ani IPN i część członków jury w tej hucpie udziału nie brała!

24 X 2019 – strona „Książka Historyczna Roku”

Organizatorzy Konkursu „Książka Historyczna Roku” o nagrodę im. Oskara Haleckiego: Telewizja Polska S.A., Polskie Radio S.A. i Narodowe Centrum Kultury informują o wycofaniu z Konkursu książki Piotra Zychowicza „Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA”. Decyzja jest zgodna z §7 pkt. 3 regulaminu Konkursu.

Regulamin konkursu paragraf 7 pkt 3

Organizatorzy mogą odmówić przyjęcia książek lub wycofać je z Konkursu,

jeżeli zostaną zidentyfikowane uchybie-
nia wobec niniejszego Regulaminu.

8 XI 2019 – Piotr Zychowicz w „Dzienniku Gazecie Prawnej”

Do tej pory organizatorzy nie podali konkretnego powodu, który skłonił ich do podjęcia tak drastycznego kroku. Opublikowali jedynie lakoniczne oświadczenie, w którym poinformowali o swojej decyzji. Co znamienne, komunikat ten był anonimowy. Nikt nie miał odwagi cywilnej, aby firmować go swoim nazwiskiem.

24 X 2019 – Oświadczenie Instytutu Pamięci Narodowej

W związku z pytaniami kierowanymi do Instytutu Pamięci Narodowej informujemy, że decyzja o wycofaniu z 12. edycji konkursu „Książka Historyczna Roku” publikacji Piotra Zychowicza „Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA” nie została uzgodniona z Instytutem Pamięci Narodowej jako jednym z organizatorów konkursu.

24 X 2019 – portal wPolityce.pl, anonimowy artykuł oparty na anonimowej wypowiedzi anonimowego informatora

Publikacja jest sprzeczna z polską racją stanu. W ocenie naszego rozmówcy śp. prezydent Kaczyński na pewno byłby przeciwny wyróżnieniu czy nagrodzeniu książki, która w sposób brutalny szkaluje Polskie Państwo Podziemne i Armię Krajową, a jednocześnie bardzo wychwala Niemców.

24 X 2019 – Piotr Zychowicz na Twitterze

Wciąganie do tej intrygi świętej pamięci prezydenta Lecha Kaczyńskiego jest obrzydliwe. Nie zasłużył na to.

24 X 2019 – pracownik TVP Piotr Gursztyn

Instytucje państwowe nie mają obowiązku, a nawet prawa, nagradzania książki antypolskiej i proniemieckiej.

24 X 2019 – Rafał A. Ziemkiewicz na Twitterze

Usunięcie z konkursu przez organizatora, poza decyzją jury, książki faworyta Piotra Zychowicza i szokująca argumentacja Piotra Gursztyna, jakoby była „antypolska”, to nie tylko epickie świństwo i głupota. To także znak, że totalniactwo zreprodukowało się po umownej „naszej” stronie.

24 X 2019 – Tomasz Terlikowski na Twitterze

Na książki głosują czytelnicy, a jeśli chce się z nimi polemizować, to warto to robić, pisząc teksty, recenzje, kontrksiążki, a nie przez wykluczenia. Nie zgadzam się z Piotrem Zychowiczem w bardzo wielu kwestiach, ale uważam wykluczenie go z konkursu, który wygrywał, za słabe.

24 X 2019 – Piotr Zychowicz na Facebooku

Szanowni Państwo, dziękuję bardzo za olbrzymie wsparcie! Telefon cały czas dzwoni, dostaję SMS-y i e-maile. Kupa artykułów w mediach. Na FB i Twitterze gigantyczne oburzenie. Afera się z tego zrobiła wielka. Wszyscy uważają, że zrobiono mnie i moim Czytelnikom wielkie świństwo. Wkurzeni są wszyscy. I lewica, i prawica, i centrum. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Jeszcze raz – dziękuję za wyrazy solidarności.

24 X 2019 – Bartosz Węglarczyk na portalu Onet.pl

Jego książka nie musi się nikomu podobać. Ale to w PRL-u urzędnicy decydowali, na kogo i na co mogą głosować obywatele. Nazywało się to demokracja socjalistyczna. I do tej starej, wypróbowanej metody sięgnęli organizatorzy konkursu, zamiast np. zorganizować debatę o książce z udziałem jej krytyków. W 2019 r. w Polsce odradza się – pod inną nazwą i w innej formie, ale, tak samo jak wówczas, za publiczne pieniądze – PRL-owski Główny Urząd ds. Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

25 X 2019 – portal Onet.pl

Jak wynika z dokumentów, do których dotarł Onet, książka Zychowicza była na pierwszym miejscu w konkursie z przewagą 400 głosów nad konkurencją.

25 X 2019 – List otwarty intelektualistów napisany przez Łukasza Warzechę

Stanowczo protestujemy przeciwko usunięciu z konkursu „Książka Historyczna Roku” książki Piotra Zychowicza „Wołyń zdradzony”. Decyzja zapadła wbrew woli jury konkursu, bez dyskusji pomiędzy jurorami reprezentującymi różne instytucje, na samym jego finiszu, kiedy trwało jeszcze głosowanie internetowe. Ta skandaliczna decyzja nie została oficjalnie przez nikogo uzasadniona, zaś członkowie jury i sam autor dowiedzieli się o niej z Internetu.

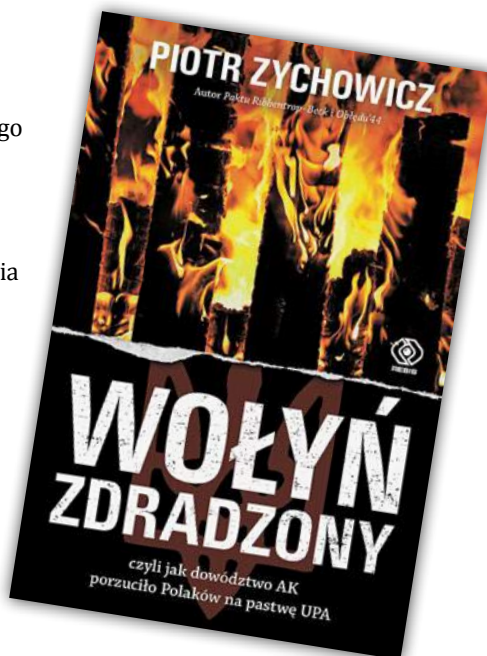
Z tezami i pisarstwem historycznym Piotra Zychowicza można się zgadzać lub nie zgadzać. Stajemy jednak w obronie wolności słowa i swobody dyskusji, gdyż na tym polega wolność debaty historycznej i publicystycznej, fundamentalna przecież dla każdej demokracji.

W konkursie na książkę historyczną roku decydują zarówno głosy jury, jak i internautów. W tym drugim wymiarze konkurs „Książka Historyczna Roku” ma charakter społeczny, zaś jego wynik jest zawsze skutkiem preferencji czytelników. Usunięcie w niejasny i zakulisowy sposób z listy książek nominowanych w konkursie pracy Zychowicza „Wołyń zdradzony” uznajemy za niedopuszczalne.

Internetowi uczestnicy głosowania, a nawet współorganizator konkursu – IPN, po blisko miesiącu trwania plebiscytu, zostali w ten sposób oszukani. To rodzaj cenzury, wynikający ze strachu przed otwartą, uczciwą debatą oraz przed samym wynikiem głosowania. Na takie działania nie może się godzić nikt, dla kogo ważna jest wolność słowa – niezależnie od tego, jaka jest jego opinia o konkretnej książce, o jej autorze oraz jakie są jego poglądy polityczne i wizja polskiej historii.

Wzywamy autorów pozostałych książek nominowanych w konkursie, by rozważyli bojkot tegorocznego konkursu, zaś organizatorów – do jego anulowania.

prof. Stanisław Żerko, historyk
prof. Sławomir Cenckiewicz, historyk
prof. Zbigniew Lewicki, amerykańista
Łukasz Warzecha, publicysta
dr Wojciech Stanisławski, historyk



■ **Jarosław Włodarczyk, publicysta**
dr Łukasz Jasina, historyk
Marcin Makowski, publicysta
Michał Wójcik, historyk i publicysta
Matthew Tyrmand, publicysta
Bartłomiej Radziejewski, „Nowa Konfederacja”
Andrzej Arseniuk, historyk, b. rzecznik IPN
ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski
Igor Janke, prezes Instytutu Wolności
Piotr Trudnowski, Klub Jagielloński
dr Krzysztof Rak, historyk dyplomacji
Rafał Otoka-Frąckiewicz, publicysta
Marek Kotłarski, historyk sztuki
Marcin Palade, socjolog
gen. Roman Polko
Piotr Żbikowski, historyk
Tomasz Sekielski, dziennikarz
Andrzej Mikosz, prawnik
Jan Pawlicki, dziennikarz i producent telewizyjny
Mariusz Gieraj, publicysta
Rafał A. Ziemiakiewicz, pisarz i publicysta
Piotr Pałka, politolog
Michał Szułdrzyński, publicysta
dr Witold Pasek, historyk
Juliusz Woźny, historyk
Paweł Burdzy

24 X 2019 – Sławomir Cenckiewicz na Twitterze

Aleksander Hercen napisał kiedyś: „Ginęły państwa, społeczeństwa, plebmiona i narody, a książka pozostawała”. Już dzisiaj wiem, że cenzorzy i aktorzy tej ohydnej akcji przemina, ale książki pozostaną na zawsze.

25 X 2019 – Oświadczenie przewodniczącego jury prof. Antoniego Dudka

Z uwagi na niedopuszczalne w mojej ocenie zachowanie niektórych organizatorów konkursu nie widzę dalszej możliwości uczestnictwa w pracach jury. Uważam, że dotychczasowa formuła organizacyjna [konkursu] została skompromitowana.

25 X 2019 – Oświadczenie prof. Jana Jacka Bruskiego

Podobnie jak przewodniczący Jury, p. prof. Antoni Dudek, chciałbym poinformować, że rezygnuję z udziału w dalszych pracach tego gremium. Bardzo żałuję, że ofiarą nieprzemyślnych działań, podjętych przez część organizatorów, padli autorzy szeregu bardzo wartościowych książek nominowanych w tej edycji, czytelnicy biorący udział w głosowaniu i sama – bardzo mi bliska – idea konkursu.

25 X 2019 – List prof. Andrzeja Nowaka do organizatorów konkursu

Pierwszy raz spotykam się z interwencją zewnętrzną wobec Jury i wobec Czytelników, która ma pozbać nas możliwości wyrażenia swojej opinii o książce zgłoszonej zgodnie z zasadami do konkursu. Czy ktoś się przestraszył, że możemy wybrać źle? Że Czytelnicy albo Jury mogą się pomylić? Oczywiście, że możemy. Ale jeśli ktoś podejmuje decyzję za nas, to nie ma sensu konkurs ani procedura wyłaniania w nim zwycięzców. Wzywam do wycofania nie książki pana Zychowicza, tylko nieprzemyślanej, w moim przekonaniu, decyzji organizatorów konkursu.

30 X 2019 – ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski w Radiu Wnet

Sposób, w jaki utracono „Wołyń zdradzony”, jest skandaliczny. Jury, które zakwalifikowało tę książkę, nie wydawało oceny, czy ona jest dobra czy zła. Ale że jest ciekawa i warta głosowania. To właśnie internauci mieli zdecydować, która książka zostanie wybrana. Natomiast to, że w trakcie [głosowania], w wyniku zakulisowych działań osób, które nie są pracownikami naukowymi, książkę utracono – to jest łamanie wszystkich zasad, które obowiązują w cywilizowanym świecie.

25 X 2019 – Oświadczenie Piotra Zychowicza opublikowane na Facebooku

Moja książka „Wołyń zdradzony” została wczoraj usunięta z konkursu „Książka Historyczna Roku” w skandalicznych okolicznościach. Stało się tak, mimo że prowadziła w mającym się niedługo zakończyć głosowaniu czytelników. Doszło więc do niedopuszczalnej ingerencji w głosowanie i tym samym wypaczenia wyniku całego konkursu.

W związku z tym apeluję do organizatorów o:

- Natychmiastowe wstrzymanie dalszego głosowania i anulowanie tegorocznego konkursu.
- Przekazanie nagród pieniężnych, które mieli otrzymać laureaci na wsparcie polskich szkół na byłych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej.

25 X 2019 – Oświadczenie na stronie „Książki Historycznej Roku”

Organizatorzy Konkursu „Książka Historyczna Roku” – Telewizja Polska, Polskie Radio, Instytut Pamięci Narodowej i Narodowe Centrum Kultury

– w związku z kontrowersjami związanymi z konkursem wspólnie podjęli decyzję o unieważnieniu tegorocznej edycji. Decyzja jest podyktowana troską o wiarygodność i prestiż Nagrody.

25 X 2019 – Piotr Zychowicz na Twitterze

Stało się! Tegoroczny konkurs „Książka Historyczna Roku” został unieważniony. Niestety obawiam się, że to koniec tej niegdyś szanowanej nagrody. Cenzorzy – co wyście narobili... Ech, duraki, duraki...

31 X 2019 – prof. Stanisław Żerko w „Dzienniku Gazecie Prawnej”

Autor został skrzywdzony, a czytelnicy zlekceważeni. Z tego, co wiem, ta książka w chwili jej wycofania prowadziła w internetowym plebiscycie czytelników. Jej usunięcie z konkursu w ostatniej chwili wydaje mi się zachowaniem nie fair. W przypadku książki o zbrodni wołyńskiej zwracanie uwagi na to, że ma ona elementy antypolskie i szarga wizerunek AK, jest całkowicie chybione. Podobnie jak pojawiające się w tym sporze argumenty, że książka ta rzekomo godzi w polską rację stanu. To rzeczywiście jest ograniczanie swobody debaty historycznej.

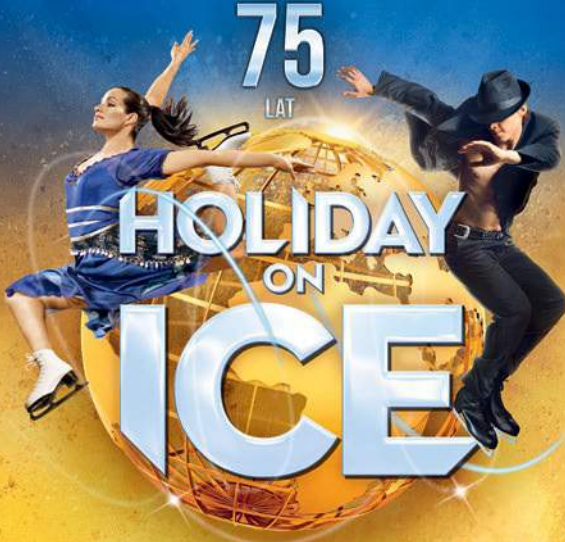
To kolejne wydanie sporu wokół pytania „Bić się czy nie bić?”. Problem w tym, że ten spór jest obecnie z jednej strony ograniczany. Widzę niepokojące tendencje zwolenników idei insurekcyjnej, aby ograniczać zasięg publikacji, które tę tradycję krytykują. W to wpisuje się właśnie unieważnienie tego konkursu.

Pojawia się nawet zarzut, że książka Zychowicza wspiera wysiłki antypolskiej propagandy Putina. To zarzut absurdalny i poniżej pasa.

Strona prawicowa bardzo atakuje coś takiego jak lewicowa poprawność polityczna. I słusznie. Ale w to miejsce wprowadza, niestety, poprawność polityczną innego rodzaju. To jest klasyczne niebezpieczeństwo, które wiąże się z uprawianiem przez część prawicy tzw. polityki historycznej. Wiaże się to z rugowaniem z przestrzeni publicznej pewnych stanowisk i ocen. *oprac. j.g.*

Na krótko przed zamknięciem tego numeru „HDR” prezesi TVP i Polskiego Radia odpowiedzieli na interwencję Rzecznika Praw Obywatelskich w sprawie „Wołyńa zdradzonego”. Ich zdaniem książka została usunięta z konkursu, bo została wydana... dwa dni za późno, niż przewidywał regulamin. Dom Wydawniczy REBIS odrzucił ten zarzut: książka wyszła o czasie.

REKLAMA



75 LAT

NAJLEPSZA NA ŚWIECIE REWIA NA LODZIE

SHOWTIME

27, 28, 29 MARCA 2020
ARENA GLIWICE

BILETY: WWW.PRESTIGEMJM.COM

Prestige MJM

GLIWICE

Arena Gliwice

wprost RZECZY onet STRÓER VIXON PRESS SERVICE pap

REKLAMA



PRESTIGE MJM PREZENTUJE

22 sierpnia 2020

PGE NARODOWY, WARSZAWA

ANDREA BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

BILETY: PRESTIGEMJM.COM www.andreabocelli.com

S KMM

1
A PLUS 1 TON
PAR 100 000 000

Od każdego biletu 4 zł na Fundację Andrei Bocellego

Prestige MJM

PGE
NARODOWYREGENT
WARSAW HOTELRadio
złote przeboje

Party

URODA

wprost RZECZY

HELIOS

PANI

Gda

VIVA!

PES



Kardynał Mariano Rampolla, którego wyborowi na papieża sprzeciwił się polski kardynał FOT. WIKIPEDIA



Kardynał Giuseppe Sarto, który jako papież przyjął imię Pius X FOT. ARCHIWUM

1903 r. / Watykan

Polskie weto na konklawe



Tomasz Stańczyk

**Kardynał Jan Puzyna
zablokował możliwy
wybór Mariano
Rampolli na papieża.
Kierował się interesem
Kościoła i Polaków**

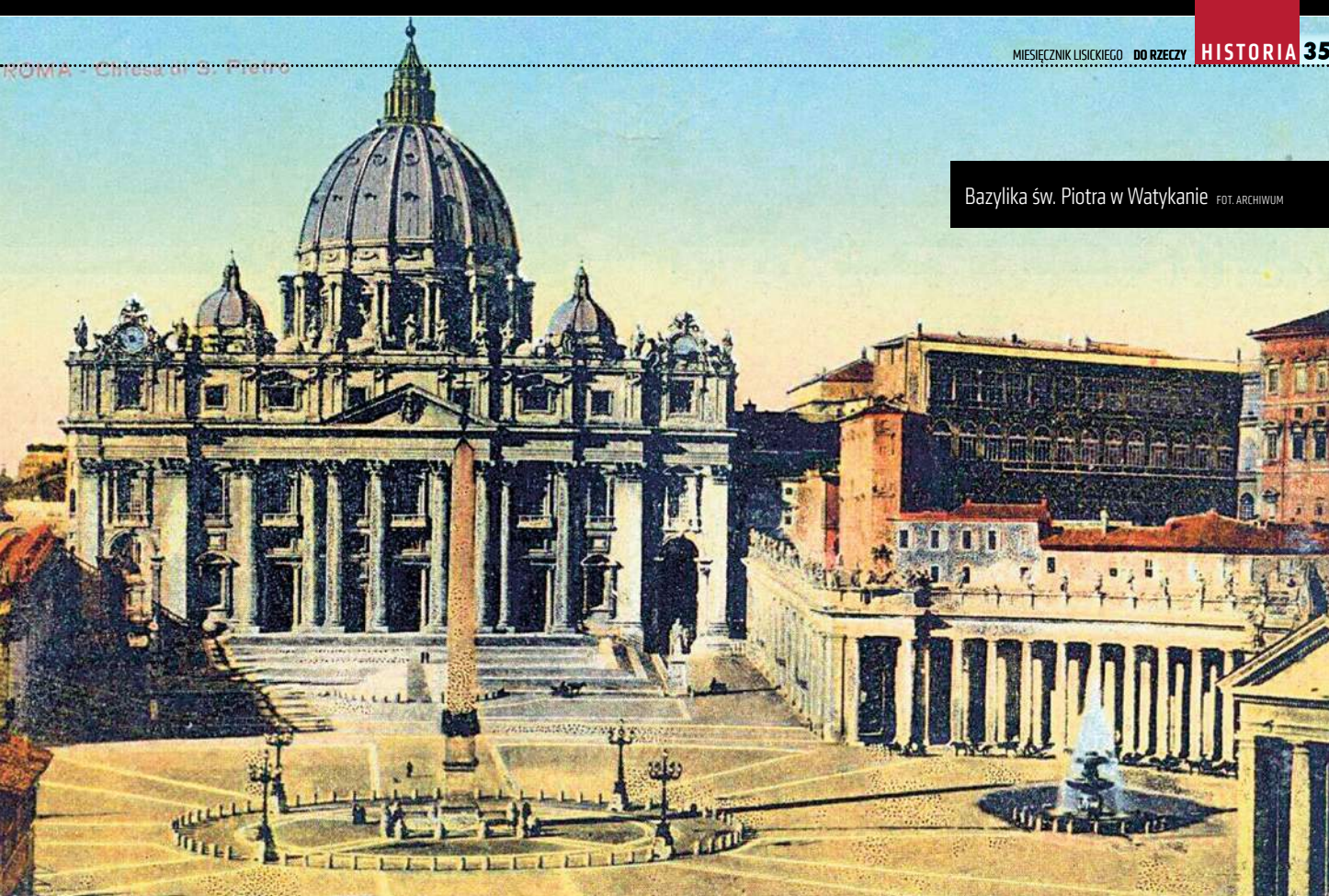
Kardynał Jan Puzyna był źle oceniany przez społeczeństwo polskie i taka opinia utrzymała się do dziś. Nie rozumiano motywów działania Puzyny, oceniano go powierzchownie.

Puzyna urodził się w 1842 r. w Gwoźdźcu na Podolu. Pochodził z książęcej rodziny. Po studiach prawniczych wybrał karierę w administracji galicyjskiej. Porzucił ją jednak, podobno m.in. z powodu zawodu miłośnego. Tak

twierdził Kazimierz Chłędowski, galicyjski, a potem wysoki wiedeński urzędnik, autor znanych pamiętników.

„Gdy zdał doktorat z prawa i wstąpił do urzędu, do Dyrekcji Skarbu we Lwowie – pisał o Puzynie – zaczął bywać u pp. Włodzimierzów Dzieduszyckich i oswajać się z myślą, że najstarsza ich córka dla niego przeznaczona. Gdy Dzieduszyccy zmienili intencję Jasia, dali mu do poznania, iż za niego by córki nie wydali. Jaś wziął to sobie bardzo do serca, a zawód ten, jak i niepowodzenia w urzędzie, głównie go

Bazylika św. Piotra w Watykanie FOT. ARCHIWUM



skłoniły do wstąpienia do seminarium duchownego”.

Kariera Puzyny w Kościele była bardzo szybka. Po 10 latach od wstąpienia do seminarium, w 1886 r. był już biskupem pomocniczym w archidiecezji lwowskiej.

W 1894 r., po śmierci bp. Albina Dunajewskiego, został biskupem krakowskim. I od razu zrobił niemiłe wrażenie. Mszę odprawiał tak, jakby się spieszył, nie miał dobrego głosu.

„Uderzał mianowicie – przynajmniej nas, alumnów – zupełny brak głosu u nowego Arcypasterza tudzież pewien pośpiech w całej akcji, tj. tak w przemowie, jak i w odprawianiu nabożeństwa” – relacjonował Edward Komar pierwszą mszę odprawianą przez Puzynę w katedrze krakowskiej.

A poza tym Puzyna był człowiekiem oschłym i surowym, co nie przysparzało mu popularności.

W 1901 r. popełnił w Krakowie samobójstwo znany komediopisarz Michał Bałucki. Chociaż nalegano bardzo na kardynała, to nie chciał zgodzić się na pogrzeb katolicki, zgodnie z zasadami religii. Puzyna uznał, że Bałucki zastrzelił się w pełni władz umysłowych, z zimną krwią. Tymczasem pisarz cierpiał na

depresję wywołaną kryzysem twórczym i coraz mniejszym zainteresowaniem jego sztukami. Można było uznać, że pisarz nie miał pełnej świadomości w momencie targnięcia się na życie. Puzyna nie wziął tego pod uwagę, wystarczyło mu to, że – jak mówiono – Bałucki nosił się od pewnego czasu z myślą odebrania sobie życia.

W 1909 r. polską opinię wzburzyła odmowa pochowania Juliusza Słowackiego na Wawelu. Starał się o to powołany w tym celu społeczny komitet. Puzyna miał odmówić, gdyż komitet, nie pytając go o zgodę jako gospodarza krypt wawelskich, ogłosił, że poeta będzie tam właśnie pochowany.

Kardynał argumentował też: „To nekropolia królów; wyjątek uczyniono dla Kościuszki i duchowego króla, Mickiewicza”. Puzyna uważał, że Słowacki nie jest równy Mickiewiczowi. A miejscem na pochówek zasłużonych Polaków jest panteon w krakowskim kościele na Skałce. Spoczywali tam już m.in. Kraszewski i Wyspiański.

Istnieje jednak inna wersja motywu odmowy miejsca Słowackiemu na Wawelu. Profesor Franciszek Ziejka odnalazł donos niejakiego Antoniewicza. Utrzymał on, że Słowacki był antykleryka-

łem, wywrotowcem i ateistą. „Wszystko wskazuje na to, że decyzję o odmowie zgody na pochówek poety w podziemiach katedry wawelskiej podjął na podstawie lektury pamfletu Antoniewicza” – stwierdzał prof. Franciszek Ziejka. („Tygodnik Powszechny” nr 26/2017).

Poza tym kard. Puzyna uważał, że – jak relacjonował ks. Komar – „czasy obecne nie są ku temu, by wymyślać obchody i bawić się w demonstracje uliczne. Praca, praca i jeszcze raz praca! Obchody nam nic nie przyniosą, a tylko pychę naszą i próżniactwo spotęgują. Dobre są, nawet potrzebne, lecz rzadko i inaczej odbywane. Patriotyzm na demonstracjach nie polega!”.

Rok później posypały się na Puzynę jeszcze większe gromy. W Krakowie odbywały się wielkie uroczystości z okazji 500-lecia bitwy pod Grunwaldem. Odsłonięto pomnik Grunwaldzki. Organizatorzy obchodów chcieli, by na Błoniach odbyła się msza święta połowa. Puzyna nie zgodził się. „Błonia są dla krów i gapiących się. Kto by wysłuchał tej Mszy św. na Błoniach? Jakby się zachowały tysiące ludu, stojącego dalek od miejsca nabożeństwa?” – tłumaczył ks. Komarowi. Nie miał jednak nic przeciw temu, by msze

■ święte z okazji rocznicy Grunwaldu odbywały się w krakowskich kościołach.

Puzyna nie rozumiał, że uroczystości patriotyczne przyczyniają się do podtrzymania ducha narodowego. Za to spadała na niego krytyka. Miał inną koncepcję patriotyzmu, opartą na moralnym odrodzeniu Polaków. Bardzo dbał też o podniesienie moralnego i duchowego poziomu kleryków – przyszłych księży.

Zastrzeżenia wobec Rampolli

Gdy zmarł papież Leon XIII, kard. Puzyna nie był całkiem zdrowy. Zdecydował się jednak jechać do Rzymu. Powiedział ks. Komarowi, który odradzał mu podróż: „Czy ojciec wie, co to znaczy wybierać Papieża dziś, w takim położeniu Kościoła?!”.

Puzyna obawiał się wyboru kard. Mariana Rampolli del Tindaro, wieloletniego sekretarza stanu, który wraz ze starzeniem się Leona XII (dożył 93 lat) odgrywał coraz większą rolę w Watykanie. Puzyna nie podobało się „posuwanie nawy Kościoła drogami polityki światowej, chęć brania udziału w zmiennych konstatacjach politycznych”. A to jego zdaniem czynił Rampolla.

Kardynał Puzyna był krytycznie nastawiony wobec angażowania się Kościoła w politykę.

„Pan Jezus nie politykować nam każe, lecz Królestwo Boże budować [...]. Pracujmy, wychowujmy dobrych katolików, tegich obywateli, a tym samym – dodam – najskuteczniej pracować będziemy dla polityki, boć politykę robią ludzie, a jeżeli ludzie będą uczciwi, duchem Bożym owiani, to i polityka takąż będzie” – relacjonował Edward Komar słowa kardynała.

Był też inny motyw niechęci Puzyny do Rampolli. Ksiądz Jan Kracik pisał w życiorysie polskiego kardynała w „Polskim Słowniku Biograficznym”, że obawiał się, iż Rampolla – znany frankofil i zwolennik porozumienia z Rosją (której sojusznikiem była Francja) – nie będzie przychylny Kościołowi polskiemu w Królestwie, a także prześladowanym przez carat unitom podlaskim. Obawiano się też bardzo, o czym wspominał ks. Walerian Meysz-towicz, że Watykan pójdzie na ustępstwa wobec caratu i język rosyjski pojawi się



Kardynał Jan Puzyna, biskup krakowski
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w kościołach katolickich na tzw. ziemiach zabranych.

Wyjeżdżając na konklawe, Puzyna powiedział ks. Komarowi: „Jeśli kardynał Rampolla zostanie wybrany papieżem, ja pierwszy z kardynałów ucałuję jego pierścień rybacki i stopy – dołożę jednak wszelkich starań, by do jego wyboru nie dopuścić... Nam potrzeba papieża biskupa, nie papieża-polityka!”.

Po drodze do Watykanu zatrzymał się w Wiedniu. Otrzymał tam od Franciszka Józefa I pełnomocnictwo do zgłoszenia weta (ekskluzwy) na konklawe. Był to stary niepisany, a jednak akceptowany przez papieństwo zwyczaj monarchów wielkich państw katolickich, takich jak Francja, Austria, Hiszpania, wykorzystywany w praktyce, także w XIX w.

Oczywiście to nie Puzyna prosił o takie pełnomocnictwo cesarza. Franciszek Józef I miał własne powody, by kardynał nie został wybrany. Za nim opowiadała się Francja, poza tym Rampolla wydawał się Franciszkowi Józefowi I zbyt mało konserwatywny. Podejrzewano nawet, że Rampolla jest miły masonom lub będzie im ulegał. Pisano też, że żaden z kardynałów austriackich nie chciał się zgodzić wnieść weta przeciw Rampolli i dopiero Puzyna się zgodził. Nie była to jednak prawda. Można sądzić, że gdyby

kardynał nie miał własnych zastrzeżeń co do Rampolli, to przy jego surowym, twardym charakterze nie przyjąłby misji od Franciszka Józefa.

Protest Puzyny

Pierwsze głosowanie, 1 sierpnia 1903 r., ujawniło, że największym poparciem cieszył się Rampolla (27 głosów), ale dwaj konkurenci, kardynałowie Girolamo Gotti i Giuseppe Sarto, dostali razem niemal tyle samo głosów.

„Wielu kardynałom podawałem myśl, że przysły papież winien być pobożny, wielkiego serca dla wszystkich narodów, rozumiejący pracę biskupa diecezjalnego: małe, wielkie seminaria, misje, wizyta pasterska. Polityka środek – nigdy cel rządów” – relacjonował początek konklawe Puzyna (za: Jacek Urban, „Relacja kard. J. Puzyny o konklawe i o jego słynnym weto”, „Folia Historica Cracoviensia”, R. 8, 2002).

Puzyna uważał też, że trzeba wybrać papieża-biskupa nie tylko podobającego się Francji i Rosji, lecz także biorącego w obronę „małuczkich”. „Byłem u kardynała Oreglii (dziekan Kolegium Kardynał-skiego) zwracałem [uwagę] na niewłaściwą kandydaturę R[ampolli]. Kardynał Or[eglia] jest za G[ottim]. U mnie narada, mam w niedzielę rano być u kard. Oreglii i oddać protest-ekskluzwy rządowi przeciw wyborowi R[ampolli]” – pisał kard. Puzyna w notatce z przebiegu konklawe.

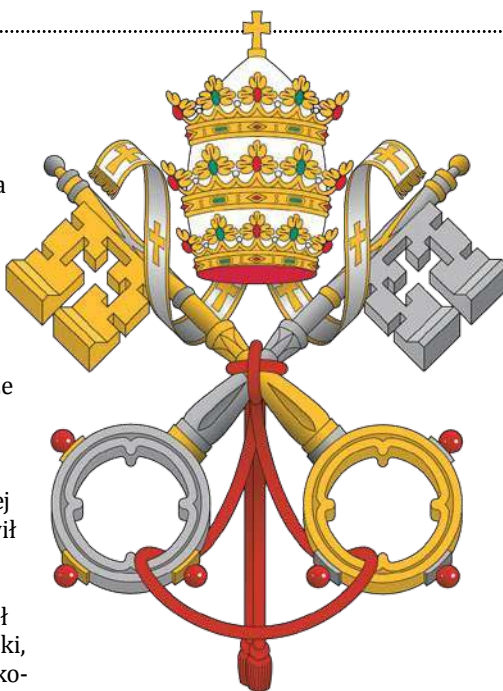
Następnego dnia Oreglia odmówił przyjęcia protestu. Niezrażony tym Puzyna powiedział w oczy Rampolli, że wniesie weto przeciw jego wyborowi. Tamtego dnia wielu kardynałów przerzuciło głosy z kard. Gottiego na kard. Sarto, który dostał 21 głosów, ale Rampolla wciąż prowadził, otrzymując 29 głosów.

Puzyna, widząc, że Rampolla zyskuje głosy i być może zanosi się na jego wybór, odczytał formułę ekskluzywy w imieniu Franciszka Józefa I. Kardynałowie w praktyce nie przyjęli do wiadomości weta Puzyny, gdyż w kolejnym głosowaniu na Rampollę padł na niego jeszcze jeden głos więcej. Ale Sarto zyskał trzy głosy. Wobec możliwego wyboru oświadczył, że go nie przyjmie. Puzyna wziął go na rozmowę. „Chwyciłem go silnie za rękę, mówiąc: prenez vous!...”. Co znaczyło: proszę przyjąć wybór! Wkrótce potem Sarto przestał się opierać.

W kolejnych głosowaniach rosła liczba głosów oddanych na Sarto, malała na Rampollę. W siódmym głosowaniu kard. Sarto zyskał potrzebną większość głosów i został wybrany na papieża. Trudno orzec, czy ekskluzywa wniesiona przez Puzynę miała decydujący głos, wydaje się jednak, że tak. Chociaż formułowano opinie, że Rampolla więcej głosów poparcia nie mógł już zdobyć.

Kardynał Puzyna był bardzo atakowany za weto, także przez część polskiej opinii publicznej, uważającej, że stanowił posłuszne narzędzie w ręku Franciszka Józefa I. Pismo „Myśl Niepodległa” twierdziło, że kandydaturę Sarto zgłosił niemiecki kard. Kopp, biskup wrocławski, wrogi Polakom w zaborze pruskim. A skoro Puzyna pomógł w wyborze Sarto na papieża, to stawał się współnikiem kardynała-germanizatora. „Ślepe narzędzie germanizacji, posłuszny pionek w rękach pruskich, współnik i kolega kard. Koppa – działał na szkodę polskości, a na rzecz hakatyizmu” – znieważano Puzynę.

Co ciekawe – jak zauważał kardynał – atakowały go kręgi co najmniej obojętne



wobec Kościoła i religii. Nie chciał ani nie mógł się bronić, nie mógł bowiem ujawnić ani swojej opinii o Rampolli, ani opinii cesarza. Puzyna skarżył się ks. Komarowi: „Posądzają mnie o motywy polityczne – żem zaprzędany Austrii – według innych i Prusom – według innych jeszcze miałem być narzędziem masonów. Poważam

i szanuję cesarza, jak ojcu wiadomo, nigdy jednak nie dałbym się użyć za narzędzie do celów politycznych, bo moja polityka jedyna jest: służyć Panu Bogu i Kościołowi [...]. Mnie chodziło tylko o przyszłość Kościoła, o prądy i kierunek w Kościele. Raczej ja wyzyskałem Austrię, a nie ona mnie!”. A chodziło też o sprawy polskie: „Więcej mówić nie mogę... Dosyć miałem dowodów w rękę!”.

Puzyna przyczynił się prawdopodobnie w decydującym stopniu do wyboru kard. Sarto, który przybrał imię Piusa X. Jedną z pierwszych decyzji nowego papieża był zakaz używania weta podczas konklawe. Wybór kard. Sarto był ogromnie ważny dla Kościoła. Pius X wprowadził bowiem przysięgę antymodernistyczną dla duchowieństwa. Głosiciele modernizmu uważali m.in., że Kościół może i powinien zmieniać swoją doktrynę i naukę, zmieniając nawet dogmaty, by przystosować się do współczesnego świata. W gruncie rzeczy z taką sytuacją mamy do czynienia dziś. Pius X został kanonizowany przez Piusa XII. Przysięgę antymodernistyczną zniósł jego następca Paweł VI...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

POLSKIE 100 LAT

UNIKATOWE MATERIAŁY

BIULETYN INFORMACYJNY PRZEMILCZANE FAKTY

HISTORIA

TVP

Piątek 20:00 HISTORIA

Świadek historii / Z Winicjuszem Natoniewskim,
ofiarą niemieckiej zbrodni w Szczecynie



rozmawia Piotr Włoczyk

Płonałem jak pochodnia

/ – Po wyjściu z ziemianki szedłem wzdłuż ściany płonącego domu. Ogień lizał moją twarz, ręce, ubranie. Zacząłem płonąć. Byłem w szoku – opowiada Winicjusz Natoniewski, ofiara niemieckiej pacyfikacji polskiej wsi

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego niemiecka żandarmeria pojawiła się w Szczecynie 2 lutego 1944 r.?

WINICJUSZ NATONIEWSKI: Mówiono, że to była zemsta za działalność polskiej partyzantki. Wokół mojej rodzinnej wioski na Lubelszczyźnie do dziś jest bardzo dużo lasów. Idealne warunki dla partyzantów. Starsi ode mnie mówili, że dużo się tam działo, polscy żołnierze robili wiele problemów Niemcom. Ja oczywiście wtedy o niczym takim nie słyszałem ani też nie widziałem partyzantów. Nie interesowały mnie za bardzo takie rzeczy. Kiedy przyszli nas wszystkich spalić, miałem przecież dopiero 5,5 roku.

Ciężko dziś dokładnie ustalić, ilu mieszkańców Szczecyna zginęło w wyniku tej akcji. Według najostrożniejszych szacunków było to co najmniej 200 osób.

To absolutne minimum. Sam na własne oczy widziałem pole we wsi, które były dosłownie zasłane trupami.

Od czego zaczęła się pacyfikacja?

Początkowo zabijali wszystkich jak leci. Nie robiło im żadnej różnicy, czy strzelali do mężczyzn, kobiet, dzieci czy starców. Zabijali każdego, kto im się nawinął pod karabiny. Po jakimś czasie – jak mi potem opowiedzieli starsi – ten szal został jednak na szczęście częścio-

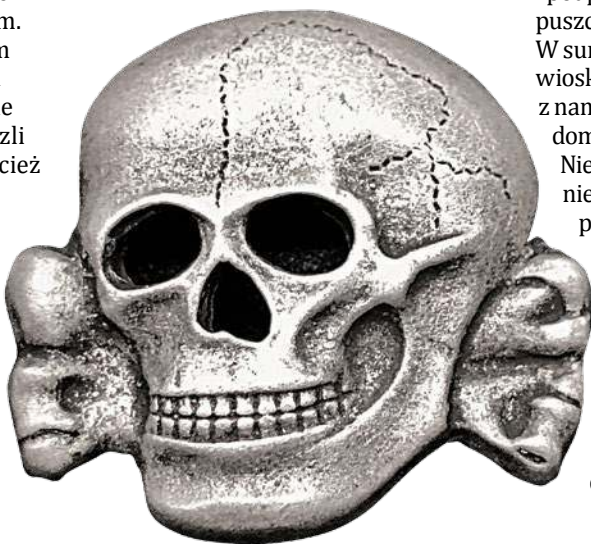
wo zastopowany. Przyjechało dwóch wyższych oficerów i zmieniło rozkaz w sprawie mordowania. Żołnierze niemieccy mieli odtąd zapędzać kobiety i dzieci na pobliskie pastwisko. Tylko mężczyźni mieli zostać zgładzeni na miejscu. Mamę i siostrę zabrali Niemcy, a mój tatuś i dziadek schowali się wraz ze mną w – tak się wtedy wydawało – bezpiecznym miejscu.

Czyli?

W ziemiance przy domu. Mieściła się ona jakieś 5 m od niego. To niestety w całej tej historii miało fatalne skutki. Niemcy chodzili od chałupy do chałupy i podpalali budynki. Całe gospodarstwa puszczały z dymem, a ludzi mordowali. W sumie spalili ok. 150 domów. Cała wioska płonęła, a my nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Niemcy podeszli pod nasz dom oraz oborę i podpalili te budynki. Nie odnaleźli nas w ziemiance, ale to niestety nie znaczyło, że byliśmy bezpieczni. Musieliśmy w końcu stamtąd wyjść.

Dlaczego nie wytrzymaliście w środku do samego końca napaści na wioskę?

Winowajcą był dym. Czarny, gęsty, gryzący. Tak się tragicznie złożyło, że wiatr wiewał do naszej ziemianki cały ten dym. Nie dało się wytrzymać, dusiliśmy się.





Winicjusz Natoniewski

FOT. STEFAN KRASZEWSKI/PAP

Ojciec wyszedł jako pierwszy. Powiedział, że idzie zobaczyć, co się dzieje, czy Niemcy już skończyli palenie i mordowanie. Nie wiem, jak długo go nie było, ale to się przedłużało w nieskończoność. Byłem przerażony. Dymu było coraz więcej, był coraz bardziej gryzący i musiałem w końcu stamtąd wyjść. Pamiętam, że krzychałem: „Dziadku, dziadku!”. Nie było jednak reakcji. W końcu wyszedłem sam. To były ostatnie chwile, kiedy byłem zdrowy.

W jakich okolicznościach spotkała pana cała ta tragedia?

Nie miałem jeszcze sześciu lat, więc i bez takich potwornych okoliczności tak małe dziecko nie zachowuje się do końca przewidywalnie. A ja byłem przecież sparaliżowany z przerażenia całym tym piekłem, które Niemcy rozpętali dookoła mnie. Po wyjściu z ziemianki szedłem wzdłuż ściany płonącego domu. Ogień liżał moją twarz, ręce, ubranie. Zacząłem płonąć, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się właśnie ze mną dzieje. Byłem w kompletnym szoku. Obok nas mieściło się gospodarstwo stryjenki. Ojciec ukrył się w rowie i wołał mnie, a ja zacząłem biec do niego.

Syn płonący jak pochodnia... Ciężko sobie wyobrazić, co musiał wtedy czuć pański ojciec...

To musiał być dla niego horror... Tatuś mnie złapał, rzucił na ziemię i zaczął gasić. Pamiętam tę mokrą ziemię. To był luty, ale nie było wtedy śniegu.

Trudno uwierzyć, że mimo takich okoliczności udało się panu przeżyć.

Znalazł się ktoś, kto mnie stamtąd zabrał. Obok nas stał dom stryjenki. Tata zawołał ją, żeby mnie przejęła. Jakimś cudem Niemcy nie widzieli, jak mnie tata przekazywał przez okno stryjence. Kiedy mnie odebrała, do chałupy przyszli akurat Niemcy. Wygonili ją ze mną na rękach. Razem z innymi kobietami i dziećmi szła na pastwisko, gdzie Niemcy zorganizowali punkt zborny. Kiedy wisiałem jej na rękach, widziałem stosy trupów po drodze. Horror, po prostu horror! Na miejscu na pastwisku było już mnóstwo kobiet i dzieci. Stamtąd popędzili nas dalej – do Gościeradowa. A tam czekały już na nas ciężarówky...

Gdzie was wywieźli?

Stryjenka nas uratowała przed wywózką. Nie wiem dokładnie, jak



Niemieccy żołnierze spalili i spacyfikowali tysiące wsi FOT. ARCHIWUM

■ udało jej się to zrobić, ale jakimś cudem zdołała – ze mną na rękach – odłączyć się od tej grupy. Potem dowiedziałem się, że część ludzi z tych ciężarówek została wywieziona do Rzeszy na roboty, a część Niemcy wywieźli do obozów...

Ille osób z rodziny stracił pan tego dnia?

Wobec skali masakry w Szczecynie to sprawa niezwykła – nie straciłem nikogo z najbliższej rodziny. Wszyscy przeżyli wojnę – mama, tata, dziadek, moja starsza siostra.

Tak straszne oparzenia nawet dziś leczy się bardzo trudno. Jak rodzina próbowała pana leczyć w warunkach wojennych, gdy brakowało nawet podstawowych środków medycznych?

Ze stryjenką trafiliśmy najpierw do prewentorium prowadzonego przez zakonnice. Siostry opiekowały się mną na tyle, na ile potrafiły. Zmieniały mi opatrunki, smarowały moje rany jakimiś maściami, ale nic więcej nie były w stanie zrobić. Byłem w makabrycznym stanie. Skóra odchodziła od mięsa. Potem trafiłem do Lublina, gdzie lekarze stawali na głowie, żeby mnie uratować. To już było po tym, jak Ruscy weszli. Próbowali przeszczepiać skórę, wycinając całe płyty z nóg. To się jednak nie przyjmowało! Moje ciało było jedną wielką raną.

Dopiero w szpitalu w Łodzi było lepiej. Lekarze używali tam innej techniki. Na ręce nakładali gips i dopiero to pomogło w przyjęciu się przeszczepów. Jednak lekarze nie byli w stanie zdziałać cudu – moje ręce zostały trwale okaleczone, co bardzo utrudniło mi – i wciąż utrudnia

– codzienne funkcjonowanie. W szpitalach leżałem trzy lata. Operowano mnie w sumie ponad 20 razy...

Rany fizyczne to jedno. Inna kwestia to psychika. Mogę się tylko domyślać, że tak widoczne poparzenia wiązały się z bardzo różnymi reakcjami ludzi. Kiedy pan dorastał, społeczna świadomość niepełnosprawności nie była przecież taka jak dziś...

Delikatnie pan to ujął. Szczególnie dzieci były okrutne. Moje dzieciństwo było pod tym względem pełne przykrości. Takie historie były u mnie niemal na porządku dziennym. Zresztą nie tylko w dzieciństwie mnie to spotykało – w dorosłym życiu też byłem wytykany palcami. Moja rodzina też przez to cierpiała...

Poza wymiarem zdrowotnym i traumą psychiczną jest jeszcze kwestia czysto materialna. Jak leczenie pańskich oparzeń odbiło się na pańskiej rodzinie?

Przed niemieckim atakiem moja rodzina żyła nie najgorzej. Ojciec był stolarzem, dobrze mu szło, więc dom był dosyć dostatni. To wszystko zmieniło się jednak tamtego dnia. Leczenie moich ran pochłaniało olbrzymie środki, rodzice musieli wyprzedawać majątek, żeby uciąć na to wszystko. W końcu stanął w naszym progu komornik. Kiedy zobaczył mnie i dowiedział się, na co idą pieniądze, zrezygnował z egzekucji. Gdy bardzo brakowało pieniędzy, rodzice okładali moje ręce korą z brzozy, żeby nie gnęły...

O pańskiej historii głośno zrobiło się w 2007 r., gdy opowiedział pan w telewizji

o swoim dramacie. W tym samym programie gościem był adwokat Roman Nowosielski, który postanowił pomóc panu – bezpłatnie – uzyskać zadośćuczynienie od Niemców. Domagał się pan potężnej kwoty – miliona złotych.

Tak, to niemałe pieniądze. Jednak czy nawet taka kwota mogłaby wynagrodzić mi to, co mnie spotkało? Nie sądzę. Pan Roman Nowosielski zachował się fanatystycznie, jestem mu za to niezmiernie wdzięczny.

Niestety, pańska sprawa przeciw Republice Federalnej Niemiec utknęła w martwym punkcie. Wygląda na to, że prawo jest dla pana bezwzględne – na końcu całej procedury prawnej Sąd Najwyższy przyznał wprawdzie panu rację moralną, ale uznał, że nie może pan pozwać strony niemieckiej, bo ta skutecznie zasłania się immunitetem. Przestał pan już wierzyć w sprawiedliwość?

Wciąż wierzę, że coś się uda zrobić w tej sprawie i w końcu odblokuje się możliwość pozwania Niemiec przed polskim sądem. To zadośćuczynienie nie jest jakimś wymysłem, tylko zwykłą sprawiedliwością. Niemcy, tak bogaty kraj, uchylają się jednak od odpowiedzialności. Jak oni tak mogą robić? Czy nie czują się winni tego, co zrobili w Polsce w czasie wojny? Poza tym to, co dzieje się za granicą, daje jakiś promyk nadziei.

Mówi pan zapewne o decyzji włoskiego Sądu Konstytucyjnego, który w 2014 r. orzekł prawomocnie, że prawo włoskiego obywatela do pozwania przed tamtejszym sądem innego państwa ma pierwszeństwo przed niepisaną regułą prawa międzynarodowego, które stanowi, że państwa cieszą się immunitetem.

Dokładnie. Skoro coś takiego możliwe jest we Włoszech, to dlaczego Polacy nie mają mieć takiej możliwości? Czekam na dzień, kiedy w polskim prawie pojawi się odpowiednia furtka. Na pewno będę chciał z niej skorzystać.

Zakończmy czymś bardzo pozytywnym. Mimo całej tej tragedii udało się panu jednak znaleźć niezłą pracę, a także zbudować szczęśliwą rodzinę. I to niemałą!

Tak. Pracowałem w rolnictwie, zrobiłem studnia zootechniczne i zostałem nawet szefem PGR. Ożeniłem się i doczekałem się trojga wspaniałych dzieci. Pod tym względem mogę mówić o sobie, że jestem prawdziwym szczęściarzem.



PGNiG gwarantem bezpieczeństwa energetycznego Polski

Naszą misją jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa energetycznego. Każdemu naszemu działaniu przyświeca myśl, by działać zgodnie z interesem kraju i społeczeństwa, tak by realizować ambitne cele biznesowe i jednocześnie wspierać ideę patriotyzmu narodowego.





Grzegorz Janiszewski

Spektakularna akcja komandosów z SAS w ambasadzie Iranu w Londynie trwała 17 minut. Jej wynik znacząco wzmocnił pozycję Margaret Thatcher



Kwiecień/maj 1980 r. / SAS na wojnie z terrorem

Strzały w ambasadzie



Żołnierze SAS szturmują
gmach ambasady

FOT. BOURENMOUTH NEWS

tam interesantom i pracownikom. Część napastników rozbiegła się po pokojach, szukając następnych zakładników. Wzięto ich łącznie 26. Oprócz personelu ambasady było też dwóch pracowników BBC starających się o irańskie wizy oraz syryjski dziennikarz Mustafa Karkuti, który służył potem nieznanym angielskiego terrorystom jako tłumacz.

Zaalarmowani policjanci szybko przyjechali na miejsce. Wycofali się, kiedy z okna ambasady wyrżał mężczyzna, grożąc im bronią. Szybko zebrał się zespół kryzysowy pod kodową nazwą COBRA. Ambasada została odcięta od świata. Terrorysty mogli odtąd komunikować się tylko z policją przez podrzucony radiotelefon. Około godz. 15 terrorysty ogłosili, że są członkami Demokratycznego Rewolucyjnego Frontu Wyzwolenia Chuzestanu. W tej irańskiej prowincji, bogatej w ropę i zamieszkaną głównie przez Arabów, rok wcześniej wybuchło powstanie przeciwko nowym rządom w Iranie. Przywódca – Oan Ali Mohammed – przekazał też pierwsze żądanie: zwolnienia 91 arabskich więźniów przetrzymywanych przez Iran. Zagroził też wysadzeniem w powietrze ambasady razem z zakładnikami.

W tym czasie na Bliskim Wschodzie wrzało. Dosłownie przed tygodniem fiasko poniosła operacja „Orli Szpon”. Próba (nieudana) uwolnienia zakładników przetrzymywanych w ambasadzie USA w Iranie podjęta przez amerykańskie siły specjalne zradyzowała nastroje w tym kraju. Irańskie władze nie były chętne do współpracy. Podejrzewały nawet, że Brytyjczycy biorą udział w prowokacji wymierzonej w islamską republikę. Ambasadę chronił immunitet dyplomatyczny. Jednak pozostawienie sprawy Irańczykom mogło doprowadzić do wykorzystania zakładników jako meczenników. Brytyjskie władze od początku chciały rozwiązać problem przez negocjacje. Nie zaniechano jednak przygotowań do wariantu siłowego.

Partacze i spece

Terrorysty byli Arabami z Chuzestanu. Zwerbował ich oficer irackiego wywiadu Sammi Mohamad Ali, zwany Lisem. On też dostarczył im broń i granaty, przemycane do Wielkiej Brytanii w poczcie dyplomatycznej. Nie wiadomo, co im obiecał za udział w zamachu, ale przez kilka dni



poprzedzających atak mieli dosyć pieniędzy, żeby używać pełni życia w Londynie. Napastnicy byli słabo wyszkoleni. Nie przeszukali nawet dokładnie Locka, który cały czas miał schowany pod kurtką policyjny rewolwer Smith & Wesson kal. 38. Podczas zajmowania ambasady trzech pracowników zdołało im uciec. Nie wystawili posterunków, z których mogliby obserwować, co się dzieje na zewnątrz. Zamiast zaminować wejścia i okna, jak się odgrzaży, zabarykadowali je jedynie meblami, które polali naftą.

Wielka Brytania była przygotowana na takie sytuacje. Wybór ludzi odpowiednich do likwidacji zagrożenia mógł być tylko jeden – Special Air Service. Jednostka ta po II wojnie światowej uczestniczyła w wielu operacjach, w tym przeciw terrorystom. Po zamachu w Monachium w 1972 r. w SAS został stworzony specjalny pododdział do akcji antyterrorystycznych – Counter Revolutionary Warfare (CRW). Grupował specjalistów do walki w ciasnych pomieszczeniach i uwalniania zakładników.

Rozpoczęły się przygotowania do odbicia ambasady. Głównym problemem był brak informacji z jej wnętrza. Na miejsce ściągnięto snajperów i policyjnych specjalistów z aparaturą podsłuchową. Dwa zespoły ze szwadronu B 22. pułku SAS przybyły późnym wieczorem z Hereford i zostały rozmieszczone w koszarach Regent's Park. Dowodził nimi ppłk Michael Rose. Jeden z zespołów ulokował się

30 kwietnia 1980 r. sześciu uzbrojonych w pistolety mężczyzn zgarnęło z ulicy pijącego właśnie poranną kawę konstabla Trevora Locka z policyjnej Grupy Ochrony Dyplomatycznej i wtargnęło do ambasady Iranu w Londynie. Lock zdążył tylko nacisnąć alarmowy przycisk swojej radiostacji. W środku terrorysty puścili serię z pistoletu maszynowego w sufit hallu i kazali położyć się na ziemię przebywającym

■ w sąsiednim budynku przy Prince's Gate 14, gotowy w razie potrzeby do natychmiastowego działania.

Negocjacje...

Następne dni upływały na negocjacjach. Zamiast uwolnienia zakładników ogłoszono manifest terrorystów w brytyjskich mediach. Ambasadorowie państw arabskich, którzy mieli na żądanie terrorystów zaangażować się w spór, rozpoczęli konsultacje ze swoimi rządami. Oan próbował wymusić natychmiastowe spełnienie żądań, grożąc zastrzeleniem attaché kulturalnego ambasady Fazziego Ezattiego, ale nie zrobiło to większego wrażenia na policyjnych negocjatorach. Wieczorem BBC opublikowało manifest terrorystów, a policjanci zgodzili się na opublikowanie kolejnego oświadczenia w zamian za uwolnienie dwóch zakładników. Jednym z nich miał być Ali Guil Ganzafar, wybrany przez towarzyszy z powodu głośnego chrapania podczas snu.

W tym czasie centrum kryzysowe zbierało coraz więcej informacji. Wywiercono otwory w ścianach, w których umieszczono mikrofony podsłuchowe. Zaniepokojonych odgłosami dochodzącymi z sąsiedniej ambasady terrorystów uspokoił Lock, przekonując, że w starym budynku grasują myszy. Żeby zagłuszyć odgłosy wiercenia, pracownicy British Gas na prośbę władz zaczęli kruszyć młotami pneumatycznymi asfalt po drugiej stronie ulicy, szukając nieistniejącej awarii. Potem zaczęto kierować loty samolotów z i do Heathrow na obniżonej wysokości nad ambasadą.

Uwolnieni zakładnicy opowiedzieli o miejscu i warunkach, w których byli przetrzymywani. Zarządca budynku przekazał, że drzwi i okna na parterze wzmocnione są pancernymi płytami oraz szkłem i ich sforsowanie z marszu może okazać się niemożliwe.

W tym czasie komandosi z SAS też nie próżnowali. Nocą przeprowadzili rekonesans na dachu, gdzie odkryli świetlik, który mógł posłużyć jako wejście do budynku. Zaczepili też liny szturmowe do kominów. Wybudowano modele poszczególnych pięter ambasady w skali 1:1, w których ćwiczono odbijanie zakładników.

5 maja terroryści od rana byli przekonani, że ktoś jest w budynku. W ścianie



Premier Margaret Thatcher z żołnierzami oddziału SAS

FOT. ARCHIWUM

z sąsiadującą ambasadą Etiopii pojawiło się wybruszenie spowodowane obruszeniem cegieł. Terroryści mieli przeczuć, że atak nastąpi lada moment. O godz. 13 Oan zażądał rozmowy z arabskim dyplomatą, grożąc zabójstwem zakładnika. O godz. 13.45 rozległy się trzy strzały. Dowodzący operacją minister spraw wewnętrznych William Whitelaw, poinformowany, że planowana operacja SAS może przynieść nawet 40 proc. strat wśród zakładników, kazał zająć żołnierzom stanowiska. O godz. 17 operatorzy byli gotowi do szturmu. Policjanci sprowadzili imama z pobliskiego meczetu, żeby ostatni raz spróbował przemówić terrorystom do rozsądku.

Z wnętrza ambasady dało się słyszeć kolejne trzy strzały. Oan przekazał, że właśnie został zabity kolejny zakładnik i ma zamiar zabijać następnych, jeżeli nie zostaną spełnione ich żądania. Po chwili po schodach stoczyło się ciało wyrzucone przez frontowe drzwi ambasady. Zabitym był Abbas Lavasani, sekretarz prasowy placówki. Fanatyczny zwolennik nowych irańskich władz sam zgodził się zostać „męczennikiem rewolucji”.

Sytuacja była krytyczna. Whitelaw zwrócił się do Margaret Thatcher o przekazanie dowodzenia operacją w ręce wojska i zgodę na szturm ambasady. Premier natychmiast ją wyraziła. Policjanci negocjatorzy grali jeszcze na zwłokę z Oanem, próbując odwieść go od zamiaru zabijania kolejnych zakładników i dając jeszcze kilka minut operatorom SAS na końcowe przygotowania.

Go! Go! Go!

O godz. 19.23 w radiotelefonach operatorów rozległo się głośne „Go! Go! Go!”. Dwa zespoły – czerwony i niebieski – ruszyły do szturmu na ambasadę.

Przez świetlik w dachu wrzucone zostały granaty. Miały wybuchnąć razem z materiałami wybuchowymi w oknach na drugim piętrze budynku, podłożonymi przez zjeżdżających na linach komandosów. Dowodzący nimi sierżant zaplątał się w linę i zawisł w pół drogi. Żołnierz z jego grupy, próbując mu pomóc, wybił butem szybę w oknie. To zaalarmowało Oana, który wszczął alarm w ambasadzie. Operatorzy nie chcieli podkładać ładunków w oknach, żeby nie zranić wiszącego na linie sierżanta.

W końcu wybili okna, wrzucili przez nie granaty hukowe i weszli do środka. Wybuchy zapaliły stojące przy oknach nasączone naftą meble i zasłony. Ogień szybko dosięgnął wciąż wiszącego na linie żołnierza, poważnie go parząc. Żeby uniknąć płomieni, zaczął on huśtać się na linie. W końcu udało się go odciąć tak, że spadł na balkon poniżej. Następny zespół mógł zjechać do budynku.

Od frontu zakapturzeni komandosi w czarnych uniformach i maskach przeciwgazowych na twarzach przeszli z balkonu sąsiedniego budynku. Kapral John McAleese założył ładunek wybuchowy i zniknął. Po chwili potężny wybuch rozniósł na kawałki wielkie szklane okno. Zaraz po wybuchu operatorzy wrócili na balkon i weszli do środka. Cała akcja od początku rozgrywała się w obiektywach kamer licznie zgromadzonych przed ambasadą stacji telewizyjnych.

Lock, słysząc odgłosy szturmu, rzucił się na Oana, żeby uniemożliwić mu wydanie rozkazu zabicia zakładników. Jak na prawdziwego Bobby'ego przystało, dopiero teraz wyciągnął ukryty przez cały czas rewolwer. Podczas szarpaniny do pomieszczenia wpadli szturmujący żołnierze SAS, zabijając terrorystę serią z pistoletu maszynowego. Przez tylne drzwi weszły jeszcze dwie grupy, czyszcząc parter i piwnicę. Operatorzy znaleźli

zakładników w pomieszczeniu teleksu. Terrorysty zdążyli zabić jednego zakładnika, a dwóch ranić.

Wtedy doszło do wydarzenia, którego opis różni się w relacjach zakładników i antyterrorystów. Według tych pierwszych terroryści zostali natychmiast rozpoznani, postawieni pod ścianą przez żołnierzy SAS i rozstrzelani. Według drugich napastnicy skryli się wśród zakładników i zostali zastrzeleni, kiedy w ich rękach pojawiły się granaty.

Potem komandosi stworzyli żywy łańcuch, którym w dół, po schodach, zaczęli podawać sobie zakładników. Nagle w rękach jednego z nich pojawił się sowiecki granat F-1. Sierżant Palmer, nie mogąc strzelać w obawie o życie innych zakładników, uderzył terrorystę z całej siły kolbą pistoletu maszynowego HK w plecy. Mężczyzna spadł ze schodów na parter, gdzie został zastrzelony przez ubezpieczających akcją operatorów.

Zakładnicy zostali wyprowadzeni do ogrodu na tyłach ambasady. Tam został rozpoznany jeszcze jeden ukrywający się wśród nich terrorysta. Jeden z żołnierzy SAS wymierzył w niego broń i kazał iść

z powrotem do ambasady. Po chwili jednak zorientował się, że jest w obiektywie kamery, i przekazał go policji. Akcja pod kryptonimem Nimrod trwała 17 minut. Zaangażowanych w nią było ok. 30 komandosów.

Po akcji irańskie władze ogłosiły zabitych zakładników „męczennikami rewolucji” i podziękowały brytyjskim władzom za jej przeprowadzenie. Policja wszczęła śledztwo mające wyjaśnić okoliczności śmierci dwóch zakładników i pięciu terrorystów. Ostatecznie żołnierzom SAS nie postawiono żadnych zarzutów, uznając, że użyli broni w obronie koniecznej. Fowzi Nejad, jedyny terrorysta, który przeżył atak, został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. W 2005 r. warunkowo wyszedł z więzienia. Nie został wydany do Iraku ze względu na Europejską Konwencję Praw Człowieka i do dziś mieszka pod zmienioną tożsamością w Wielkiej Brytanii. Konstabl Trevor Lock został odznaczony Medalem Jerzego.



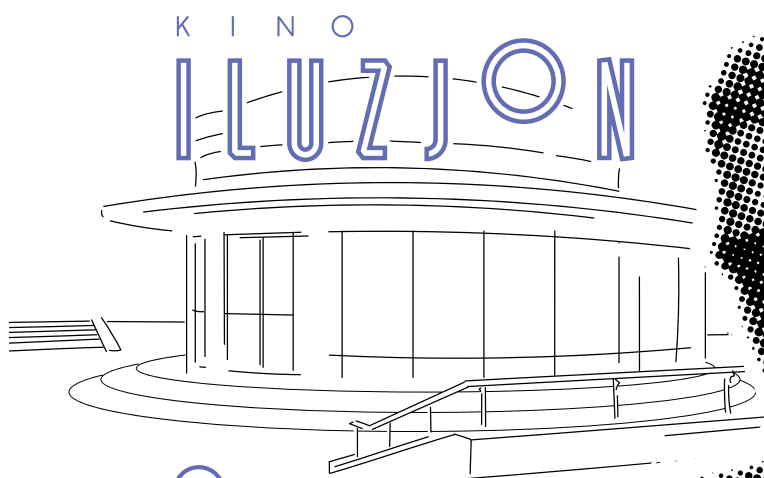
Akcja SAS była transmitowana na żywo przez największe stacje telewizyjne w dniu wolnym od pracy, w porze

największej oglądalności. Postawiła jednostkę – dotąd prowadzącą skryte operacje i unikającą rozgłosu – w świetle telewizyjnych reflektorów. SAS został zalany tysiącami aplikacji chcących do niego wstąpić młodych ludzi. Ucięto też wszelkie spekulacje, czy utrzymywanie tak kosztownych w szkoleniu i użyciu jednostek ma sens.

Dzięki żołnierzom SAS brytyjskie władze pokazały, że nie poddadzą się narastającej fali terroryzmu i z determinacją będą bronić liberalnych wartości zachodniej demokracji. Kilka dni po akcji media obiegło zdjęcie pani premier z zamaskowanymi operatorami SAS. Popularność „Żelaznej Damy” znacząco wzrosła. Odtąd mogła śmiało myśleć o wprowadzaniu swoich wolnorynkowych reform.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



**MIEJSCE
KINA**

kinoiluzjon.pl



II RP

/ Polacy z Mińska po pokoju ryskim

Porzuceni przez



Mikołaj Iwanow

„Kainie Grabski, cożeś uczynił ze swych braci białoruskich? Odpowiedzialność za haniebnny pokój, który narzuciłeś Polsce, spada na Ciebie!”



Wysoki Rynek w Mińsku. Grafika z XIX w. FOT. WIKIPEDIA

Polskie słowo „mińszczanin” dziś już zupełnie wyszło z powszechnego obiegu. Na obecnej Białorusi jest ono zupełnie nieznane. Odeszła do historii, wręcz zapomniana, owiana legendami polska historia dzisiejszej stolicy niepodległej Białorusi, kiedy Polacy dominowali tu kulturowo i częściowo kontrolowali administrację miejską. Po polsku dziś w Mińsku mówią jedynie kamienie, i to już nieliczne. Mieszkańców najwięk-

szego skupiska Polaków na terenie tej części Kresów Wschodnich, które na podstawie ryskiej umowy pokojowej 1921 r. nie weszły do II Rzeczypospolitej, nazywano jeszcze w połowie XIX w. również „mińczanami”, a także „mińczukami”. Określenia te dziś znane są jedynie wąskiemu kręgowi historyków.

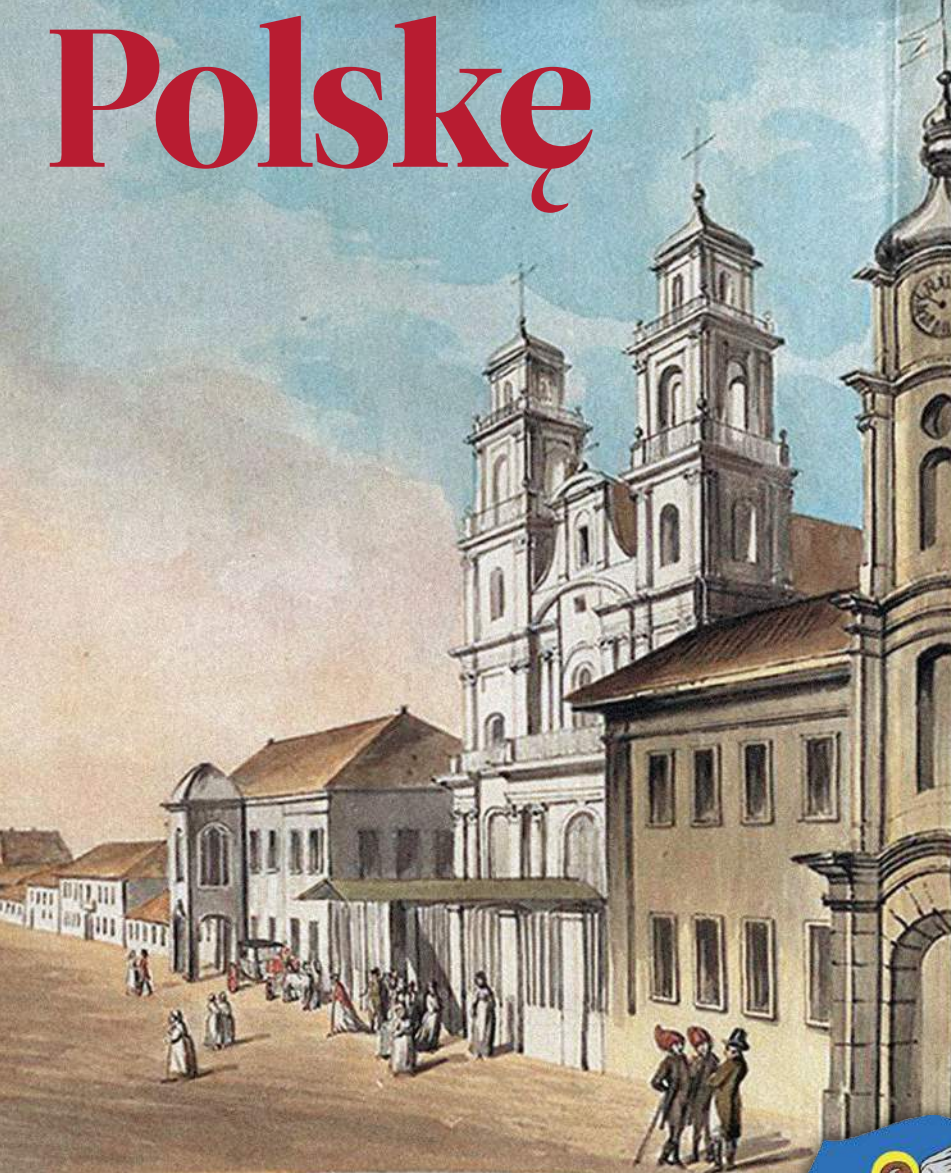
Co to było za miasto – „polski Mińsk”? Jaką rolę odegrali „mińszczanie” w odrodzeniu RP? Jak ułożył się ich dalszy los po exodusie z ukochanej

ojczyzny? Co się stało z tymi, którzy pozostali w kraju bolszewickim?

Tragiczna cezura

W historii na szczęście prawie nic nie ginie bezpowrotnie. Polski Mińsk ma swego wspaniałego, czasem do bólu drobiazgowego kronikarza – Michała Kryspina Pawlikowskiego, autora dwóch wspaniałych książek: „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego” oraz „Wojny i se-

Polskę



bolszewickich przez wojska polskie, wydawało się, że Polska powróciła tu na zawsze. Naczelnikiem okręgu mińskiego (czyli wojewodą) został Władysław Raczkiewicz. Wkraczające wojsko polskie mińszczanie witali wręcz entuzjastycznie. Pokój ryski stał się jednak tragiczną cezurą dla większości Polaków z dalszych kresów. Spowodował exodus na niespotykaną skalę. Jak traktowało mińszczan społeczeństwo polskie?

Michał Pawlikowski pisze: „Uchodźcy ze wschodu – Wileńszczyzny, Mińszczyzny, Mohylowszczyzny – byli modni. Przede wszystkim byli to »swoi« – Litwini, którzy podobnie jak warszawiacy byli razem »pod Ruskiem«. Po drugie, stanowili dość skuteczną przeciwwagę »galileuszom« z Galicji, którzy byli wtedy specjalnie niepopularni. Po trzecie, razem z nimi przyszła spotęgowana tysiącletnią famą legenda czynów bohaterskich braci Dąmbrowskich. Po czwarte, byli »stamtąd«, to jest przeżyli grozę bolszewicką na własnych skórkach. Uważano ich więc za ekspertów, którzy oglądali na własne oczy żywych bolszewików. Wreszcie, pomimo utraty mienia i ziemi ojczystej, mieli rozmach, zapał, humor, no i pieniądze. A pieniądze mieli nawet tacy z nich, którzy zasadniczo nie powinni byli ich mieć. Sarkano na nich po trosze, że podbijają ceny, psują kelnerów napiwkami”.

Mińsk w Bydgoszczy

Uchodźcy z dalszych kresów po zawarciu pokoju ryskiego rozlokowali się przeważnie w trzech miastach w Polsce: Warszawie, Wilnie i Bydgoszczy. Paradoksalnie, ale ta daleka Bydgoszcz stała się początkowo głównym ośrodkiem życia kresowego w nowej-starej ojczyźnie. Miało to kilka przyczyn. Na mocy traktatu wersalskiego z 1918 r. Bydgoszcz jeszcze przez ponad rok od

zonu”. Ten polski Mińsk nie zginął nawet po opuszczeniu miasta przez polskie elity intelektualne, kulturowe i biznesowe. Mińsk żył nadal bogatym życiem duchowym. Mińszczanie nadal pielęgowali idee polskości Mińska w swych duszach, nieśli tę polskość kresową wszędzie tam, gdzie ich niemiłosierny los rzucał.

Trudno w to uwierzyć, ale mińszczanie odgrywali dość istotną rolę w życiu politycznym II Rzeczypospolitej, walczyli dzielnie na wszystkich frontach II wojny światowej, ginęli nad Anglią jako piloci

myśliwców i oddawali życie za wierność Rzeczypospolitej w Katyniu. Prawdopodobnie najbardziej znanym mińszczaninem był miński adwokat Władysław Raczkiewicz, późniejszy wielokrotnie minister II RP i prezydent RP na uchodźstwie.

Kiedy w czerwcu 1919 r. miasto zostało odbite z rąk



powstania państwa polskiego pozostawała w rękach władz niemieckich. Przekazanie miasta polskim władzom nastąpiło w styczniu 1920 r. Bydgoszcz znajdowała się także bardzo daleko od frontu polsko-bolszewickiego i wyglądała na jedno z najbardziej bezpiecznych miejsc w odrodzonej Polsce.

Z miasta również masowo wyjeżdżali Niemcy, zostawiając wolne mieszkania. Tutaj także nie brakowało żywności, a koszty utrzymania były znacznie niższe niż w innych regionach Polski. Władze miasta dla tych uchodźców, którzy stracili w wyniku wojny wszystko i przybywali bez środków do życia, zorganizowały specjalny obóz, w którym rozmieszczono do 2 tys. osób. Jednak większość Kresowiaków przyjeżdżała do Bydgoszczy z pieniędzmi, a nawet z meblami, obrazami, biżuterią i książkami z rodzinnych bibliotek.

Po traktacie ryskim do Bydgoszczy dociera kolejna fala uchodźców z kresów. Przeniesiono tu także niektóre polskie instytucje z kresów, m.in. mińskie gimnazjum im. Władysława Jagiełły. W grudniu 1921 r. do Bydgoszczy przeprowadził się Edward Woyniłłowicz, były prezes Koła Polskiego w rosyjskiej Dumie i prezes Mińskiego Towarzystwa Rolniczego. Został on głównym animatorem polskiego życia kresowego w II RP. Na ziemi mińskiej pozostawił dorobek całego życia (majątek Sawicze i kilka innych osad rolniczych) i szczególnie bliską jego sercu pamiątkę – kościół pw. św. św. Symeona i Heleny, który wraz z żoną ufundował po śmierci w młodym wieku syna oraz córki. Kościół ten do dziś pozostaje swoistą wizytówką stolicy Białorusi. Jedna z ulic Mińska została przemianowana na ulicę Woyniłłowicza, a w Watykanie obecnie trwa proces jego beatyfikacji.

Po przybyciu rodziny Woyniłłowiczów do Bydgoszczy życie kresowe w tym mieście toczyło się głównie wokół niej. W kwietniu 1923 r. Edward Woyniłłowicz stanął na czele Związku Polaków z Kresów Wschodnich, organizacji skupiającej przeważnie wychodźców z Mińszczyzny. Do Bydgoszczy Edward Woyniłłowicz przybył z Warszawy, gdzie pojawił się po raz pierwszy pod koniec 1918 r. Był jednym z założycieli innej organizacji kresowej – Związku Polaków z kresów białoruskich. Skupiała ona ponad tysiąc byłych mieszkańców dalszych



Edward Woyniłłowicz FOT. WIKIPEDIA

kresów. Woyniłłowicz niewątpliwie był najwybitniejszym przedstawicielem polskiej szlachty kresowej. Jednak początkowo świadomie unikał zajmowania kierowniczych stanowisk w kresowych organizacjach ziemiańskich.

Profesor Roman Jurkowski, dziś jeden z najlepszych znawców dziejów kresowych, pisze na ten temat: „Cechą charakterystyczną jego ówczesnej działalności była ogromna aktywność polityczna przy konsekwentnej rezygnacji z zajmowania jakichkolwiek przywódczych stanowisk w najróżniejszych organizacjach ziemiańskich, powstających partiach i stronnictwach konserwatywno-zachowawczych. Źródłem takiej postawy nie należy szukać w poważnym już wieku właściciela Sawicz i Puzowa w powiecie słuckim. W 1919 r. miał on 72 lata. Zapisy w jego „Wspomnieniach”, przedstawiające udział w spotkaniach, rozmowach w ministerstwach, naradach i konsultacjach politycznych, pokazują nie tylko nieczym niezmaczoną sprawność intelektualną, lecz także tężyzną fizyczną godną pozazdroszczenia. Ciągłe podróże, przewodniczenie zebraniom, pisanie memoriałów, układanie statutów, dziesiątki spotkań, narad, rautów i konsultacji wystarczyłyby na obdzielenie kilku, i to znacznie młodszych, osób. Przypuszczam, że Edward Woyniłłowicz, unikając eksponowanych stanowisk, czynił to z rozmysłem, nie chciał bowiem, aby przyczepiona mu przez endecję, niesłusznie zresztą, jeszcze w latach 1906–1917 łątka „ugodowca” nie przeszkadzała w warszawskich staraniach Kresowiaków o wschodnią granicę

Rzeczypospolitej zgodną ze stanem z 1772 r. Dlatego wykorzystując swoje rozległe znajomości i nazwisko znane każdemu politykowi z prawej strony ówczesnej polskiej sceny politycznej, pełnił funkcję specjalisty od spraw kresowych, łącznika między osobami reprezentującymi wiele różnych organizacji kresowych. Owocowała tu nie tylko jego odwaga cywilna, prawdomówność i umiejętność koncyliacji, lecz także powszechna (wśród ówczesnych prawniczych elit polityczno-społecznych) wiedza o jego uczciwości, bezinteresowności i prawości”.

Kainie Grabski!

Związek Polaków z Kresów Białoruskich, później przemianowany na Związek Polaków z Ziemi Białoruskich, był w II RP czołową organizacją reprezentującą uchodźców z kresów. Związek ten zapisał się jedną bardzo głośną akcją, która wywarła wpływ na opinię społeczną. Wydarzyło się to 14 kwietnia 1921 r. podczas obrad Sejmu, w trakcie przemówienia prezesa Rady Ministrów Wincenego Witosa poprzedzającego głosowanie nad ratyfikacją przez Sejm traktatu pokojowego w Rydze. Niespodziewanie przemówienie Witosa zostało przerwane wykrzykami z galerii dla publiczności: „Hańba! Hańba!... Cień Rejtana jest przed wami”. Potem dwaj mężczyźni rozrzucili na siedzących posłów ulotki skierowane imiennie do posła Stanisława Grabskiego. Przemówienie premiera zostało przerwane, straż sejmowa wyprowadziła z Sejmu obydwu mężczyzn, którzy nie stawiali oporu, i poza budynkiem sejmowym oddała ich w ręce policji.

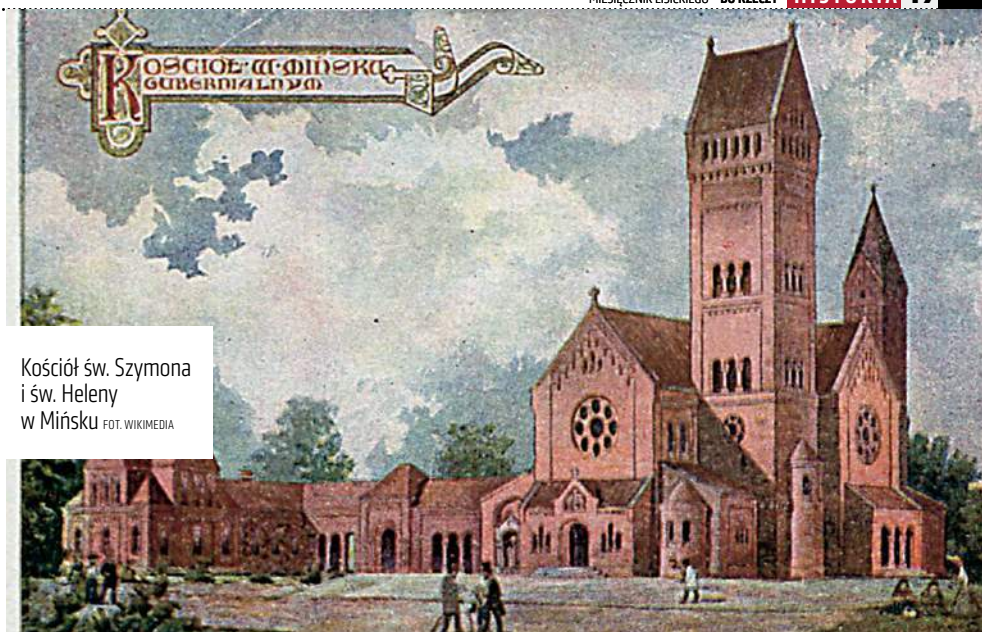
W tekście ulotki czytamy: „Stanisławie Grabski! Odpowiedzialność za haniebny pokój, który narzuciłeś Polsce, spada na Ciebie. Pada na Ciebie i hańba oddania na mękę [...] tych milionów ludu białoruskiego, tak haniebnie odepchniętego przez Polskę. Stanisławie Grabski! Imieniem tych milionów bądź przeklęty! Bądź przeklęty imieniem tych powstańców naszych, których kości bieleją po całej Rosji za udział w powstaniach! Bądź przeklęty imieniem tych wyzutyk ze swego miejsca uczestników powstań! Bądź przeklęty imieniem tych »opornych« umęczonych przez Moskwę za wytrwanie w »polskiej« wierze! Bądź przeklęty imieniem tych pokoleń, które

wszystkiego sobie odmawiały, byleby piędzi ziemi nie oddać wrogowi! Bądź przeklęty imieniem tych męczenników naszych skatowanych przez Moskali na naszych kresach! Stanisławie Grabski, bądź przeklęty imieniem Tadeusza Rejtana, przez którego ciało Sejm Polski drugi raz przestępuje, uchwalając ten nowy rozbiór Polski. Stanisławie Grabski! Niech świadomość, iż nie ma tej minuty i sekundy, kiedy twe imię nie było przeklinane, nie da Ci zamknąć spokojnie oczu, a gdy wreszcie staniesz przed Najwyższym, zdając rachunek ze swych czynów, niech straszny głos: Kainie Grabski, cóżeś uczynił ze swych braci białoruskich? Niech Cię prześladuje w wieczności! Kainie Grabski!”

Ten spektakularny protest odbił się głośnym echem w Polsce. Pisały o nim prawie wszystkie gazety. Mimo nacisków władz kierownictwo Związku Polaków Ziem Białoruskich odmówiło potępić swego członka, hrabiego Henryka Grabowskiego z Mińszczyzny, jednego z najaktywniejszych działaczy Związku Polaków z Kresów Białoruskich. Na odwrót – ziemianie należący do tej organizacji na ogólnym zebraniu jednogłośnie zaakceptowali treść listu wystosowanego do hr. Grabowskiego.

W podniosłym tonie mówił: „Zanik tradycji dziejowej i rozkład instynktu moralnego w narodzie przetrawiającym jeszcze w sobie resztki trucizny z lat niewoli sprawiły, że czynniki niedorastające do zrozumienia historycznych zadań Narodu, na tle ogólnej bierności i nieświadomości, popełniły w imieniu Narodu przestępstwo stokroć większe niż dawne uznanie rozbiórów, wydarte z ust polskich przymusem wrogiej siły zbrojnej. Dziś ta siła nie ciążyła nad nami i przez to zbrodnia jako dobrowolna, urasta ponad wszelką miarę... Zwracamy się do Ciebie, Szanowny Panie, w imieniu Polaków z ziem zaprzędanych z wyrazami uznania, hołdu i podzięk, że znalazł w sobie męstwo samotnego i niezależnego głosu, że się stał wyrazem głębokiej prawdy, która żyje w łonie naszego społeczeństwa”.

Wbrew opinii władz społeczeństwo polskie z sympatią i ze współczuciem odniosło się do tej akcji. Hrabia Grabowski stanął przed sądem za swój czyn. Sąd grodzki miasta Warszawy skazał go na 100 marek grzywny lub 14 dni aresztu. Jednak hrabia odwołał się do wyższej



Kościół św. Szymona i św. Heleny w Mińsku FOT. WIKIMEDIA

instancji. Tym razem sędzia go uniewinnił.

Ta głośna akcja, mimo sympatii społeczeństwa dla Kresowiaków, była w rzeczywistości aktem rozpacz, który nie mógł zmienić losu uchodźców. Wpływy Związku Polaków z Ziem Białoruskich w społeczeństwie polskim powoli malały. W 1923 r. siedzibę związku przeniesiono

ludnością polską na dalszych kresach.

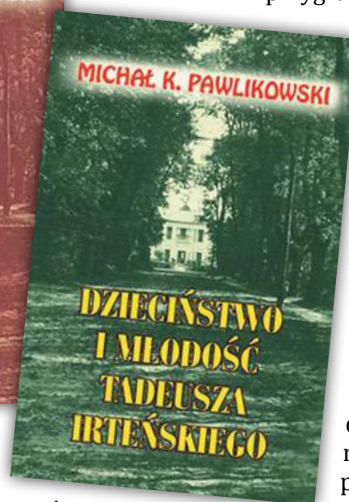
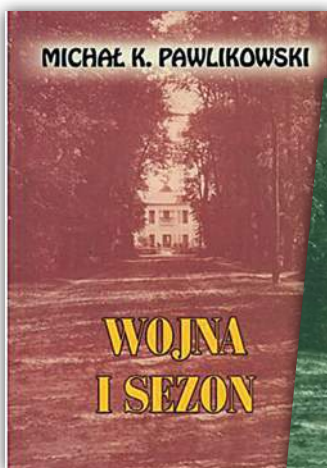
Polacy za Zbruczem byli skazani na zagładę. Represje sowieckie wobec pozostałego za granicą polskiego społeczeństwa kresowego trwały nieprzerwanie z różnym nasileniem w całym okresie międzywojennym. Wysiedlono resztki szlachty zagrodowej do odległych rejonów Związku Sowieckiego, zamknięto wszystkie kościoły katolickie na terenie kraju, oczyszczono z Polaków pas przygraniczny z Polską, aż w końcu

przeprowadzono tzw. operację polską w latach 1937–1938. Było to masowe ludobójstwo, które pochłonęło ponad 200 tys. ofiar. Stalin i jego zbrodniarze z NKWD sądzili, że dokonano w ten sposób „ostatecznego odpolszczenia” kresów.

Prawie wszyscy „mińszczanie” żyli w II RP w nadziei na powrót do ziemi ojczystej. Pokój ryski rozpatrywali jako pokój czasowy, uważano, że nowa zwycięska wojna

polskiego oręża jest nieunikniona... Prawie nikt jednak tej swojej ziemi już nigdy nie zobaczył, może poza jednym spektakularnym wyjątkiem. W czerwcu 2006 r. prochy Edwarda Woyniłłowicza, 78 lat po jego śmierci, przeniesione zostały z Bydgoszczy do kościoła w Mińsku (zwanego potocznie „Czerwonym”), którego był fundatorem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



do Wilna, do którego przeprowadziło się sporo mińszczan. Tutaj jeden z mińszczan, Stanisław Cat-Mackiewicz, spróbował uczynić ich głos słyszalnym przez utworzenie na łamach wileńskiego „Słowa” specjalnego dodatku pt. „Głos Polaków Zakordonowych”. Nadzieje na zmianę polityki RP wobec kwestii „ziem zabranych” odżyły po przewrocie majowym 1926 r. Nadzieje te jednak szybko wyparowały. Rząd polski był bezsilny, nie mógł chociaż w najmniejszym stopniu zaopiekować się

Dnia 18 lipca 1944 r. wybuch miny zakończył życie ppor. Adolfa Bocheńskiego. Do tragedii doszło pod Ankoną na froncie włoskim. Polak bezskutecznie próbował rozbroić ładunek wybuchowy. Nasze siły zbrojne na Zachodzie utraciły tego dnia jednego z najodważniejszych oficerów młodego pokolenia. Kawalera Virtuti Militari i Krzyża Walecznych (trzykrotnie!). Bohatera spod Narwiku, Tobruku i Monte Cassino. Oficera nieustraszonego w walce, za którym żołnierze gotowi byli iść w ogień.

Jeszcze większą stratę poniosła jednak polska publicystyka. Nie, to za mało powiedziane. Jeszcze większą stratę poniosła polska racja stanu. Adolf Bocheński był bowiem jednym z jej najzarliwszych, najbardziej konsekwentnych obrońców. Genialny analityk polityki międzynarodowej. Człó-

Lata 30. / „Niemcy, Rosja i racja stanu”

Przestroga Bocheńskiego



Piotr Zychowicz

/ Polska nie może walczyć na dwa fronty. Z wrogami musi rozprawić się kolejno. Najpierw u boku Niemców pobić Sowietów, a potem u boku Zachodu pobić Niemców – pisał w latach 30. Adolf Bocheński

wiek, który – w przeciwieństwie do „mężów stanu”, w których rękach znalazł się los Polski podczas II wojny

światowej – rozumiał bezwzględne prawidła, którymi rządzi się świat.

Gdyby Adolf Bocheński urodził się w jednym z krajów Europy Zachodniej, bez wątpienia zostałby ministrem spraw zagranicznych. I przeszedł do historii jako jeden z wielkich mężów stanu swojej epoki. Adolf Bocheński był jednak Polakiem. I poległ na obcej włoskiej ziemi, setki kilometrów od swojej rodzinnej Ponikwy w Galicji Wschodniej.

Cóż to była za kolosalna strata! Jednakże tacy jak on nigdy nie byli w Polsce w cenie. Dlaczego? Ponieważ Bocheński trzymał się z dala od pustego patriotycznego frazesu i od taniej popularności. On nie mówił narodowi tego, co naród chciał usłyszeć. Był zwolennikiem chłodnej, rzeczowej analizy. Konfrontowania się z rzeczywistością, jakakolwiek by ona była. Uważał,



że w polityce należy się kierować realną oceną sytuacji, a nie honorem i uczuciami.

Tak, Bocheński był wielkim realistą, któremu przyszło żyć w narodzie romantyków. Nie łatwa to była rola. To on miał jednak rację. Współczesny czytelnik mógł się o tym przekonać, sięgając po jedno ze wznowień najświetniejszej książki Adolfa Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją” (1937). Legendarnej pracy, po której lekturze Roman Dmowski miał zmienić swoje zapatrywanie na kwestię niemiecką.

Teraz na naszym rynku wydawniczym pojawiła się jednak kolejna książka Bocheńskiego. Zbiór jego przedwojennej publicystyki „Niemcy, Rosja i racja stanu” opracowany przez niestrudzonego Jana Sadkiewicza. Znakomitego krakowskiego redaktora, który od lat przywraca do polskiej debaty publicznej idee klasyków polskiej myśli konserwatywnej i realistycznej.

W tomie tym znalazły się artykuły drukowane w organach przedwojennych konserwatystów. Wileńskim „Słowie” Stanisława Cata-Mackiewicza oraz „Buncie Młodych” i „Polityce” Jerzego Giedroycia. Bocheński był głównym piórem i najważniejszą figurą tego ostatniego środowiska. Środowiska, z którym się identyfikuje i którego myśl stara się kontynuować autor tego artykułu.

Przedwojenne koncepcje Adolfa Bocheńskiego opierały się na czterech zasadniczych założeniach. Wszystkie były niepodważalne.

1. Największym niebezpieczeństwem dla Polski jest wojna na dwa fronty z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim. Polska musi robić WSZYSTKO, by nie dopuścić do ziszczenia się takiego czarnego scenariusza.

2. Jeżeli Polska ma walczyć z obydwooma swoimi potężnymi sąsiadami, wówczas musi to robić po kolei, a nie jednocześnie. I za każdym razem musi mieć po swojej stronie mocnych sojuszników.

3. W interesie Polski leży rozczłonkowanie molocho bolszewii na wiele ścierających się ze sobą państw.

4. Polska będzie atrakcyjnym partnerem dla Zachodu do prowadzenia wojny na dwa fronty przeciw Niemcom wyłącznie wtedy, gdy wcześniej wyeliminowany z gry zostanie Związek Sowiecki. W przeciwnym wypadku, mając do wyboru Polskę i bolszewię, Zachód zawsze wybierze tę ostatnią. Jest bowiem silniejsza.

Jaki praktyczny wniosek wypływał z tych czterech założeń? Oczywiście tylko jeden. Warszawa w pierwszej fazie nadchodzącej wojny musiała sprzymierzyć się z państwami Osi. Razem z Niemcami, Włochami i Japończykami pobić Związek Sowiecki. A dopiero w następnej fazie, po zabezpieczeniu sobie pleców, mogła iść na zderzenie z Niemcami. Tym razem w sojuszu z mocarstwami zachodnimi.

Tylko takie rozegranie II wojny światowej, tylko dokonanie takiego zwrotu mogło gwarantować Polsce sukces w światowym konflikcie i spełnić cztery założenia Bocheńskiego. Gdyby ostatni minister spraw zagranicznych przedwojennej Polski działał według wskazań publicysty „Polityki”...

1. Polska uniknęłaby wojny na dwa fronty.

2. Polska walczyłaby ze Związkiem Sowieckim i z Niemcami po kolei. I za każdym razem z mocnymi sprzymierzeńcami. Przeciwko Związkowi Sowieckiemu naszymi sojusznikami byłoby: Niemcy, Włochy i Japonia. A przeciwko Niemcom – demokracje zachodnie.

3. Związek Sowiecki zostałby zniszczony w pierwszej fazie wojny i wykluczony z gry.



ADOLF BOCHEŃSKI
„NIEMCY, ROSJA I RACJA STANU”
UNIVERSITAS

4. A co za tym idzie – w drugiej fazie wojny Polska byłaby jedynym możliwym sojusznikiem na wschodzie dla mocarstw zachodnich. Brytyjczycy i Amerykanie nie mogliby nas sprzedać Sowietom, bo Sowiety by już nie istniały.

Jak wiadomo, minister Józef Beck nie czytał Adolfa Bocheńskiego. A jeżeli czytał, to nieuważnie. I zrealizował koncepcję odwrotną. Odrzucił niemiecką ofertę wspólnego marszu na Związek Sowiecki. A to – jak wiadomo – skłoniło Hitlera do podpisania paktu Ribbentrop-Mołotowa. Konsekwencje fatalnego błędu Becka miały dla Rzeczypospolitej wymiar apokaliptyczny.

1. Polska w 1939 r. została zaatakowana jednocześnie przez Niemców i Związek Sowiecki i została rozerwana na strzępy.

2. Nasi sojusznicy nam nie pomogli.

3. Związek Sowiecki w pierwszej fazie II wojny światowej nie tylko nie został wykluczony z gry, lecz także uległ poważnemu wzmocnieniu.

4. W drugiej fazie wojny mocarstwa zachodnie sprzymierzyły się ze Związkiem Sowieckim i sprzedały mu Polskę.

W ten sposób Polska poniosła największą klęskę w swoich długich, obfitujących w klęski dziejach. Gdyby to Adolf Bocheński w latach 30. kierował naszą dyplomacją, wszystko to by się nie wydarzyło. On poprowadziłby nas do zwycięstwa.

Kolejność antagonizmów

Największą zgorą, która spędzała sen z powiek Adolfa Bocheńskiego, była możliwość powrotu do „konstelacji Rapallo”. Mowa o umowie między Niemcami a bolszewicką Rosją zawartej w 1922 r. Bliski sojusz między Moskwą a Berlinem stanowił dla Polski śmiertelne zagrożenie. Jawił się niczym żelazne kleszcze, które nieubłagane zaciskają się wokół Rzeczypospolitej. Miażdżą ją i unicestwiają.

Sytuacja Polski na przełomie lat 20. i 30. była więc tragiczna. Zmieniło się to o 180 stopni, gdy w 1933 r. do władzy w Niemczech doszedł Adolf Hitler. Nastawiony antykomunistycznie przywódca narodowych socjalistów z hukiem zerwał współpracę Niemiec z bolszewikami. I z jeszcze większym hukiem, 26 stycznia 1934 r., zawarł układ z Polską.

Żelazny ucisk kleszczy został rozerwany. Sytuacja Rzeczypospolitej z rozpaczliwej zamieniła się na korzystną. Narodowi socjaliści i bolszewicy skoczyli bowiem sobie do oczu. A my mogliśmy odetchnąć z ulgą.

Nie żadna „genialna polityka” polska – podkreślał Bocheński w jednym ze swoich artykułów – ani nic w tym rodzaju, ale właśnie antagonizm niemiecko-rosyjski, datujący się w naszej epoce od dojścia do władzy Adolfa Hitlera, spowodował tę tak korzystną dla Polski koniunkturę.

Adolf Bocheński przestrzegał jednak, że ta idealna koniunktura nie będzie trwała wiecznie. W 1934 r. odprężenie polsko-niemieckie było faktem. Pytanie tylko: Jak długo mogło ono potrwać? Bocheński nie miał wątpliwości, że nie będzie ono trwało wiecznie. Że prędzej czy później

■ Polska będzie musiała stawić czoła Niemcom.

Zanim to się stanie – przestrzegaj – Warszawa musi jednak zabezpieczyć sobie plecy. Tak, aby w momencie konfliktu z Berlinem do akcji nie mogła wejść Moskwa. Jedno z ramion kleszczy należało zawczasu wyłamać.

Podobnie jak w strategii, tak i w polityce sprawa kolejnego załatwiania spraw spomych z różnymi państwami była zawsze sprawą zasadniczą – pisał na przełomie 1934 i 1935 roku. – Jest rzeczą niezaprzeczną, że szanse powodzenia są tym większe, im bardziej w danej chwili udaje się państwu ograniczyć się do jednego tylko przeciwnika, z pozostawieniem na boku innych.

Dążeniem racji stanu państwa było, jest zawsze – a w każdym razie powinno być – załatwianie w pewnej chwili sporu tylko z jednym przeciwnikiem, nie zaś ze wszystkimi naraz. W przeciwnym razie grozi bowiem niepomysłne załatwienie wszystkich spraw.

Jako przykład Bocheński podawał marszałka Józefa Piłsudskiego, który w sierpniu 1920 r. rozprawił się z bolszewickimi armiami po kolei. Najpierw pobił Michała Tuchaczewskiego, a dopiero potem zabrał się do Siemiona Budionnego. Kto wie – dowodził Bocheński – jak potoczyłyby się losy wojny, gdyby nacierająca z południa czerwona Konarmia na czas dotarła pod Warszawę.

Adolf Bocheński uważał, że najważniejszym zadaniem dla polskiej dyplomacji jest podsyćanie sporu między Niemcami a Sowieci. To zaś można było osiągnąć jedynie poprzez wspieranie państwa agresywnego w tym konflikcie. Państwa dążącego do konfrontacji. A nie państwa nastawionego defensywnie.

Dziś stroną pragnącą porozumienia, kosztem prawdopodobnie Polski, nie są Niemcy – dowodził. – Ta stroną jest dziś oczywiście Rosja sowiecka, niepragnąca rozprawy z Niemcami. Jeżeli więc w interesie Polski jest trwanie antagonizmu niemiecko-rosyjskiego, w myśl doświadczeń dziejowych Potockich, Czartoryskich i Piłsudskich powinna stanąć Rzeczpospolita raczej po stronie Niemiec, jak po stronie Rosji. Pragnąc bowiem przedłużenia antagonizmu, powinno się wspomagać stronę, która nie dąży do jego zakończenia i porozumienia, nie zaś odwrotnie. To jest przecież jasne jak słońce.

Zresztą – jak podkreślał – wspólna wyprawa z Sowieci na Niemców nie może przynieść żadnych dalekosiężnych efektów. Niemcy były bowiem państwem zwartym narodowościowo i trudno było sobie wyobrazić rozbić ich na kilka wrogo nastawionych wobec siebie państw. Co innego tygiel narodów zniewolonych, czyli Związek Sowiecki.

W tym przypadku wyprawa wojenna mogła przynieść dla Rzeczypospolitej zbawienne skutki.

Gdyby istniał dziś choć cień możliwości utrzymania podziału politycznego Niemiec sprzed roku 1866, może opowiedzieliśmy się za [antyniemiecką] ideą ONR-u w polityce zagranicznej – pisał Bocheński pod koniec 1935 r. – Ponieważ tej nadziei nie ma, przeto obowiązkiem naszym jest powiedzieć, iż sposobem wydobywania Rzeczypospolitej ze straszliwych kleszczy, w których się przed jej czy później znajduje, jest tylko i jedynie program relatywnie, podział Rosji sowieckiej na kilka państw narodowych.

Kto zaś mógł rozbić Związek Sowiecki? Czy mogliśmy to zrobić sami? Nie, na to byliśmy zbyt słabi. Czy mogli to zrobić Francuzi, Brytyjczycy lub Amerykanie? Oczywiście, że nie. Jaki mieliby w tym interes? Niestety, czy nam się to podoba, czy nie, Związek Sowiecki mógł zniszczyć tylko Hitler. Między Polską a Niemcami na odcinku wschodnim występowała więc wspólnota interesów.

Trzeba umieć wykonać, że zbliżające się zapasy Hitlera z Rosją stanowią jedną z wielkich i nieopartych szans dziejowych dla Rzeczypospolitej – podkreślał Bocheński w lutym 1936 r. – Że zwycięstwo Rzeszy Niemieckiej i podział Rosji na kilka państw to jedyna chyba możliwość pozbycia się przez Polskę raz na zawsze jednego z dwu zagrażających jej niebezpieczeństw. Że wreszcie „pokój” to jest stan, który na naszych granicach musi się kiedyś skończyć i że zasadniczym dla Polski zagadnieniem jest nie tyle odwołanie tego momentu, ile spowodowanie go niejednocześnie na wschodzie i zachodzie.

Rok później dodawał zaś:

Musimy pojąć, że Polska ma do wyboru albo walkę z Niemcami i Rosją jednocześnie, albo konflikt tych dwu państw między sobą. Polityka, którą preferuje front Morges, prowadzi do konieczności obrony jednocześnie przed Niemcami i Rosją, to znaczy do katastrofy. Właśnie obecny antagonizm niemiecko-rosyjski jest dla Polski wielką szansą dziejową, umożliwia bowiem pozbycie się przez nas jednego wroga – ręką drugiego.

Jak widać, w koncepcji tej nie chodziło o sympatię dla Hitlera i narodowego socjalizmu, którymi Adolf Bocheński – jako konserwatysta i prawicowiec – słusznie gardził. Chodziło tu o chłodną kalkulację.

Zagadnienie tego, co się stanie na wschód od Polski, ujmować więc musimy między innymi także z punktu widzenia tej przyszłej rozprawy z Niemcami – pisał w 1937 r. – Chodzi tu o zasadnicze pytanie: Czy rozczłonkowanie Sowieców ułatwi, czy utrudni sytuację Polski w przyszłej wojnie z Niemcami? Jeżeli dziś występujemy za sojuszem polsko-niemieckim, to czynimy to nie dlatego, abyśmy przypuszczali, że za-

targu między Polską a Niemcami nigdy już nie będzie, ale dlatego, że zdaniem naszym wynik tego zatargu zależeć będzie przede wszystkim od kształtowania się naszego frontu wschodniego.

A co z Francją?

„Hola, hola! – może zakrzyknąć ktoś wychowany na naszej literaturze patriotycznej. – A co z Francją?! Co z naszą ukochaną starszą siostrzycą znad Sekwany? Przecież w przypadku konfliktu z Berlinem mogliśmy liczyć na Paryż, z którym mieliśmy podpisany wojskowy układ sojuszniczy”.

No cóż, wydarzenia roku 1939 pokazały, że cały ten układ był warty mniej niż papier, na którym go wydrukowano. Nasza „siostrzycza” nie kiwnęła w naszej obronie palcem. Obawiała się bowiem nie tylko konfrontacji z potężnymi Niemcami, lecz także drażnienia Związku Sowieckiego. W Paryżu liczono na to, że na trupie Polski szybko dojdzie do konfliktu między Niemcami a bolszewikami. I to potężna Armia Czerwona, a nie słabe Wojsko Polskie, utworzy front wschodni. Front wschodni, który weźmie na siebie główny ciężar boju z Wehrmachem i uratuje Francję oraz Anglię. Tak jak armie carskiej Rosji, które skrwawiły się w sposób przerażający, ale ocalały Paryż w roku 1914.

Nasi ówczesni rządzący – Józef Beck i Edward Śmigły-Rydz – byli takim obrotem spraw zdumieni i zszokowani. A Bocheński? Tak, domyślają się państwo, Bocheński wszystko to bezbłędnie przewidział.

Od szeregu wieków – pisał w styczniu 1936 r. – Francja zagrożona była od wschodu. Wymagało to zawsze poszukiwania sprzymierzeńców przeciw Niemcom. Polska przez swe położenie geograficzne była często możliwym sprzymierzeńcem. Ale francuska racja stanu nakazywała nie tylko poszukiwać sprzymierzeńca, ale także sprzymierzeńca możliwie najpotężniejszego, i jego interesom poświęcać aliantów mniej wartościowych.

Takim potężniejszym, bardziej wartościowym sprzymierzeńcem był oczywiście Związek Sowiecki. „W alternatywie: »Polska czy Rosja?« – podkreślał Bocheński – Napoleon I wybierał zawsze Rosję”. Na takich samych założeniach opierała się do bólu pragmatyczna polityka Wielkiej Brytanii. Tak było w XIX w. i tak było w latach 30. Prawa geopolityki są bowiem niezmiennie.

Opinia polska musi nareszcie zdać sobie sprawę – przestrzegaj Bocheński – że nie możemy w przyszłości

liczyć na bagnety i karabiny maszynowe francuskie czy angielskie, a jedynie na swoje własne. Jedynie własna, samodzielna polityka może spowodzić przedłużenie błogosławionego dla nas antagonizmu niemiecko-rosyjskiego. Jedynie własna polityka może nas uchronić od wwiązania się z organizmami politycznymi, które w chwili niebezpieczeństwa nie przyjdą nam z pomocą.

Oczywiście był jeden wariant, w którym Francja i Wielka Brytania musiałyby traktować Polskę nie tylko jako najsilniejszego i jedyne go możliwego partnera na wschodzie Europy. Mowa o sytuacji, w której z zielonego sukna polityki europejskiej zbita została by czerwona bila. Wtedy Paryż i Londyn nie miałyby wyboru.

Francja znalazła dziś silniejszego od nas sprzymierzeńca przeciw Niemcom – pisał Bocheński – i jak zawsze była gotowa, tak jest gotowa i dziś dla tego sprzymierzeńca poświęcić interesy Rzeczypospolitej. Przyszłość aliansu polsko-francuskiego nie zależy ani od podrygów naszej endecji, ani od wyjazdów na dworzec w meloniku czy w cylindrze.

Losy „tradycyjnego aliansu” Polski z Francją zależą przede wszystkim od wyniku dziejowego antagonizmu Polski i Rosji. Jeżeli uda się nam wziąć górę, jeżeli wschodni nasz sąsiad podzieli się na kilka państw narodowych, przyszłość przymierza polsko-francuskiego jest pewna. Droga do Paryża nie prowadzi nas przez przedpokoję sowieckie, przez poczekalnie dworcowe i sklepy kapełusznicze. Prowadzi ona przez Kijów, przez Odessę i Mińsk.

Tak, innej drogi – jeżeli Polska chciała wyjść z nadchodzącej wojny zwycięsko – nie było.

Samobójstwo

To, co robi największe wrażenie podczas lektury artykułów Adolfa Bocheńskiego z lat 30., to ich profetyczność. Zdolność analizowania sytuacji międzynarodowej, aby wyciągnąć z niej bezbłędne wnioski na przyszłość, to cecha, która łączyła Bocheńskiego z jego mistrzem: wielkim Władysławem Studnickim.

Adolf Bocheński nie miał bowiem żadnych wątpliwości, co się stanie, jeżeli Polska odrzuci ofertę Niemiec i zwiąże się



Adolf Bocheński FOT. NAC

sojuszem z państwami Zachodu. Konsekwencją takiego błędu mógł być tylko powrót Niemiec do sojuszu ze Związkiem Sowieckim. I kolejny rozbiór Rzeczypospolitej.

Otóż jest rzeczą jasną i niewątpliwą – pisał – że jeśli Polska znajdzie się w tzw. obozie konserwatywnym, to znaczy, o ile podporządkuje się Rosji i Francji, antagonizm niemiecko-rosyjski bardzo szybko wygaśnie. Tego rodzaju ewolucja wypadków odebrałaby bowiem Rzeszy Niemieckiej jakiejkolwiek nadzieję powodzenia w wielkich swych planach wschodnich i przerzuciłaby niewątpliwie obóz Hitlera do małej koncepcji imperialistycznej, którą jest okrojenie Rzeczypospolitej do spółki z Rosją.

Polska powinna była umożliwić Niemcom zaatakowanie Związku Sowieckiego. Otworzyć przed nimi szeroko drzwi prowadzące na wschód. Gdyby te drzwi przed nimi zamknęła, Niemcy rozbiłby je taranem.

Jeżeli ekspansja niemiecka nie będzie mogła z powodu stanowiska Polski zwracać się przeciw Rosji – pisał na początku 1937 r. – to zwróci się na powrót przeciw Polsce. Powrót do konstelacji rapalowskiej zależy dziś nie od Rosji, ale od Niemiec, które ją zerwały z powodu swych imperialistycznych nadziei na terenach rosyjskich. Każde wzmocnienie Rosji, jak

na przykład pakt sowiecko-francuski, to krok do powrotu Rapalla. Każde odsunięcie się Polski od Niemiec to osłabienie możliwości imperializmu Niemiec wobec Rosji, to także krok do powrotu zgubnego dla nas Rapalla.

Adolf Bocheński odrzucał argumenty swoich adwersarzy, którzy dowodzili, że jeżeli Polska wraz z Niemcami zniszczy Związek Sowiecki, to znajdzie się na łasce i niełascie swojego potężniejszego sojusznika. A co za tym idzie – pobicie bolszewików nie zwiększy bezpieczeństwa naszego kraju, ale je zmniejszy. Według Bocheńskiego argumenty takie były nielogicznym nonsensem.

Według niego starcie Związku Sowieckiego z powierzchni ziemi oznaczało...

1. Usunięcie jednego z dwóch największych zagrożeń dla polskiej niepodległości. A co za tym idzie – zwiększało jej bezpieczeństwo, a nie je zmniejszało.

2. Sprawienie, że Polska stawała się jedynym możliwym sojusznikiem dla

mocarstw zachodnich.

3. Osłabienie Niemiec, które po zdobyciu Moskwy stanęłyby przed wyzwaniem zorganizowania gigantycznych przestrzeni postsowieckich.

A więc – same plusy. Same korzyści.

Z radością spojrzeć można – pisał w kwietniu 1937 r. – że młode pokolenie polskie staje się coraz to bardziej rewizjonistyczne. Nasi rówieśnicy rozumieją coraz to lepiej, że Polacy muszą dążyć do gruntownego przekształcenia mapy Europy Wschodniej, gdyż inaczej zostanie ona przekształcona na naszą niekorzyść. Przed nami zdają się stać dwie możliwości. Albo powrót Niemiec do polityki Rapalla, albo sojusz Polski z Niemcami przeciw Rosji. Tertium non datur [Trzeciej możliwości nie ma – łac.]. Droga do Grunwaldu w przyszłości prowadzi dziś przez sojusz faktyczny z Niemcami.

Niestety, w tym miejscu Bocheński wykazał się zbyt optymistycznym. Młode pokolenie polskie poszło w zupełnie innym kierunku. Czy też inaczej – zostało w innym kierunku poprowadzone. Nie do Moskwy i nie do Berlina. Za to ku gruzom i dymiącym popiołom Warszawy. Pod Ankonę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

1944 r. / Oko za oko – ząb za ząb

Bomby na Via Rasella



Arkadiusz Karbownik

/ Komunistyczny ruch oporu dokonał krwawego ataku terrorystycznego przeciw Niemcom. Ci w odwecie zamordowali 335 rzymian

Upadek rządów Duce, który nastąpił w efekcie dymisji, którą otrzymał on z rąk króla Wiktora Emanuela, zapoczątkował wydarzenia, które doprowadziły ostatecznie do wycofania się 8 września 1943 r. Włoch z wojny i wybuchu włoskiej wojny domowej. Toczona ona była przez wspierane przez aliantów i rząd marszałka Pietra Badoglio antyfaszystowskie ugrupowania polityczne, wśród których przewodnią rolę odgry-

wali komuniści, przeciw powołanej pod patronatem Niemców Republiki Salò. Było to ustanowione na północy Włoch państwo, kierowane przez uwolnionego z internowania na Gran Sasso przez niemieckich spadochroniarzy Benita Mussoliniego.

Na terenach zajętych przez Niemców aktywnie działał zbrojny ruch oporu, nad którym nadzór sprawował Komitet Wyzwolenia Narodowego (Comitato di Liberazione Nazionale, CLN), zrzeszający przedstawicieli różnych partii politycz-

nych. Najbardziej radykalne formy walki stosowali komuniści. Poza utworzonymi przez nich na prowincji oddziałami partyzanckimi, czyli Brygadami Garibaldi, powołali oni do życia, mające prowadzić akcje terrorystyczne w miastach, własne grupy bojowe – Grupy Czynu Patriotycznego albo Grupy Akcji Patriotycznej (Gruppi di Azione Patriottica, GAP). Składały się one z niemających ze sobą żadnego kontaktu, kilkuosobowych zespołów, których celem było dokonywanie zamachów na przedstawicieli władz faszystowskich oraz Niemców.

Terroryści z GAP

W Rzymie grupami GAP dowodził Giorgio Amendola, od 1929 r. działacz Włoskiej Partii Komunistycznej, z której ramienia był członkiem CLN. Jego bezpośrednim podwładnym był Carlo Salinari.



Ciała niemieckich żołnierzy, którzy zginęli w wyniku zamachu na Via Rasella FOT. WIKIPEDIA

Blokada po zamachu FOT. BUNDESARCHIV BILD

Coeli od wybuchów zdetonowanych tam granatów. Granatami obrzucono również 10 marca 1944 r. maszerującą Via Tomacelli kolumnę członków partii faszystowskiej, w wyniku czego śmierć poniosły trzy osoby. Wypada dodać, że Rzym został ogłoszony jeszcze przed zajęciem go przez Niemców „miastem otwartym”, na którego obszarze, poza siłami policyjnymi, nie mogły stacjonować żadne jednostki wojskowe.

Podtrzymanie tej decyzji przez Niemców nie wpłynęło bynajmniej hamująco na działalność komunistycznego podziemia. Jego aktywność starało się ograniczyć, liczące 74 funkcjonariuszy, Aussenkommando Policji Bezpieczeństwa dowodzone przez SS-Obersturmbannführera Herberta Kapplera. W staraniach o zapewnienie bezpieczeństwa w Wiecznym Mieście wspomagały Niemców włoskie struktury policyjne. Najważniejszą był rzymski oddział Departamentu Specjalnego (Reparto Speciale) stanowiącego jednostkę autonomiczną Korpusu Policji Republikańskiej (Corpo di Polizia Repubblicana, CPR). Kierował nim pochodzący z mieszanej rodziny niemiecko-włoskiej por. Pietro Koch. Siedziba tej formacji mieściła się początkowo przy Via Tasso 115 w budynku, gdzie znajdowała się niemiecka Policja Bezpieczeństwa. Nieco później Włosi przenieśli się pod inny adres – na Via Principe Amedeo 2. W grupie Kocha oprócz mężczyzn pracowały również kobiety oraz „złamani” członkowie ruchu oporu. Oddział odnosił wiele sukcesów, dokonując licznych aresztowań działaczy antyniemieckiego podziemia.

W grudniu podwładnym Kocha udało się zatrzymać członka Komitetu Centralnego Włoskiej Partii Komunistycznej Giovanniego Rovede oraz powiązanego

z konspiracją wojskową gen. Maria Feroletto. Aresztowanych standardowo poddawano torturom w siedzibie jednostki. Brutalność Kocha spowodowała, że nawet ze strony zwolenników RSI zaczęły być składane do Mussoliniego prośby o jego odwołanie. Nie było to łatwe m.in. z uwagi na sukcesy, które osiągał w swej pracy, oraz ze względu na protekcję, jaką cieszył się ze strony SS-Obersturmbannführera Herberta Kapplera. Ten był attaché policyjny III Rzeszy w Rzymie uważał Kocha za bardzo użytecznego współpracownika. Tym bardziej że na jego polecenie ludzie Kocha, naruszając eksterytorialność watykańskich świątyń, wkraczali do nich, dokonując przeszukiwań.

Koch był także sojusznikiem Kapplera w działaniach skierowanych przeciw społeczności żydowskiej. W nocy z 3 na 4 lutego 1944 r. jego podkomendni weszli do kościoła św. Pawła graniczącego z bazyliką watykańską i ujęli tam 67 osób pochodzenia żydowskiego. Parę miesięcy wcześniej Kappler szantażem wymusił na rzymskich Żydach poważny okup w postaci 50 kg złota. Miał on rzekomo uratować ich przed wywózką do obozów koncentracyjnych. Pomimo spełnienia żądań szefa niemieckiej policji 16 października 1943 r. doszło do masowych aresztowań w getcie, w wyniku których deportowano do Auschwitz 1023 Żydów. Z tej liczby przeżyło tylko 15.

Kompania SS „Bozen”

W marcu 1944 r. roku GAP postanowiła przeprowadzić akcję terrorystyczną, która przyćmić miała wszystkie

W Wiecznym Mieście GAP-iści dysponowali kilkoma bojówkami. Jedną z nich o kryptonimie Carlo Pisacane dowodził Sycylijczyk z pochodzenia, w przeszłości trockista i jednocześnie członek faszystowskiej organizacji uniwersyteckiej – Rosario Bentivegna. To on wraz z dwoma innymi towarzyszami zabił na Piazza Venezia 31 października 1943 r. trzech funkcjonariuszy policji faszystowskiej.

Ponad miesiąc później, 17 grudnia 1943 r., Bentivegna wraz ze swoją przyszłą żoną Carlą Caponi zamordowali na Via Veneto niemieckiego oficera, któremu zabrali dokumenty. Następnego dnia czteroosobowa grupa – Bentivegna, Lucia Ottabrin, Mario Fiorentini i Caponi – podłożyła bombę w kinie Barbierii. Częstymi widzami wyświetlanych tam filmów byli niemieccy żołnierze. W wyniku eksplozji ośmiu wehrmachtowców zginęło. Kolejnych siedmiu poniosło śmierć pod budynkiem więzienia Regina



Niemieccy żołnierze zatrzymują cywilów po zamachu. FOT. BUNDESARCHIV BILD

■ dotychczasowe. Trudno do końca zorientować się, jakie cele chcieli zrealizować zamachowcy, podejmując taką decyzję. Być może chodziło o sprowokowanie Niemców do brutalnej reakcji, która miała doprowadzić do eskalacji przemocy i tym samym spowodować pogłębienie niechęci do okupantów. Zapewne komuniści liczyli, że bierni do tej pory mieszkańcy Rzymu, oburzeni niemieckim odwetem, udzielą masowego wsparcia działaniom ruchu oporu. W dowództwie CLN przedstawiciel partii chadeckiej zdecydowanie oponował przeciw takiej taktyce, uważając słusznie, że terror nie przyniesie żadnych namacalnych korzyści poza represjami, skierowanymi przeciwko cywilom.

Niestety, jego trzeźwy osąd nie znalazł zrozumienia u komunistów, którzy na cel swojej operacji wybrali, przemieszczając się codziennie Via Rasella, 11. Kompanię Pułku Policyjnego SS „Bozen”. Jednostka ta powstała 1 października 1943 r. na terytorium Górnej Adygi (południowy Tyrol), obszaru zamieszkanego głównie przez ludność niemieckojęzyczną. Tereny te zajęte we wrześniu przez niemieckie siły zbrojne, choć formalnie nadal należały do RSI, to w praktyce podporządkowane były gauleiterowi Tyrolu-Vorarlbergu Franzowi Hoferowi. Wydał on rozporządzenie nakazujące osobom z roczników 1894–1926 zamieszkującym region odbycie służby w niemieckich formacjach wojskowo-policyjnych (teoretycznie mieszkańcy mogli podjąć służbę w jednostkach RSI). Aby uniknąć oskarżeń o postępowanie sprzeczne z prawem międzynarodowym, które zabraniało dokonywać poboru ludności do armii

okupacyjnej, rekrutów traktowano jako ochotników. Początkowo jednostce nadano nazwę Südtirolen Polizei Regiment, następnie ją zmieniono na SS-Polizei Regiment „Bozen” (po włosku „Bolzano”). Wcieleni ochotnicy służyli w pułku odbywali jako szeregowcy, natomiast podoficerami i oficerami byli etniczni Niemcy z Rzeszy.

Pułk był częścią Ordnungspolizei, czyli niemieckiej policji porządkowej. Formalnie zgodnie z dyrektywą Hansa Himmlera z 23 lutego 1943 r. pułk, tak jak wszystkie tego typu jednostki, nosił nazwę SS, ale żołnierze jednostki nosili normalne zielone mundury policyjne. Jego poszczególne bataliony dyslokowano do Istrii (I Batalion) oraz na północ Włoch w prowincji Belluno (II Batalion), gdzie brały udział w walkach z partyzantami, współpracując – szczególnie II Batalion – w represjach przeciwko wspomagającym ich cywilom. Do Rzymu natomiast 12 lutego 1944 r. trafił III Batalion Pułku dowodzony przez mjr. Helmutha Dobbricka (podawane jest także nazwisko Hans Dobeck), którego 9. Kompania nadzorowała budowę umocnień, 10. pełniła służbę wartowniczą przed budynkami różnych instytucji, a 11. pozostała w rezerwie. I to właśnie na tym ostatnim pododdziale miała się skupić furia komunistycznego ataku terrorystycznego na Via Rasella.

Skład 11. Kompanii stanowiło 156 policjantów. Średnia wieku wynosiła 33 lata. Policjanci z tej kompanii, wbrew rozpowszechnianym po wojnie mitom, mającym na celu zracjonalizowanie i usprawiedliwienie bezsensownej decyzji o ataku bombowym na ten pododdział, nie mieli na sumieniu żad-

nych zbrodni wojennych. Z pewnością natomiast ich obecność rzuciła się oczy z powodu codziennego przemieszczania się nierzadko ze śpiewem na strzelnicę Tor di Quinto i z powrotem do miejsca zakwaterowania w Palazzo Feminale. GAP-iści przez pewien czas obserwowali trasę przemarszu policjantów.

Atak i represje

Na dzień ataku wybrano 23 marca 1944 r. – ze względu na przypadającą wówczas rocznicę powstania włoskiej partii faszystowskiej. Tego dnia Rosario Bentivegna pojawił się na Via Rasella przebrany za ulicznego sprzątacza. Przed sobą pchał metalowy wózek imitujący kosz na śmieci. W nim ukryty był 18-kiłogramowy ładunek wybuchowy. Do wzmocnienia jego siły rażenia w koszu umieszczono luźne kawałki żelaza i metalu. O godz. 15.52 „Paolo” (pseudonim Bentivegny), stojący na wysokości numeru 156, na sygnał dany przez jednego z GAP-istów podpalił lont. Po 50 sekundach, kiedy kolumna marszowa znalazła się w pobliżu wózka na śmieci, nastąpiła eksplozja. Zaraz po niej komuniści obrzucili policjantów granatami. Ci, którzy przeżyli, gdy tylko minął szok, nie wiedząc, co się stało, a będąc przekonanymi, że zaatakowano ich z domów, zaczęli ostrzeliwać górne piętra budynków znajdujących się na ulicy.

W wyniku zamachu zginęło na miejscu 28 policjantów, a 53 odniosło rany. Do godz. 20 liczba ofiar zwiększyła się do 32. Śmierć kolejnego policjanta, która nastąpiła następnego dnia rano, podniosła do 33 tę makabryczną statystykę. Obok policjantów śmierć poniosły dwie osoby cywilne: 13-letni chłopiec Pierro Zuccheretti oraz przypadkowo przebywający na ulicy komunistyczny partyzant Antonio Chiarreti. Od kul policyjnego ostrzału domów zginęło czterech mieszkańców, a 11 zostało rannych.

Na miejsce masakry niemal natychmiast przybyli: konsul Rzeszy w Rzymie Eitel Moellhausen, dyplomata, tłumacz i osobisty przedstawiciel Reichsführera SS Eugen Dollman oraz wojskowy komendant Wiecznego Miasta generał Luftwaffe Kurt Mülzer. Ten ostatni, znajdując się pod wpływem alkoholu, zirytowany tym, co zobaczył, nakazał wysadzić w powietrze znajdujące się w pobliżu

budynki mieszkalne. Dopiero przybycie Kapplera oraz jego zobowiązanie zajęcia się sprawą nieco uspokoiło Mülzera.

Informacja o zbrodni dotarła do Kwatery Głównej Führera mieszczącej się w Wilczym Szańcu. Trudno jest ze względu na brak dokumentów zrekonstruować proces podjęcia decyzji o przeprowadzeniu akcji odwetowej. Według zeznań dowódców Wehrmachtu rozkaz wydał Adolf Hitler. Za jednego zabitego Niemca miało zostać rozstrzelanych 10 Włochów. Proporcję represji, które należy zastosować, ustalili w rozmowach dowódca XIV Armii Eberhard von Mackensen, Mülzer i Kappler. Swoją propozycję wieczorem 23 marca przedstawili oni dowódcy Grupy Armii C we Włoszech, feldmarszałkowi Albertowi Kesselringowi, który ją zaakceptował, po uprzednim otrzymaniu zgody od szefa wydziału operacyjnego OKW gen. Alfreda Jodla (gen. Jodl dał Kesselringowi w kwestii represji wolną rękę).

W ramach podjętych ustaleń uznano, że zakładnikami zostaną osoby już skazane na karę śmierci. Niestety, Kappler nie powiedział feldmarszałkowi, że w więzieniu na wykonanie wyroku oczekuje tylko czterech więźniów. Na liście zakładników wpisano także tych oczekujących na werdykt niemieckiej temidy. Jednak wciąż liczba osób przeznaczonych do zamordowania, wzięwszy pod uwagę wyznaczone kryteria ilościowe, była niewystarczająca, dlatego Kappler zdecydował dołączyć do grupy zakładników 75 Żydów. Dodatkowo wymógł on na prefekcie włoskiej policji Pietrze Caruso konieczność dostarczenia kolejnych 50 osób znajdujących się w rękach policji włoskiej w więzieniu Regina Coeli. Na liście przeznaczonych do rozstrzelania znaleźli się: członekowie wojskowej organizacji konspiracyjnej powiązanej z rządem marszałka Badoglio – Fronte Militaire Clandestino – na czele z płk. Giuseppem Montezemlo; współpracownik podziemia aresztowany w wyniku prowokacji, ks. Pietro Pappagallo; żydowskiego pochodzenia dawny partyjny towarzysz Mussoliniego z czasów „marszu na Rzym”, a później podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Włoch, Aldo Finzi.

Nie do końca było jasne, która jednostka wykona egzekucję. Generał Mülzer zaproponował dowódcy III Batalionu mjr. Helmuthowi Dobbrickowi, aby w akcie zemsty przeprowadzili ją policjanci z pułku „Bozen”. Major odrzucił propozycję, motywując odmowę tym, że Tyrolczycy będący katolikami ze względów religijnych nie będą jej w stanie wykonać. Tym samym obowiązek odwetu spadł na funkcjonariuszy Policji Bezpieczeństwa.

Egzekucje rozpoczęły się 24 marca 1944 r. o godz. 15.30 w Grotach Ardeatyńskich. Zakładników rozstrzelano piątkami w świetle palących się pochodni. Musieli oni przed śmiercią uklęknąć, wtedy oddawano do nich strzały w tył głowy. Po zgładzeniu wszystkich przywiezionych więźniów wejście do grot wysadzono. Jak się okazało, rozstrzelano nie 320 zakładników – jak oficjalnie ogłoszono – ale 335. Zwiększona liczba zabitych spowodowana była samodzielną decyzją Kapplera o dołączeniu – po śmierci w godzinach rannych 24 marca kolejnego policjanta – dodatkowych 10 zakładników oraz pomyłką związaną z przywiezieniem na miejsce straceń pięciu ponadplanowych zakładników, których ze względu na to, iż byli świadkami rzezi, nie chciano odwieźć do więzienia i zgładzono jako niewygodnych świadków.

Analiza przynależności organizacyjnej 335 rozstrzelanych wskazuje, że 55 należało do komunistycznej organizacji Bandiera Rossa, 30 do Włoskiej Partii Komunistycznej, a tylko jeden do GAP. Z tych obliczeń wynika, że zaledwie 86 miało związki głównie ideowe z organizacją, która dopuściła się tego terro-

rystycznego zamachu. Pozostali zginęli albo z powodu przynależności do ruchu oporu, albo zupełnie przypadkowo. Bez wątplenia brak koincydencji 415 między ofiarami odwetu a organizatorami nakazuje zdecydowanie krytycznie ocenić działania niemieckie w tym zakresie. Dobór zakładników powinien dotyczyć wyłącznie środowisk komunistycznych, które narażając na niemiecki odwet cywili, ponosiły odpowiedzialność za dokonany na Via Rasella akt terroru.

Po wojnie niektórzy winni masakry ardeatyńskiej stanęli przed sądem. Już 9 września 1944 r. rozstrzelany został prefekt policji w Rzymie Pietro Caruso. Rok później ten sam los spotkał Pietro Kocha. W 1946 r. brytyjski sąd wojskowy na karę śmierci zamienioną na dożywotnie więzienie skazał generałów Mülzera (zmarł w więzieniu w 1952 r.) i Mackensena. W 1948 r. karę dożywotniego więzienia otrzymał również Kappler (karę odbywał aż do 1977 r., kiedy dzięki pomocy swojej żony Ilse uciekł ze szpitala w Rzymie do RFN), a przed nim podobny wyrok otrzymał feldmarszałek Albert Kesselring ułaskawiony i zwolniony w 1952 r. Ostatnimi sądzonymi w tej sprawie byli SS-Hauptsturmführer Erich Priebke i SS-Hauptsturmführer Karl Hass, obaj skazani na dożywocie.

Czy represje w postaci egzekucji zakładników były podczas II wojny światowej legalne. Jasnej odpowiedzi na to pytanie udzielił Amerykański Trybunał Wojskowy w Norymberdze, który w rozprawie nr 7 przeciwko generałom sprawującym funkcje dowódcze na Bałkanach (sprawa feldmarszałka Wilhelma Lista i innych) stwierdził m.in.: „Nie można zaprzeczyć, że w celu zabezpieczenia armii przeciwko bezprawnym aktom ze strony sił nieprzyjacielskich lub wrogiego narodu można brać zakładników... Okupantowi przysługuje prawo domagania się stosowania do zarządzeń wydanych w interesie bezpieczeństwa wojsk okupacyjnych. Dla zrealizowania tego celu może on – jedynie oczywiście w ostateczności – brać i rozstrzeliwać zakładników”.



Plakat włoskiego filmu wojennego z 1973 r. FOT. ARCHIWUM



Ignacy Jan Paderewski
opuszcza obrady konferencji
pokoju w Paryżu

FOT. UPPA PHOTOSHOT/PAP

1916, 1917, 1918 / Ignacy Jan Paderewski i Woodrow Wilson

US of Poland



Maciej Rosalak

/ Ignacy Paderewski wystąpił z projektem stworzenia Stanów Zjednoczonych Polski. Państwo to miało być mocarstwem i monarchią

Nazwę „Stany Zjednoczone Polski” prezydent Wilson usłyszał zapewne na podobnej zasadzie, jak obecny prezydent usłyszał: „Fort Trump”... Tej drugiej

nazwy – jak doskonale pamiętamy – użył we wrześniu 2018 r. prezydent RP Andrzej Duda, aby przekonać prezydenta USA Donalda Trumpa do koncepcji stałej obecności US Army na naszym terytorium. Natomiast pierwszej nazwy

użył na przełomie lat 1916 i 1917 Ignacy Jan Paderewski, by przybliżyć amerykańskiemu sercu wizję odrodzonego państwa polskiego w projekcie, o którego przygotowanie poprosił go prezydent Woodrow Wilson. Nasz genialny pianista uznał nawet w szybko przedstawionym dokumencie, że choć głową owych „Stanów Zjednoczonych Polski” stanie się – jak za czasów I Rzeczypospolitej – król, to dobrze będzie nazwać go zarazem „prezydentem”.

Stany Zjednoczone Ameryki do marca 1917 r. zachowywały neutralność w wielkiej wojnie niosącej śmierć milionom Europejczyków. W miarę nasilania się

walk, rosnących strat i doniesień o brutalności Niemców na zajętych obszarach umacniała się po obu stronach Atlantyku anglosaska solidarność i zwiększały dostawy amerykańskich towarów na Wyspy Brytyjskie. Po ogłoszeniu w lutym 1915 r. przez Niemcy strefy wojny wokół Albionu i groźby zatapiania tam jednostek państw neutralnych, a zwłaszcza po storpedowaniu w maju owego roku przez niemiecki okręt podwodny transatlantyku „Lusitania” z amerykańskimi pasażerami na pokładzie, w USA wzrosły tendencje prowojenne.

Jeszcze w końcu 1916 r. dotychczasowy prezydent, demokrat Wilson, z dużą przewagą zwyciężył w wyborach, startując pod hasłem: „On trzymał nas z dala od wojny”. Dopiero po wznowieniu na początku lutego 1917 r. przez Niemcy nieograniczonej wojny podwodnej (zawieszanej po tragedii „Lusitania”), storpedowaniu okrętu US „Vigilantia” oraz po przechwyceniu i opublikowaniu przez Brytyjczyków niemieckiej depeszy proponującej Meksykowi udział w wojnie po stronie Niemiec, prezydent, a także obie izby parlamentu USA, zdecydowali w marcu 1917 r. o wypowiedzeniu wojny Niemcom (a osiem miesięcy później – Austro-Węgrom).

Gdy Woodrow Wilson wygłaszał 22 stycznia 1917 r. przed Senatem swe orędzie noworoczne, nadal występował jednak jako orędownik pokoju, wysuwający propozycje warunków, których przyjęcie zapewniłoby sprawiedliwe stosunki między państwami w Europie. Jeden z tych warunków brzmiał: „Zakładam, żeby przytoczyć tylko jeden przykład, że mężowie stanu są wszędzie zgodni, że winna istnieć zjednoczona, niepodległa i samorządna Polska”. Tak więc, o czym na ogół się nie pamięta, postulat niepodległości zjednoczonej Polski padł z ust prezydenta USA cały rok przed słynnymi 14 punktami ze stycznia 1918 r. (punkt 13. – zacytujmy – mówił: „Należy stworzyć niezawisłe państwo polskie, które winno obejmować terytoria zamieszkałe przez ludność niezaprzeczalnie polską, któremu należy zapewnić swobodny i bezpieczny dostęp do morza i którego niezawisłość polityczną i gospodarczą oraz integralność terytorialną należy zagwarantować paktem międzynarodowym”).

Przypomnijmy, że pierwsze ze wspomnianych orędzi zabrzmiało wkrótce po

opublikowaniu aktu 5 listopada 1916 r., w którym gubernatorzy – niemiecki w Warszawie i austriacki w Lublinie – zapowiedzieli utworzenie państwa polskiego na ziemiach zdobytego w poprzednim roku zaboru rosyjskiego. Wprawdzie nie miało to być państwo niepodległe, lecz tylko „samodzielne”, i nie wiadomo, w jakich granicach, niemniej – chcąc nie chcąc – państwa centralne postawiły kwestię polską na arenie międzynarodowej. To z kolei powodowało konieczność ustosunkowania się do sprawy reaktywowania polskiej państwowości wszystkich innych uczestniczących w wielkiej wojnie państw.

Jego zarobki w firmie Steinway, produkującej fortepiany i organizującej koncerty, wyniosły podczas tournée w 1891 r. – na dzisiejsze pieniądze – niemal 2 mln dol., a następnego roku aż 3,2 mln dol. Były to wpływy jedynie z biletów, nie licząc sprzedaży wydawnictw nutowych własnych kompozycji (a jego „Menuet G-dur” sprzedano w nakładzie ponad 1 mln egzemplarzy). Żaden muzyk tyle wtedy nie zarabiał. Sukces finansowy przybysza z oceanu Amerykanów nie raził. Przeciwnie – powiększał tylko jego sławę i powszechne uznanie.

Szlachetny człowiek, którym był Paderewski, przeznaczał fortunę na cele



RYS. JACEK GRAMBURG

Podjęcie tej kwestii przez prezydenta USA w dwóch orędiach noworocznych – z lat 1917 i 1918 – było wielką zasługą Ignacego Jana Paderewskiego...

W Białym Domu

Po raz pierwszy Paderewski trafił do Stanów Zjednoczonych jako 30-letni pianista, cieszący się już zasłużoną sławą w Europie, a nawet popularnością podobną do dzisiejszych celebrytów, a to dzięki osobistemu urokowi, urodzie i bujnym falam blond włosów. W USA zrobił furorę.

– jak byśmy dziś powiedzieli – społeczne, także patriotyczne. On to przecież ufundował w 1910 r. pomnik Grunwaldzki w Krakowie, a w 1915 r. utworzył w szwajcarskim Vevey z Henrykiem Sienkiewiczem i innymi znanymi, światłymi rodakami (wśród członków była m.in. Maria Curie-Skłodowska) komitet pomocy dla ofiar wojny na ziemiach polskich. Do 1919 r. przekazano do ojczyzny 20 mln franków szwajcarskich. Paderewski ruszył także utartym szlakiem do USA, szukając tam pomocy. W trakcie licznych koncertów – jak zanotował w pamiętnikach – z reguły zwracał się

do publiczności ze słowami: „Proszę was: mówcie o Polsce waszym życzliwym, dobrym przyjaciółom. Powiedźcie im, że hen daleko od waszego kwitnącego kraju, zasobnego, szczęśliwego kraju, żyje w ogromnej nędzy wielki naród. Zgnębiony biedą, a jego cierpienia przekroczyły wszelkie granice ludzkiej wytrzymałości. Powiedźcie im, że ten właśnie naród, gdy oni byli w potrzebie, posłał im Kościuszkę i ofiarował Pułaskiego”.

Aby podjąć dzieło odrodzenia ojczystego państwa, szukał kontaktu z Białym Domem. Kiedy więc zobaczył w gazecie zdjęcie płk. Edwarda Mandella House’a – zaufanego, bliskiego współpracownika Woodrowa Wilsona – postanowił:

„Nie czytając podpisu, powiedziałem do siebie: chciałbym poznać tego człowieka. Przeczytałem tekst obok zdjęcia. Prezydent wysyłał go już dwa razy z misją pokojową do Europy. Pomyślałem: to człowiek, który musi mi pomóc, i zrobię wszystko, by się z nim spotkać”.

Spotkanie szybko zostało zaaranżowane, urzeczony znajomością z wirtuozem pułkownik wykazał pełne zrozumienie dla idei odrodzenia polskiego państwa i już po dwóch tygodniach rozmawiał na ten temat z prezydentem. Ten również chciał poznać tak sławnego człowieka. A dzięki niemu lepiej poznał, zrozumiał i wreszcie zaakceptował pomysł utworzenia niepodległego państwa na ziemi, która od stu lat kojarzyła się kolejnym pokoleniom na całym świecie z niewielką zachodnią prowincją imperium rosyjskiego.

Ignacy Jan Paderewski, uznany w Stanach Zjednoczonych za gwiazdę pierwszej wielkości już od pierwszych koncertów w latach 1891–1892, od pierwszej połowy 1916 r. był w Białym Domu gościem urzeczony nim Wilsona. Przy spotkaniu, po wytwornej kolacji i po minirecitalu fortepianowym, żarliwy polski patriota mówił o konieczności wyzwolenia Polaków po stuletniej potrojnej niewoli. Tak też było 6 listopada 1916 r., w dniu urodzin pianisty, a jednocześnie w przededniu reelekcji Wilsona na drugą kadencję, gdy – jak się zdaje – akurat nadchodziły meldunki wyborcze z zachodnich stanów USA.

Nie wiemy, czy Woodrow Wilson słuchał tych meldunków przy akompaniamencie Chopinowskiego „Poloneza As-dur” czy „Etiudy c-moll” zwanej „Re-

wolucyjną”, dość, że podobno powiedział wylewnie: „Drogi panie Paderewski, mogę Panu powiedzieć, że Polska odrodzi się i będzie ponownie istniała. Dla Polski cud niepodległości nadejdzie z Zachodu, tak jak moje własne zwycięstwo nadejdzie poprzez cud z Zachodu”. Wynikiem spotkania z 6 listopada 1916 r. była prośba prezydenta – przekazana pianistcie przez płk. Edwarda House’a – o skonkretyzowanie takiego planu.

Cztery królestwa

Paderewski przystąpił natychmiast z pomocą rodaków do wertowania map obszarów obejmowanych przez I Rzeczpospolitą, do przypominania sobie jej aktów prawnych i umów z sąsiednimi państwami, nacji ją zamieszkujących, zmian zachodzących podczas zaborów. 11 stycznia 1917 r. – czyli 10 dni przed planowanym orędziem prezydenta – złożył w Białym Domu kilkunastostronnicowy dokument opatrzonej stosowną mapą.

„Stany Zjednoczone Polski” miały być państwem federacyjnym i składać się z kilku autonomicznych części: Królestwa Polski, Królestwa Litwy, Królestwa Polesia, Królestwa Galicji-Podola i Królestwa Wołynia. Obszar tego państwa pokrywał się na ogół z przedrozbiorową Rzeczpospolitą – z wyłączeniem ziem ukraińskich po obu stronach Dniepru, a więc przedrozbiorowych województw: kijowskiego, bractawskiego i czernichowskiego.

Zwraca uwagę, że dokładnie ten właśnie nieuwzględniony w projekcie obszar miał wedle unii hadziackiej (1658) tworzyć Wielkie Księstwo Ruskie, z dominacją Kozaków i prawosławia, ale jednak wchodzące do unii trzech równorzędnych podmiotów prawnych, nowej Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Czy Paderewski brał więc pod uwagę sojusz z Ukrainą naddnieprzańską jako samodzielnym państwem (cztery lata później Józef Piłsudski zawierał taki sojusz z Symonem Petlurą)? Nie można tego wykluczyć, zwłaszcza że idea federacyjna Komendanta nie była mu, w przeciwieństwie do endecji, obca. Trudno natomiast byłoby przyjąć, że w ogóle tracił z pola widzenia ogromną część Ukrainy, wchodzącej przecież od unii lubelskiej w skład Korony, na której sam – w Kuryłówce (dzisiejszy obwód winnicki) – się urodził.

Niezadowolony w pełni z kształtu dokumentu Paderewski dołączył w jego dalszej części korektę. Galicję-Podole przemianował na Królestwo Halicji, do którego wchodziła też południowa część Wołynia między Bugiem a Zbruczem. Północną część Wołynia włączył do Królestwa Polesia. Na uwagę zasługuje włączenie do Polski części ziem śląskich: Księstwa Cieszyńskiego, Opolszczyzny i dolnośląskich powiatów: sycowskiego oraz namysłowskiego. Tak więc mapa US of Poland wyglądała następująco:

- Królestwo Polski,
- Królestwo Litwy,
- Królestwo Polesia,
- Królestwo Halicji.

Kraj ten liczyłby 54 mln ludności i byłby – zdaniem autora – „tak jednolity jak Francja”. Konstytucja i system prawny gwarantowałyby równość i wolność wszystkim obywatelom wszystkich nacji i wyznań. Głową całej federacji byłby prezydent, posiadający tytuły króla Polski, Litwy, Polesia i Halicji. Byłby to kraj Polaków, Litwinów, Rusinów z Białej Rusi i Czarnej Rusi oraz Rusinów halicko-włodzimierskich (Ruś Czerwona), których kraj zaczęto nazywać – w skali dziejów stosunkowo niedawno – Zachodnią Ukrainą. W Stanach Zjednoczonych Polski mieszkaliby oczywiście – tak jak w dawnej Rzeczypospolitej – liczni Żydzi, a także Niemcy, Czesi, Ormianie, Tatarzy i Karaimi.

Najistotniejszym uzupełnieniem, zawartym w osobnym memoriale, złożonym jeszcze tego samego dnia 11 stycznia, był postulat włączenia do reaktywowanego państwa Prus Wschodnich.

Od razu powiedzmy, że Wilson nigdy nie stał się orędownikiem takiego kształtu odrodzonej Polski. Dość naiwny zwolennik plebiscytów etnicznych na spornych terytoriach oraz łagodnego potraktowania pokonanych Niemiec i powrotu Rosji do grona mocarstw, a także dziejowych rozstrzygnięć dokonywanych mechanicznie przez instytucje międzynarodowe, nie rozumiał naszych historycznych praw do kresowych obrzeży. Poza tym – mimo zauroczenia Paderewskim i późniejszych przyjaciół rozmów z Romanem Dmowskim – musiał się liczyć ze zdaniem aliantów, z nieprzychylnym Polsce brytyjskim premierem Lloyd George’em na czele. Gdyby nie zwycięskie wojny z Ukraińcami i bolszewikami oraz powstańcza

determinacja Wielkopolan i Ślązaków, otrzymalibyśmy w Paryżu państwo mniejsze od domeny pierwszych Piastów; raczej Księstwo Warszawskie po 1809 r., z prawem do korzystania z gdańskiego portu.

Znaczenie orędzi prezydenckich z lat 1917 i 1918 polega na tym, że Wilson w ogóle opowiedział się w nich za niepodległością zjednoczonej Polski, a z jego głosem musieli się liczyć wszyscy. Co do granic nowej Polski, to nasze oczekiwania, sprowadzające się do odrodzenia Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów, całkowicie rozmijały się z „pojęciem o wyobrażeniu” państw Zachodu. Patrzyliśmy na wiek XVIII, a tu nastał XX. O naszym prawie do budowy Rzeczypospolitej Trojga Narodów świadczyć miała polska krew rozlana w narodowowyzwoleńczych powstaniach. Nie tylko politycy rosyjscy i niemieccy, lecz także zachodni skłonni byli za to przypominać nam, że na dwa pierwsze rozbiory zgodziły się polskie sejmy, a na trzeci – król Stanisław August, który, abdykując, oddał losy Polski w ręce „Najjaśniejszej Imperatorowej”.

Potem o losach Polski – ku uldze europejskich dworów – zdecydował kongres wiedeński w 1815 r. Car został „królem Polski”, a rdzenne ziemie – Wielkopolskę i Małopolskę – wzięli Prusacy i Austriacy. Pamiętajmy też, że powstanie styczniowe trwało akurat podczas amerykańskiej wojny secesyjnej, władze zaś Unii – czyli Północy – poparły Rosję w dziele „uśmierzenia polskiego buntu” (i na dodatek cioteczny brat Fryderyka Chopina – Włodzimierz Krzyżanowski – był pułkownikiem w wojskach Jankesów).

Pułkownik House

W warszawskim parku Skaryszewskim wznosi się pomnik wdzięczności dla człowieka, o którym z pewnością mało który ze spacerowiczów kiedykolwiek słyszał. Na wysokim cokole stoi postać mężczyzny z brązu w surducie armii amerykańskiej sprzed wieku. Ramiona ma uniesione w przyjaznym geście. Prawa dłoń jest rozwartą, a lewa przyciska



do serca jakiś ważny dokument zwinięty w rulon.

Na froncie cokołu czytamy tylko: „Edward M. House”

Więcej dowiadujemy się z lewej strony: „Pułkownik Edward M. House / 1858–1938 / Mąż stanu USA / Przyjaciół Polski / Pomnik ufundowany przez / Ignacego Jana / Paderewskiego / w 1932 r. / Zniszczony około 1951 r. / odbudowany w 1991 r. / Wspólnym wysiłkiem / Polaków w Kraju i USA”.

I wreszcie po prawej stronie cokołu, krótko i trafnie: „Szlachetnemu / Rzecznikowi / Sprawy polskiej”.

Napisy mówią wystarczająco wiele. Warto przeczytać. Dodajmy tylko, że autorem pomnika – wtedy ze spiżu – był Franciszek Black (1881–1959), rzeźbiarz urodzony w Warszawie, ale tworzący głównie we Francji i w Szwajcarii. Razem z Antonim Wiwulskim wznosił krakowski pomnik Grunwaldzki (jego dłuta jest m.in. figura powalonego rycerza krzyżackiego w pełnej zbroi). Poznał go wtedy i docenił Paderewski, który zapewnił mu regularne stypendium. Natomiast po upadku komuny rzeźbę zrekonstruował na podstawie fotografii Marian Konieczny z inicjatywy konserwatora zabytków m.st. Warszawy architekta Feliksa Ptaszyńskiego.

Krótkiego komentarza wymaga jeszcze data zniszczenia metalowego, solidnego monumentu w 1951 r. Na kim mściła się komunistyczna władza, która

podjęła barbarzyńską decyzję? Na „imperialistę amerykańskim”, „podlegacza wojennym”, „sługusie amerykańskiego kapitału”? Nikt w te bzdury – może poza aktywistami ZMP – nie wierzył. Chodziło o to, by z przestrzeni publicznej na wieczne czasy zniknęło wszystko, co mogłoby stanowić konkurencję dla „pomników ku czci wyzwolielskiej Armii Czerwonej” oraz utrwalac sympatię dla Stanów Zjednoczonych Ameryki, głównego rywala Sowietów na arenie międzynarodowej i w zbiorowej pamięci Polaków.

Pouczające są też pod tym względem losy pomnika samego Ignacego Jana Paderewskiego, dziś znajdującego się w parku Ujazdowskim. Był to dar Polonii. Autor, Michał Kamieński, przedstawił pianistę siedzącego, a rzeź-

ba powstała tuż przed wybuchem II wojny w Odlewni Metali Półszlachetnych przy ul. Solec w Warszawie. Jej właściciel Czesław Chojnowski skutecznie ukrył ją przed Niemcami, a komunistyczne władze przejęły rzeźbę dopiero w 1956 r. Ocalała, ale ustawiono ją w obecnym eksponowanym miejscu po upływie kilkunastu lat – w 1971 r. Natomiast popiersie Paderewskiego, ustawione w 1988 r. w parku Skaryszewskim, wyrzeźbił Stanisław Sikora z inicjatywy Janiny i Zbigniewa Porczyńskich.

Z kolei pomnik Wdzięczności Ameryce, dłuta Xawerego Dunikowskiego, stał przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie na skwerze Herberta Hoovera, kierującego po I wojnie Amerykańską Administracją Pomocy, szczególnie zasłużonego dla naszej ojczyzny. Monument w dwóch kolorach przedstawiał Polskę i Amerykę jako dwie kobiety tulące małe dzieci. Stał tylko w latach 1922–1930, gdyż piaskowiec, z którego został wykonany, okazał się wyjątkowo nietrwały.

Przetrwała jednak dolna część: fontanna z cokołem i napisami projektu Zdzisława Kalinowskiego. Niemcy dali jej spokój, ale nie polscy komuniści po wojnie. Rozegrali ją w 1951 r. – tym samym, gdy zniszczyli spiżową postać płk. Edwarda Mandella House’a, szlachetnego rzecznika sprawy polskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Gałęzowski

Wezwał Katarzynę II do obalenia suwerennych polskich władz. Przyczynił się do zniszczenia Rzeczypospolitej. Stał się symbolem zdrady

Jan Chrzyciel Lampi
„Stanisław Szczęśny
Potocki z synami” FOT. BEGW

XVIII/XIX w.

Nieczne życie i czyny Szczęsnego Potockiego

Wielki zdrajca

Kiedy żołnierze Legionów Polskich gen. Jana Henryka Dąbrowskiego wkroczyli do Rzymu, stało się to „trafem szczególnym, [że] po raz drugi w samą rocznicę trzeciego maja – ósmą tym razem. Targnięte wspomnienia sprawiły to niewątpliwie, że trójhasło pochodowe brzmiało tego dnia groźnie: – „»Szczęśny – Szuja – Szubienica«” – czytamy w „Nurcie” Wacława Berenta. Pisarz zaraz jednak dodawał, że dla „targowicy była to prognoza równie późna, jak daleka”. Nie wiedzieli legioniści, nie wiedział zapewne

i Berent, że Szczęśny Potocki, przywódca konfederacji targowickiej, która wezwała Moskwę do obalenia Konstytucji 3 maja, czym walnie przyczyniła się do zniszczenia własnego państwa przez Rosję, Prusy i Austrię, korzystając ze swojej ogromnej fortuny w tymże 1799 r., przez kilka miesięcy podziwiał właśnie uroki Italii.

Wróg konstytucji

Celem pierwszej europejskiej konstytucji, uchwalonej przez Sejm Rzeczypospolitej w 1791 r., była przede wszystkim

reforma ustroju państwa polskiego. Ściślej zaś biorąc – wydobyte Polskę z dna upadku, w którym pograżyła się za rządów Sasów i była utrzymywana przez sąsiadujące z Polską mocarstwa przez większość panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Szczęśny Potocki inaczej oceniał reformę konstytucyjną, czemu dał wyraz w liście do króla: „Że ów dzień fatalny trzeciego maja jest zgubą wolności narodu i egzystencji Rzeczypospolitej, którą całkiem zniszczył, a monarchię ustanowił, każdy prawy Polak mówić i czuć inaczej nie może” (ten i dalsze cytaty za: Jerzy Łojek, „Dzieje zdrajcy”,

Katowice 1988). Wkrótce też przystąpił do działań, które miały na celu obalenie konstytucji.

Okazało się jednak, że najbogatszy magnat Rzeczypospolitej nie może liczyć na powodzenie. Co prawda wprowadzone zmiany nie cieszyły się bynajmniej powszechnym poparciem szlachty, nie oznaczało to jednak powstania jakiegos poważniejszego ruchu sprzeciwu wobec stronnictwa patriotycznego, które przeprowadziło uchwalenie konstytucji. Nie mogąc stworzyć liczącej się opozycji, kilkunastu przeciwników ustawy majowej, na czele z Potockim, wyruszyło do Petersburga, by tam prosić carycę Rosji Katarzynę II o pomoc militarną i przywrócenie poprzedniego ustroju Rzeczypospolitej. Potocki tak wówczas zarysował swój „program polityczny”: „Nic ponad wolność – to dewiza Polaków. Nigdy jej z oka spuszczać nie trzeba, kiedy się ma do czynienia z tym narodem. Nawet Rosja tak znienawidzona, jeśli oświadczy, że chce przywrócić wszystko na dawną stopę, będzie miała całą Polskę za sobą”.

Działalność Szczęsnego Potockiego w rosyjskiej stolicy początkowo ograniczyła się do lamentowania, że ponieważ Polska stała się krajem niewolniczym, osiadł nad Newą albo w Wiedniu. Ostatecznie zdecydował się na powrót do kraju wraz z podobnymi sobie Sewerynem Rzewuskim i Klemensem Branickim. Wszyscy oficjalnie wystąpili do carycy o wsparcie militarne Rosji w takiej oto formie: „Wielka Katarzyno, podobna Bogom bardziej jeszcze przez chęć czynienia dobra niż przez posiadaną od nich władzę nieograniczoną! Tobie jednej przystało być bogiem przyjaznym wolności polskiej [...]. Naród polski skonfederowany wzywa Cię jak Boga przyjaznego wolności i błaga o jej obronę. Wielka dusza Twoja nie odmówi nam pomocy; przyjaźń, którą zawsze żywiłaś dla Rzeczypospolitej Polskiej, [...] wkłada na Cię obowiązek dokonania tego, co Tobie sławę, nam zaś zapewni szczęście”. Ów naród polski, który zwracał się do carycy, liczył aż 14 osób.

Jak wiadomo, Katarzyna II spełniła życzenie autorów tego świadectwa wyjątkowego upadku, którzy wkrótce formalnie przybraли miano konfederacji targowickiej, od nazwy przygranicznego miasteczka, do którego drogę otworzyli im rosyjscy żołnierze. W wydanym manifestie zdrajcy szczególnie mocno

podkreślali żądanie, „aby Rzeczpospolita udzielna, samodzielną, niepodległą, w granicach swoich została”. Bardzo musieli być rozbawieni caryca i jej otoczenie, czytając owe warunki. Z chwilą wkroczenia wojsk rosyjskich odebranie wschodnich województw Rzeczypospolitej było bowiem przesądzone. Wkrótce miało się jednak okazać, że znaczną część polskich ziem w zachodniej części kraju otrzymają Prusy.

Mimo wkroczenia do Polski z potężnym sojusznikiem targowica zyskała znikome wsparcie szlachty. Do Szczęsnego napływały narzekania nielicznych zwolenników, że nikt nie chce bronić „wolności”. On sam wyrażał zdziwienie braku poparcia dla wojsk rosyjskich, które – jak pisał – chciały wyzwolić Polaków spod jarzma konstytucji. Jerzy Łojek podaje, że wręcz domagał się, „aby za wszelką cenę zbierać jakiegokolwiek bądź akcesy do konfederacji targowickiej, nawet ludzi najpodlejszych”. Kiedy i to nie dawało pożądanego skutku, sięgnięto po przemoc moskiewską. Dopiero przymus ze strony Rosjan spowodował pewne zwiększenie liczby przystępujących do konfederacji. Jak wyglądało to w praktyce, czytamy w piśmie szlachty grodzieńskiej:

„Pełne są miasta, wsie i domy nasze krwi i łez, gwałtownością rosyjskiego żołnierza wyciśnionych; pełno jęków pojmanej w niewolę szlachty, których dom własny stał się więzieniem, a stałość przy najlepszym rządzie i najdobrowolniejszej przysiędze – występkiem. Sieje żołnierz rosyjski niebezpieczeństwa, groźby

i gwałty, przynaglając obywatelów, aby swego i następców szczęścia w zaprzysiężonym rządzie odstępowali; wybiera furaże i prowianty, pędzi przy obozach tysiącami podwozy; słowem, województwa i powiaty niszczy i pustoszy. [...] Wszyscy ofiarujemy osobistą obronę i jej wsparcie w niezliczonych składkach; żadnej jeszcze z tych drogich ofiar nie widzimy poświęconej od nikogo dla mniemanej okropnej konfederacji, która, z swobodami niby ojcystemi do nas odzywając się, ze wszystkich najprzejemniejszych człowiekowi i obywatelowi własności nas wyzuwa i ojczyznę zgubić stara się. [...] Niechaj przynajmniej nigdy świat nas nie obwinia i nie przymusza naszych następców wstydić się za nas, żeśmy podłymi byli w nieszczęściu, żeśmy przez nie odstąpili szczęścia, które sławna wiekami do końca świata ustawa rządowa na Polskę zlała [...]”.

Takie głosy były najczęstsze w szlacheckim społeczeństwie, którego większość pogardzała targowicą. Wyraźne poparcie zdarzało się bardzo rzadko, przybierając formę obmierzłego lizusostwa, tak jak w przypadku proboszcza z Humania, Michała Sierakowskiego, który takimi słowy witał Szczęsnego przybywającego do rodzinnego gniazda Potockich – Tulczyna: „Mężu wielki i cnotliwy! Miejsce, które cię obejmuje, święte jest. Ziemia, na której stoisz, twoja jest”. A zwracając się także do pozostałych targowiczian, mówił: „Znieście i obalajcie monarchię. Wznoszę do Boga ręce, by ciebie i was przeznacni mężowie, Bóg

Insurekcja 1794 r., Warszawa, wieszanie portretów tych zdrajców, których nie ujęto. Obraz Jana Piotra Norblina

FOT. WIKIPEDIA



„zastępów błogosławił!”. Po tym przemówieniu nastąpiło nabożeństwo, podczas którego, jak pisze Łojek, „Szczęsny i jego klienci błagali Boga o opamiętanie dla błędzającej braci: »aby porzucili ciemność obłąkania« – to jest Konstytucję 3 maja – »i przyszli do najprzedszego światła jedności z nami«”.

„Nasza ojczyzna jest tutaj”

Wkroczenie wojsk rosyjskich do Polski doprowadziło do wybuchu wojny polsko-rosyjskiej zwanej wojną w obronie konstytucji, przerwanej z chwilą przystąpienia do konfederacji targowickiej króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Rządy w kraju przejęli targowiczanie, korzystając ze wsparcia pozostałych w nim wojsk rosyjskich. Konstytucja została obalona, w styczniu zaś 1793 r. Rosja i Prusy dokonały II rozbioru Rzeczypospolitej.

Szczęsny wraz z pozostałymi przywódcami targowicy zaprotestowali wobec zaboru ziem polskich przez Prusy, zapowiadali nawet zwołanie szlachty pod broń dla zapobieżenia pruskiej agresji. Ich teatralny zapał szybko ostudził ambasador carycy Osip Igelström. Zapytany przez targowiczan, czy mają stawić opór Prusakom, odpowiedział, że nie doradza wydawać wojsku polskiemu rozkazów do rozpoczęcia walki. Co się bowiem stanie, kiedy on sam otrzyma z Petersburga rozkaz, aby pilnować, by polscy żołnierze pozostali w swoich garnizonach? – pytał z udawaną troską.

Po dokonanym rozbiorze Rosja wyznaczyła targowiczanom jeszcze jedną rolę – mieli oni doprowadzić do ratyfikacji zaboru przez sejm Rzeczypospolitej, który zwołano do Grodna. Potocki chciał tego uniknąć, ale jego rosyjscy mocodawcy początkowo nie dopuścili do jego wyjazdu z miasta. Poniżając go sytuację magnat odreagowywał, całymi dniami grając w karty. Dopiero wskutek pokątnych interwencji udało mu się uzyskać zgodę Katarzyny II na przyjazd do rosyjskiej stolicy. „Z racji in-

teresów europejskich gabinety aż nadto ostrożnymi być powinny, przeto dla układów i zamiarów moich potrzebna jest bytność Pana tutaj, której żądam” – pisała monarchini.

Do Petersburga Szczęsny jechał jako oficjalny poseł targowicy z instrukcją, wedle której miał się starać o ustalenie w Polsce rządu, który będzie dogadzał obu państwom, oraz o zabezpieczenie bytu Rzeczypospolitej. To drugie sprowadziło się do żalosnej sceny, kiedy Katarzyna zapytała Potockiego, jak się ma. Ten wystękał, że ma się dobrze, ale jego ojczyzna... Caryca nie dała mu dokończyć. Odpowiedziała: albo „pańska ojczyzna jest tutaj”, albo „nasza ojczyzna jest tutaj”. Wedle Jerzego



„Wielka Katarzyno... Tobie jednej przystało być Bogiem przyjaznym wolności polskiej” – pisali zdrajcy FOT. WIKIQUOTE



Łojka bardziej prawdopodobna była druga wersja, spisana przez krewnego Szczęsnego – Jana Potockiego, autora „Rękopisu znalezionej w Saragossie”. „Cała postawa Potockiego, jego zachowanie wobec dworu petersburskiego co najmniej od 1784 r. dowodzi, że od dawna uważał suwerenność Rosji nad wschodnimi obszarami Rzeczypospolitej za obrót rzeczy nieuchronny, naturalny i pożądany” – oceniał szczerze rozterek magnata znakomity historyk.

Po wyjeździe z Petersburga Szczęsny Potocki zaczął utrzymywać, że targowica na czele z nim ratowała, co się dało, a Polskę zgubili autorzy polityki zapoczątkowanej obradami Sejmu Czteroletniego. W ten sposób dał podwaliny pod argu-

mentację wszystkich późniejszych zdrajców sprawy polskiej, którzy pragnęli jedynie ratować, co się da... Swoje wywody okraszył tradycyjną deklaracją o przywiązaniu do ojczyzny: „Wszędzie i zawsze nigdy Polakiem być nie przestanę. A w tym stanie nieszczęśliwym dla imienia polskiego, jeśli mi radzić jeszcze wolno, zdaje mi się, aby się starać o konserwację egzystencji choć uszczuplonej niezmiennie Polski, pomnąc na to, że początki naszego narodu były jeszcze mniejsze”.

Kilka miesięcy po sejmie grodzieńskim, ostatnim w historii Rzeczypospolitej, Szczęsny i pozostali dwaj przywódcy targowicy opuścili Polskę. Uniknęli w ten sposób szubienicy, na którą w czasie powstania kościuszkowskiego skazano kilku ich bliskich współpracowników, w tym hetmana wielkiego litewskiego Szymona Kossakowskiego i jego brata, biskupa inflanckiego Józefa,



Pałac najbogatszego magnata kresowego – Szczęsnego Potockiego – w Tulczynie FOT. WIKIPEDIA

który mawiał o sobie, że jest najpoddańszym służką Katarzyny II. Władzom powstańczym pozostało jedynie zaoczne skazanie Potockiego, Branickiego i Rzewuskiego na infamię, konfiskatę majątku i śmierć. 29 września 1794 r. w Warszawie kat zawiesił na szafocie portrety trzech zdrajców.

Nie minęły dwa miesiące, kiedy powstanie upadło. Potocki uznał to za kolejną okazję do przypodobania się Katarzynie II: „Pośród nieszczęść, które gnębią ludzkość, w wieku pełnym okrucieństw i zbrodni, które grożą zniszczeniem wszelkiego ładu społecznego, wszelkiego rządu prawego, do Ciebie jedynej, Wielka Monarchini, podnoszą ręce, zwracają oczy ludzie prawi, spokojni, cnotliwi wszystkich narodów. Tylko spośród wszystkich ludów, podległych Twemu berłu, a które geniusz Twój ochrania od zarazy szerzącej się w całej Europie, można jeszcze odnaleźć szczęście. Sceny okrucieństwa w Polsce przekonały mnie, że nie powinienem mieć innej ojczyzny, jak tylko Cesarstwo WCMości”. W dalszej części błagał carycę o pozwolenie noszenia munduru rosyjskiego, co uczyni go „aż nazbyt dumnym, aż nazbyt szczęśliwym. Jestem godny zostania współbratem tych dzielnych Rosjan, którzy tak są wierni WCMości”.

Rosjanin na zawsze

Szczęśny Potocki wrócił do swoich dóbr latem 1795 r., po trzecim rozbiore Rzeczypospolitej. Później, przez pewien czas, przebywał, jak wspomniano, w Italii. Ostatnie lata życia spędził w Tulczynie. Wątpliwe, by magnata dręczyły wyrzuty sumienia, jak chciałby Julian Ursyn Niemcewicz, piszący w „Lamentacjach, to jest narzekaniach Szczęsnego

wych”: „Nie powinienemże pamiętać, że imię Szczęsnego stało się nazwiskiem zbrodni? Że wszyscy palcem wytykać mię będą; [...]. Biada mnie głupiemu i zaślepienemu pycha!”. Prawdziwy stosunek do upadku Rzeczypospolitej Potocki przedstawił w liście do innego z targowiczów, Seweryna Rzewuskiego: „Nie mówię już o przeszłej Polsce i Polakach. Znikło już i to państwo, i to imię, jak znikło tyle innych w dziejach świata. Każdy z przeszłych Polaków ojczyznę sobie obrać powinien. Ja już jestem Rosjaninem na zawsze”.

Takie przekonanie wyrażał ten, który jeszcze kilka lat wcześniej chciał ratować wolność Polaków rzekomo zagrożoną przez wprowadzenie mocą ustawy majowej monarchii dziedzicznej, a o sobie samym pisał: „Wszędzie i zawsze nigdy Polakiem być nie przestanę”. Odnosząc słowa z listu do Rzewuskiego Marian Kukiel komentował, iż Potocki „nie spodziewał się, że za lat trzynaście jego syn bić się będzie w polskim mundurze o przywrócenie polskiego państwa”. Jak i syn adresata cytowanego listu, co prawda później, w dobie powstania listopadowego. Co do Szczęsnego dodajmy, że już wcześniej rozpytywał się z radości, kiedy dowiedział się, że po trzecim rozbiore stał się poddanym Katarzyny: „Wydawało mi się, że miałem szczęście urodzenia się Rosjaninem; czułem to samo przywiązanie i poświęcenie dla mojej Monarchini i mojej ojczyzny, które zjednywały i zjednywać będą zawsze taki sam szacunek Rosjan”.

I jako „Rosjanin na zawsze” ostatnie sześć lat życia przeżył w Tulczynie, „pod koniec życia znany »ze zbytniego zażywania cukierków diabolinami zwanych, do sprawy lubieżnej pobudzających«”. Dom jego był zawsze przepełniony; oprócz licznych krewnych przybywali tam również

goście z zaboru austriackiego i pruskiego. Hucznie obchodzono imieniny Szczęsnego i członków jego rodziny, a po bardzo obfitych ucztach następowały bale, maskarady (przebijano się na przykład za bóstwa z panteonu starożytnej Grecji), przedstawienia teatralne, raczej lżejszego gatunku. Wszystko to zaledwie kilka lat po III rozbiore Polski. Sam pan Tulczyna, cierpiący na różne dolegliwości, nie wyłączając manii prześladowczej, często nie brał udziału w tych zabawach, a w końcu zdarzało się, że niektórzy goście nawet go nie rozpoznawali.

Potocki jeszcze przed II rozbiorem, jak wspominał jeden z jego ówczesnych rozmówców, zdradzał „szczególną do dworu rosyjskiego skłonność”. Najbardziej zaś upodobał sobie carycę Katarzynę II, rozwołując się „o wysokich przymiotach duszy i charakteru tej wszechwładnej pani, o jej najlepszych dla Polski intencjach”. „Cóż to za kobieta”, egzaltował się, dając wyraz zazdrości „szczęścia niegdyś Poniatowskiego i tylu innych”, by wreszcie z dumą zakończyć, że monarchini oświadczyła mu: „[...] pragnę szczęścia twej ojczyzny, podniesienia jej politycznego bytu, i chcę ciebie i tylko ciebie użyć do spełnienia tego zaszczytnego zamysłu”.

Taki to „mąż stanu” kierował prorosyjskim stronnictwem, które wezwało Katarzynę II do obalenia suwerennych władz polskich, a w konsekwencji współuczestniczyło w zniszczeniu Rzeczypospolitej, po wsze czasy stając się symbolem zdrady w Polsce. I bez znaczenia jest to, że Potocki w odróżnieniu od większości innych ówczesnych zdrajców, pobierających za swoją działalność sowite wynagrodzenie od Rosji, służył jej z pełnego przekonania.

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

Seks i poezja / Kobiety w życiu naszego noblisty

Podboje miłosne Czesława Miłosza



Sławomir Koper

Jak wiadomo, literaci z reguły cieszą się dużą przychylnością płci pięknej. Podobnie było z Czesławem Miłoszem, który szczerze z tego korzystał

Zaczął już w Wilnie, niedługo po swoim debiucie, a najważniejszym związkiem w tym okresie życia była jego znajomość ze studentką prawa, Jadwigą Waszkiewicz. Trwał on niezależnie od innych przelotnych znajomości, z czasem poeta zaczął go nazywać „prawdziwą i tragiczną miłością chłopięcego wieku”. Inna sprawa, że nigdy nie pozbył się wyrzutów sumienia z powodu swojego zachowania.

Jadwiga

Starsza od niego o rok Jadwiga pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny. Ojciec był znanym lekarzem, właścicielem kamienicy w Wilnie i 60-hektarowego folwarku Barcie w pobliżu miasta. Romans rozpoczął się na drugim roku studiów poety i szybko nabrał erotycznego charakteru. Po trzech latach znajomości dziewczyna zaszła w ciążę, a Czesław nie potrafił zachować się w dojrzały sposób. Chociaż wcześniej nazywał ją „żoną”, to teraz odmówił zawarcia małżeństwa. Nie miał skrupułów, był okrutny i konsekwentny, zarzucił jej, że właściwie „nie wie, kto jest sprawcą jej ciąży, bo ona w Wilnie flirtowała nawet z jego kolegami”.

Jadwiga urodziła córkę, a ojciec dziewczyny oddał dziecko do adopcji. Miłosz po latach tłumaczył się, że stanął przed wyborem: małżeństwo czy literatura. Trudno jednak nie oprzeć się refleksji, że właściwie nigdy chyba nie kochał partnerki.

Kilka lat później, już podczas wojny, Jadwiga związała się z Sergiuszem Piaseckim. Pisarz nigdy nie wybaczył Miłoszowi krzywdy ukochanej i przedstawił dzieje ich romansu w powieści „Człowiek przemieniony w wilka”. Oczywiście obraz Miłosza (przedstawionego pod imieniem Narcyza) nie należał do specjalnie pochlebnych. Piasecki zresztą

nie ograniczył się tylko do powieściowej zemsty, już przebywając na emigracji, opublikował pamflet „Były poputczik Miłosz”, gdzie zarzucał poecie, że właściwie zawsze pozostał komunistą, a na Zachód uciekł wyłącznie dla osobistej wygody. Nigdy wcześniej ani później Piasecki nikogo nie zaatakował w tak brutalny sposób.

Janina

Po przenosinach do Warszawy Miłosz rozpoczął pracę w Polskim Radiu i tam poznał starszą o dwa lata Janinę Cękal-

Z jej zdaniem liczył się nawet człowiek tak zakochany w sobie i we własnej twórczości jak Jerzy Andrzejewski.

Gdy Cękałski służbowo wyjeżdżał (co zdarzało mu się bardzo często), Miłosz wprowadzał się do jego mieszkania. Kochankowie zachowywali jednak sporo dyskrecji, gdyż znajomi Cękałskiego byli przekonani, że jego małżeństwo normalnie funkcjonuje.

O wszystkim zdecydował wybuch wojny. W pierwszych dniach września Cękałscy opuścili Warszawę, udając się do Lublina, a w ich mieszkaniu zainstalował się Miłosz. Janina jednak porzuciła męża i powróciła do Warszawy, ale do spotkania kochanków nie doszło. Miłosz został ewakuowany ze stolicy wraz z innymi pracownikami Polskiego Radia. Ostatecznie spotkali się w Warszawie latem 1940 r. i zamieszkali razem.

Oficjalnie jednak Janina była wciąż żoną przebywającego na zachodzie Europy Eugeniusza Cękałskiego. Związku z Miłoszem nie można było sformalizować i jeszcze w połowie 1944 r. Janina używała nazwiska męża. Gdy dwa lata



Czesław Miłosz z żoną Carol Miłosz FOT. EAST NEWS

ską, żonę reżysera Eugeniusza Cękałskiego. Z powodu tego romansu zrezygnował nawet ze służbowego wyjazdu do Szwajcarii, tym bardziej że ktoś taki jak Janina był mu potrzebny. Skutecznie hamowała jego zamięłowanie do knajpianego życia, a do tego miała znakomity gust literacki.

później Miłosz spotkał rywala w Nowym Jorku, z rozmysłem wprowadził go w błąd. Wykorzystał sytuację, że Cękałski chciał się ponownie ożenić, i wmówił mu, że rozwód Janki został przeprowadzony w okupowanej Warszawie, ale dokumenty spłonęły podczas

powstania warszawskiego. Podał nawet Andrzejewskiego jako urzędowego świadka rozwiązania małżeństwa.

Cękałski bardzo chciał uwierzyć, inna sprawa, że w zniszczonej Warszawie faktycznie spłonęły miliony dokumentów. Poślubił scenarzystkę Krystynę Swinarską i w ten sposób w świetle prawa stał się bigamistą. Natomiast Janina i Czesław przezornie nie zalegalizowali związku, poczekali z tym do śmierci Cękałskiego (zmarł w 1952 r.) i pobrali się cztery lata później. Miłosz jednak do końca życia zaprzeczał faktom, twierdząc, że zawarł małżeństwo w styczniu 1944 r. w Warszawie, jednak nie w obrzędzie katolickim, dlatego nad Sekwaną ponownie stanęli na ślubnym kobiercu.

Poeta i studentki

W 1960 r. Miłosz przyjął propozycję serii wykładów na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Amerykanie znakomicie płacili, a do tego zapewniaли dobre warunki socjalne, dlatego małżonkowie nie wahali się długo. Poeta szybko się odnalazł w pracy ze studentami, prowadził wykłady na wydziale slawistyki i polubił nowe obowiązki. Okazało się, że doskonale czuje się w kontakcie ze studentami, zresztą zawsze lubił pozostawać w centrum uwagi, a wykłady mu to gwarantowały. Inna sprawa, że faktycznie sprawdził się jako nauczyciel akademicki.

„Chciał się podobać i mieć świadomość, że się podoba – wspominał slawista z Yale, Aleksander Schenker. – Ta żyłka aktorska pomagała mu także na zajęciach uniwersyteckich, na których, jak się sam przyznawał, lubił błaznować. Śmiał się pierwszy ze swoich powiedzonek i komentarzy, rozluźniając w ten sposób atmosferę na sali. O powodzeniu tej metody świadczyła popularność jego wykładów na Berkeley”.

Natomiast Jance coraz bardziej szwankowało zdrowie, miewała częste migreny i stany depresyjne, cierpiała na bezsenność. Z irytacją obserwowała męża, który zdawał się przeżywać drugą młodość. Kontakt z młodzieżą akademicką pozytywnie wpływał na jego samopoczucie, a zdrowie mu dopisywało. Co więcej, bardzo podobał się studentkom, a przy tym miał też duże potrzeby seksualne. W liście do



Czesław Miłosz w Muzeum Literatury w Warszawie FOT. ANNA KOWALSKA/EAST NEWS

jednego z przyjaciół chwalił się poziomem testosteronu, którego podobno miał dwa razy więcej niż przeciętny mężczyzna w jego wieku. Uważał, że to usprawiedliwia jego podboje erotyczne, potrzebował bowiem ich do normalnego funkcjonowania. I choć przed kolegami literatami uskarżał się na wyrzuty sumienia, to ogólny ton jego korespondencji bardziej przypominał przechwałki mężczyzny wchodzącego w smugę cienia.

„[...] z tą Eriką to mnie zafrapowałaś – zazdrościł Miłoszowi Zygmunt Hertz. – Moja dobra rada (starej świni) oczywiście, prześpij się z nią, ale w sposób dyskretny, nie należy mieć dzwonka przyczepionego do materaca, nie musisz się tym chwalić, mimo że to bardzo przyjemne, nie angażuj się uczuciowo, bo to bzdury. Człowieku Boży – jeszcze dziesięć lat i te sprawy będą w szkatułce wspomnień”.

Miłosz był doświadczonym mężczyzną i wiedział, w jaki sposób zrobić odpowiednie wrażenie na studentkach. Pozował na samotnego psychicznie, co wraz z inte-

lektem, literacką sławą i demonstracyjnie podkreślaną różnicą wieku przynosiło pożądane efekty. „[...] chociaż jesteś jak moja córka, w wieku moich synów – pisał do Lilian Vallee – to właściwie mogłabyś być moją wnuczką, gdyby »moje dawne kochanie spełniło się było«, a zarazem jest ta więc inna, emocjonalnego współbrzmienia. Jednak moi synowie po polsku nie czytają i mój świat jest im mało dostępny. Mnie ciągnie do młodości i chyba szukam radości zastępczej, przez jakąś uczuciową identyfikację z tobą”.

Studentki z Berkeley uwielbiały swojego profesora i niejedna miała ambicję odegrania roli muzy poety. Miłosz nie był niezdołbą twierdzą, tym bardziej że wśród jego wielbicielek nie brakowało pięknych dziewcząt. Przyznawał, że miejscowe studentki „do rozpaczki doprowadzają go niekiedy swoją urodą, a i nierzadko inteligencją”.

Uniwersytecką aktywność erotyczną Miłosza w pełni popierał również inny z jego przyjaciół, Konstanty Jeleński. Radził mu nawet, aby w pełni korzystał z możliwości, które daje mu jego

stanowisko, gdyż to może pozytywnie wpłynąć na wenę twórczą. Z tego też powodu całkowicie go rozgrzeszał, gdy Czesław – mniej lub bardziej szczerze – zwierzał mu się ze swoich wyrzutów sumienia: „Zbyt łatwo ulegasz nakazom moralnym [...] Masz przed sobą dziesięć lat przynajmniej, w ciągu których możesz kochać życie, dziewczyny, przecież kampus jest dla Ciebie terenem naturalnym”.

Zatem Czesław nie słuchał „nakazów moralnych” i korzystał z uroków życia na kampusie.

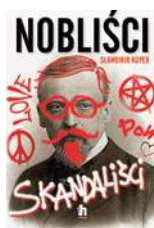
Dziennikarka

Poeta musiał faktycznie mieć bardzo wysoki poziom testosteronu, gdyż jego aktywność seksualna nie zakończyła się po 10 latach. Co więcej, w wieku 70 lat pojawiła się nie tylko nowa namietność, lecz także uczucie, które wywarło niezwykle pozytywny wpływ na jego twórczość. A chociaż romans zakończył się burzliwym rozstaniem, to wiersze jednak pozostały.

Jesienią 1979 r. do Berkeley przyjechała polska dziennikarka, by przeprowadzić z poetą serię wywiadów. Była młodsza od Miłosza o ponad 30 lat i szybko przypadła mu do gustu. Pan Czesław zaproponował jej stanowisko asystentki, a współpraca przerodziła się w romans, który miał potrwać trzy lata.

Kochanka poety do dziś nie zgadza się na ujawnienie swoich personaliów, chociaż nie są one tajemnicą dla wielbicieli twórczości Miłosza. Dlatego biografowie nazywają ją „Ewą” (od jej pseudonimu literackiego) i pod tym imieniem zapisała się w życiu pisarza. Zatem uszanujmy jej wolę, tym bardziej że jej postępowanie w latach romansu z Miłoszem nie wszystkim przypadło do gustu i jest bardzo różnie oceniane.

Poetę oczarowała nowa partnerka i przyjaciele go nie poznawali. Wydawało się, że odmłodziła o kilkanaście lat, a gwałtowny przypływ weny twórczej dobrze rokował na przyszłość. Konstanty Jeleński namawiał nawet Miłosza do rozwodu z Janiną, twierdząc, że dzięki nowej partnerce poeta wznieśnie się na wyżyny swojego talentu. Być może było w tym sporo racji, gdyż tomik „Nieobjęta ziemia” był dowodem eksplozji poetyckiej Miłosza. Przy okazji było to także najbar-



SŁAWOMIR KOPER
„NOBLIŚCI SKANDALIŚCI”
HARDE

dziej zmysłowe wydawnictwo Miłosza, żadna z jego partnerek nie doczekała się takiego hołdu.

Czesław nie ukrywał, że bez uczucia do dziennikarki zbiór nigdy by nie powstał. Był to dowód jego zafascynowania kochanką, wiersze tworzył „całkowicie pod znakiem Ewy” i nastąpiło „u niego jakieś otwarcie na wymiar osobisty ludzkich spraw”. Dzięki temu zyskał zupełnie inne spojrzenie na otaczającą go rzeczywistość. Związek ten nie miał jednak przed sobą przyszłości, asystentka nie zamierzała bowiem pozostać wyłącznie kochanką, a poeta nie chciał opuścić żony. Janina bardzo ciężko chorowała i lekarze nie dawali jej szans na wyzdrowienie. W efekcie Ewa odeszła od poety.

„Ten związek trwał trzy lata i był bardzo szczęśliwy – skarżył się w jednym z listów. – W maju skończył się, zostawiając mnie w stanie osłupienia. [...] Oczywiście nigdy nie myślałem, że w wieku od siedemdziesięciu do siedemdziesięciu trzech [lat] będę Romeo, jako że moi koledzy szkolni są stare dziady. Ale teraz bardzo mi trudno, bo ta »pycha ciała« była jakby tamą chroniącą od przyborów nihilistycznej fali. [...] Genetycznie zostałem wspaniale obdarowany olbrzymią witalnością [...]. Otóż o ile związek, o którym mówię, był rozkwitem witalności, o tyle samotność skazuje mnie na przeglądanie się w lustrze psychicznych chorób osób mi bliskich, co nie jest zdrowe”.

Wprawdzie Ewa odeszła z życia prywatnego Miłosza, jednak nie przestała fascynować się jego twórczością. Opracowywała i tłumaczyła zbiory jego wierszy, wydała o nim kilka książek, zawsze też zachowywała wzorową dyskrecję na temat łączących ich relacji.

Kolejny ślub

Natomiast Janka od lat cierpiała na silne bóle w nogach, aż wreszcie zdiagnozowano u niej nowotwór kręgosłupa.

Przeszła udaną operację, ale nigdy nie powróciła już do zdrowia. Większość czasu spędzała w łóżku, gdy je opuszczała, poruszała się za pomocą lasek lub kul. Jej leczenie okazało się bardzo kosztowne, dlatego Miłosz zawiesił emeryturę i ponownie podjął się prowadzenia zajęć na uczelni.

Janina Miłosz zmarła w kwietniu 1986 r. i została pochowana na Sunset View Cemetery. Natomiast w życiu poety pojawiła się niebawem kolejna kobieta, była to młodsza o 33 lata Carol Thigpen. Pochodziła z zamożnej rodziny z „białego” Południa (jej przodkowie posiadali plantację z niewolnikami). Nie znała w ogóle wcześniej utworów noblisty, a gdy poznała Miłosza, pełniła funkcję dziekana do spraw studenckich na uniwersytecie w Atlancie.

Carol była zupełnie inna od kobiet, które znał wcześniej, „energiczna, promienna, tryskająca optymizmem, zawsze chętna do rozmowy”. Okazała się najlepszym ratunkiem przed depresją i zniechęceniem, tym bardziej że chętnie nawiązywała nowe znajomości i lubiła życie towarzyskie. Przyjacielom Miłosza opowiadała, że noblista „jest dość łatwy we współżyciu”, co wprawiało ich w osłupienie. Przy niej jednak faktycznie był innym człowiekiem i znajomi nie poznawali dawnego Czesława.

Pobrali się jesienią 1992 r., Carol wiedziała już wówczas, że mąż będzie chciał powrócić do Polski na stałe. Nad Wisłą upadł komunizm, Miłosz stał się jednym z oficjalnych symboli kraju. Chociaż przeprowadzka do Polski była dla niej czystą abstrakcją, nie wyobrażała sobie rozstania z poetą. Faktycznie zamieszkali razem w Krakowie, poeta miał nadzieję, że otoczony opieką żony spędzi tam ostatnie lata. Stało się jednak inaczej, to Carol odeszła wcześniej, a po jej śmierci było pewne, że Miłosz długo już nie pożyje. Wraz z nią opuścił go optymizm i chęć do życia, poczuł się odrzucony i stary. Chociaż miał synów i wnuka, czuł, że nie ma już po co żyć. Zmarł niemal dokładnie dwa lata po śmierci drugiej żony, 14 sierpnia 2004 r. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: Czesław Miłosz, „Abecadło Miłosza”, Kraków 1997; Czesław Miłosz, „Rok myśliwego”, Kraków 2001; Anna Romaniuk, „Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu”, Warszawa 2013; Andrzej Franaszek, „Miłosz. Biografia”, Kraków 2011.

NIA POLAKÓW
OŁYNIU



FOT. ROBERT GARDZINSKI

Strażnik Pamięci / Wystąpienie pani Janiny Kalinowskiej

Mówcie prawdę o Wołyniu!

/ – Mogę tylko podziękować Bogu, że moich rodziców Ukraińiec zabił z karabinu. Dziękuję Bogu całe życie za to, że nie musieli cierpieć tyle co inni – powiedziała w swoim wstrząsającym przemówieniu pani Janina Kalinowska

W czasie uroczystej gali VII edycji Strażnika Pamięci nagrodę główną w kategorii Instytucja otrzymała pani Janina Kalinow-

ska, przewodnicząca Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu. Poniżej publikujemy pełną treść przemówienia:

– Trochę mi się głos łamie, ale proszę się nie dziwić. Podsumowania naszej

pracy dokonała pani Ewa Siemaszko, do której również wysyłałismy dokumenty prawdy. Prawdy mordów na Wołyniu. Okropnej prawdy. Minęło tyle lat... My żyjemy w tym kraju, w mojej ojczyźnie Polsce, jako ludzie ostatniej kategorii. Niedawno wymieniano, ilu przedstawicieli naszego narodu wymordowali Niemcy, ilu Polaków wymordowali Sowieci. Ale czy tak ciężko było wyliczyć, że ponad 250 tys. wymordowali w okrutny sposób Ukraińcy?

Nie tak „humanitarnie” jak Niemcy i Sowieci, którzy strzelali... Ukraińcy

bowiem zazwyczaj nie strzelali. Mogę tylko podziękować Bogu, że moich rodziców Ukraińiec zabił z karabinu. Dziękuję Bogu całe życie za to, że nie musieli cierpieć tyle co inni. Ile dzieci zginęło w studniach? Ile dzieci było nabytych na sztachety? Mało kto to wie. Wczoraj na pasku w telewizji przeczytałam, że przez ostatnie cztery lata trwała walka o prawdę historyczną. Być może tak. Ale nie o Wołyń! Nie o nas! O nas zapominał każdy rząd przez 30 lat od odzyskania wolności, od pozbycia się Ruskich.

Chciałam powiedzieć, że wielu Polaków zostało tam na Ukrainie i Wołyniu uratowanych przez Niemca oraz partyzantkę sowiecką. Skąd to wiem? Bo czytałam ponad 300 wspomnień.

Tu pokazana była data mojego urodzenia. To jest data przyjęta przez sąd. Bo tak naprawdę nie wiem, ile mam lat, nie wiem, z jakiego domu pochodziła moja mama. Świadkowie zeznawali przed sądem różnie: albo Rozwadowska albo Zawistowska. Ja nie wiem dokładnie, kiedy się urodziłam. Wielu rzeczy nie wiem. Bo jak przyszli w nocy, to kazali wyjść z domu i zabili ojca, mamę, braciszka dwuletniego... Co to dziecko było winne? Co była winna moja mama, ojciec? Ginęli tylko dlatego, że władali mową polską, że byli Polakami. Ojciec mieszkał w kolonii osadników wojskowych. Najprawdopodobniej nim był. Ale ja nie mam pewności w tej sprawie. Nie mam danych osobowych mojej rodziny.

Była noc. Straciłam przytomność, kiedy moja zabita mamusia na mnie poleciała. Nie wiem, jak długo leżałam. Obudziłam się wtedy, kiedy było już po wszystkim, palił się dom. Otworzyłam oczy z przerażeniem. Nie wiedziałam, gdzie ja jestem. Tyle zapamiętałam z mojego dzieciństwa – tę lunę nad sobą i nieodkryte oczy mamy... Nie widziałam, co się dzieje. Muszę z tym żyć tyle lat.

Tym bardziej jest mi przykro, że tylu było już ministrów sprawiedliwości, premierów, tylu wspaniałych ludzi i nikt nie zajął się tym tematem. Nigdy nie było dla nas czasu ani miejsca. Podczas apeli poległych wyczytuje się wszystkich, tylko nie ofiary z Wołynia. Nawet Rumla [ppor. Zygmunta Rumla, oficera AK zamordowanego 11 lipca 1943 r. – przyp. red.], który jako przedstawiciel rządu został rozszarpany końmi przez Ukraińców. Dla niektórych naszych polityków Ukraina jest strategicznym przyjacielem... Prze-

praszam, ale ja mówię tylko prawdę. Czy tak być może? Ukraiński związek dostaje mnóstwo pieniędzy na swoją działalność. My jako stowarzyszenie niejednokrotnie musimy sami dokładać pieniądze do naszych działań.

Zrobiliśmy tablicę pamiątkową dotyczącą pana Rumla. Wisi w kościele wojskowym, kapelan wojskowy z tego kościoła objął nad nami patronat duchowy. Co drugą niedzielę odprawia mszę – za darmo – za wymordowanych na całych Kresach Wschodnich.

Podam tylko jeden przykład. Miejscowość Swojczów. Tam znajdował się kościół, niczym lokalna Częstochowa. Co roku zjeżdżało tam bardzo wielu ludzi. Ukraińcy wymordowali mieszkańców, chcieli trzy razy zburzyć kościół. Za czwartym razem kościół runął. Ocalał jednak obraz Matki Boskiej Swojczowskiej. Dziś znajduje się niedaleko od Warszawy – w kościele w Otwocku. Ten obraz zabrała Ukrainka do knajpy, do której schodzili się po mordach banderowcy. Radowali się tam. Rodzina polska zwróciła się do Niemców we Włodzimierz Wołyńskim. Komenda oddelegowała Niemców i razem z tą rodziną odebrali obraz. Po wojnie AK przywiozła ten obraz właśnie do Otwocka.

Jeżeli wieś została otoczona i ktoś uciekł z domu, to jeżeli obok był posterunek niemiecki, to tam właśnie udawał się ten człowiek. Niemiec zazwyczaj nie zabijał tego człowieka, tylko co najwyżej wysyłał na roboty. To ratowało życie. Podobnie samoobronie polskiej przychodziła z pomocą partyzantka sowiecka. Oni nam więcej pomogli niż naczelne dowództwo AK w Warszawie, które nie pozwoliło i nie dało możliwości obronienia nas.

Przeczytałam książkę pana Piotra Zychowicza. I w tej książce jest tyle dowodów zgodnych z rzeczywistością. Przepraszam, że tyle mówię, ale mnie to wszystko boli. Moje stowarzyszenie z samej nazwy woła o pamięć, o ekshumację. Książd biskup jest tu z nami. Ja swego czasu pisałam do kurii biskupiej, żeby – na litość Boską – przynajmniej raz do roku 1 listopada we wszystkich kościołach w Polsce zmówić „Zdrowaś Maryjo” i „Wieczny odpoczynek” za Pola-



ków wymordowanych na Wołyniu. Dostałam odpowiedź, że muszę się modlić codziennie. Ja się modlę, nie tylko za moich rodziców, ale za wszystkich pomordowanych. Tak jak powiedziałam, przykro mi bardzo, ale nie mamy żadnego wsparcia. Ani finansowego, ani moralnego, ani duchowego.

Panie ministrze sprawiedliwości, błagam: Komisja Ścigania Zbrodni rozpoczęła śledztwo. Zakończcie to śledztwo! Uznajcie, że to było ludobójstwo! To nie była walka, potyczki. To było okrutne ludobójstwo! Do pana premiera apeluję, by rząd otoczył nas opieką.

Można by bardzo dużo mówić. Swoje żale wypowiedziałam dzisiaj. Proszę się nie gniewać. Tak jak powiedziałam na filmie: ja nie znam miłości ojca i matki. Nie wymawiałam tych słów jako dziecko. Dożywam starości. Chciałabym, żeby Wołyń nie szlochał i nie wołał: „Dzieci moje, wstańcie z prochów i powiedzcie Polsce prawdę!”. My to jeszcze robimy, ale jest nas już bardzo mało. Jesteśmy grupą sierot, która musi dbać o pamięć i mówić Polsce prawdę. Nie tylko Polsce, bo o Wołyniu powinien wiedzieć cały świat. Dziękuję bardzo.

not. p.w.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pani Janina Kalinowska jest przewodniczącą Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu. Powyższą mowę wygłosiła na gali nagrody Strażnik Pamięci na Zamku Królewskim w Warszawie.

Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu otrzymało główną nagrodę Strażnika Pamięci w kategorii Instytucja.

Pozostali nagrodzeni:

Kategoria Instytucja

Instytut im. Witolda Pileckiego.
Biuro Programu „Niepodległa”

Kategoria Twórca

Wojciech Tomczyk, reżyser
(nagroda główna)
Dermot Turning, autor książki „X, Y, Z”
Joanna Siedlecka

Kategoria Mecenaz

LOT (nagroda główna)
Orlen

1939 r. / „Sonderfahndungsbuch Polen”

Pradziadek na liście śmierci



Piotr Włoczyk

**Oto krótka historia
mojego pradziadka,
powstańca śląskiego,
poszukiwanego przez
Niemców w 1939 r.**



AUGUSTYN WŁOCZYK Z SYNEM. FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Jego imię i nazwisko umieszczone zostało na 180. stronie „Sonderfahndungsbuch Polen”, czyli „Specjalnej księgi gończej dla Polski”. Na pierwszy rzut oka przypomina ona książkę telefoniczną – nazwiska ciasno zapisane jedno pod drugim, obok miejsce zamieszkania. Po każdej literze alfabetu pozostawiono kilka pustych stron dla dodatkowych nazwisk. Lista, której faksymile wydał właśnie IPN, zawiera 8,8 tys. nazwisk obywateli RP i Wolnego Miasta Gdańska. Wszyscy oni byli od pierwszych dni okupacji pilnie poszukiwani przez niemiecki aparat bezpieczeństwa.

Mój pradziadek Augustyn Włoczyk był powstańcem śląskim, walczył m.in. w bitwie o Górę św. Anny. W dwudziestolecie międzywojennym był znanym działaczem środowiska powstańców. Mieszkał wraz z rodziną w Chorzowie (do 1922 r. Königshütte, w latach 1922–1934 Królewska Huta). Zaangażowanie pradziadka nie uszło najwyraźniej uwadze tym spośród jego sąsiadów, którzy sympatyzowali z narodowym socjalizmem – wiadomo bowiem, że przy tworzeniu księgi gończej ogromną rolę odegrali Niemcy zamieszkujący II RP.

Pradziadek Augustyn rozumiał, z czym będzie się wiązało dla niego i dla jego rodziny wejście do Polski hitlerowców. Zawczasu wywiózł więc rodzinę na wieś. Sąsiedzi opowiadali później, że Niemcy podczas „nalotu” na mieszkanie spodziewali się oporu, więc w budynku naprzeciwko umieścili karabin maszynowy wycelowany w okna mieszkania pradziadków. Było to jednak zupełnie niepotrzebne –

nawet polski modlitewnik należący do pradziadka, ale już niemiecki modlitewnik jego żony pozostawili nietknięty na jego zwyczajowym miejscu – stoliku nocnym (prababcia była pochodzenia niemieckiego).

Gestapo nie było w stanie dopaść pradziadka. Wraz z kilkoma kolegami powstańcami śląskimi jeszcze we wrześniu przedostał się do Rumunii, a stamtąd do Francji, gdzie dołączył do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich. Popłynął wraz z nią do Norwegii, a następnie brał udział w obronie Francji. Trafił następnie do niewoli, ale nie siedział w niej długo.

Uciekł z obozu w trakcie akcji francuskiej partyzantki, która postanowiła uwolnić swoich ludzi. Resztę wojny przeżył jako robotnik rolny w Bretanii w majątku francuskiej rodziny szlacheckiej o polskich korzeniach. Po wojnie wrócił do Polski. Cała rodzina przeżyła.

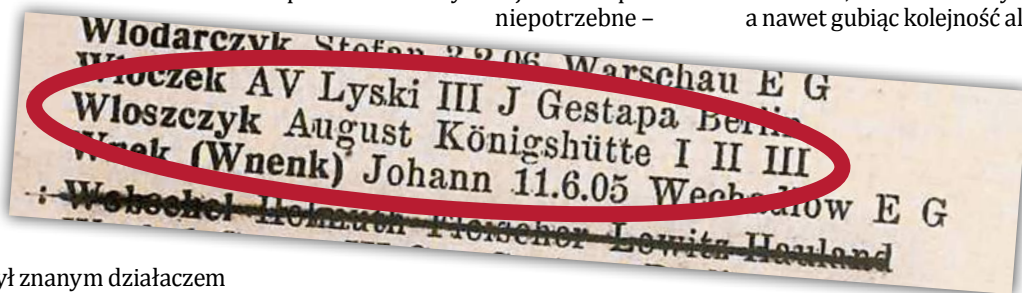
Wbrew stereotypom Niemcy bardzo niechlujnie przygotowali „Sonderfahndungsbuch Polen” – co podkreślił we wstępie dr hab. Grzegorz Bębniak – robiąc mnóstwo literówek, przekręcając nazwiska, imiona i nazwy miejscowości, a nawet gubiąc kolejność alfabetyczną.

Literówki pojawiły się też w imieniu i nazwisku mojego pradziadka.

Niestety, do dziś niezbadane pozostają losy osób, które

trafiły do tej księgi. Dla ilu z nich oznaczało to wyrok śmierci? Ilu trafiło do obozów koncentracyjnych, ale przeżyło wojnę? Ilu wreszcie udało się – tak jak mojemu pradziadkowi – uniknąć aresztowania? Historia ludzi z „Sonderfahndungsbuch Polen” wciąż czeka na gruntowne zbadanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



w mieszkaniu nikogo już nie było. Gdy kilka dni później jego żona wraz z małymi dziećmi wróciła do domu, na miejscu zastała kompletny rozgardiasz.

Mój dziadek – w 1939 r. miał osiem lat – wspominał, że po wejściu do środka zobaczyli podeptany portret Józefa Piłsudskiego, a także porozrzucane i podarte polskie książki. Niemcy rozdeptali

GIN TROW SKI X

JUBILEUSZOWY
KONCERT

**TEATR
POLSKI**

im. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

BILETY
DOSTĘPNE
W KASIE
TEATRU



PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:



PATRONAT MEDIALNY:

PARTNERZY:



eprasa.pl bb49dfe036

Film „Zjawa” / Biali oraz Indianie na prerii i w Górach Skalistych

Traper w paszczy niedźwiedzia



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jest rok 1823, górny bieg rzeki Missouri, terytorium zakupione 20 lat wcześniej przez USA od Napoleona. Kończy się sezon polowań na bobry. Traperzy zostają napadnięci w obozowisku przez Indian Arikarów. Części udaje się uciec łodziami. Szef grupy Andrew Henry świadom, że dalsza droga rzeką ku najbliższemu fortowi jest zbyt niebezpieczna, rozkazuje przepłynąć się do niego łądem. W lesie w czasie polowania Hugh Glass zostaje okrutnie poturbowany przez niedźwiedzia. Jest przytomny, nie może jednak się ruszać i ledwo oddycha. Henry zostawia przy – zdawałoby się – umierającym Glassie i jego synu dwóch ludzi, a z resztą grupy rusza w dalszą drogę.

Traperzy Fitzgerald i Bridger pozostawiają jednak nieszczęśnika na pastwę losu, a Fitzgerald zabija syna Glassa – pół-Indianina Hawka. Glass zmasakrowany, połamany, bez broni, kurczowo trzymając się życia, po kilku dniach zaczyna jednak się czołgać w ślad za bandytami. Żywiąc się korzonkami, dociera do rzeki, by po wielu perypetiach stanąć w końcu w forcie. Dopiero wtedy Andrew Henry dowiaduje się o czynach jego podwładnych. Młodziak Bridger zostaje oszczędzony. Okazuje się też, że Fitzgerald spokojnie wyruszył z fortu. Glass i Henry podążają więc za nim przez śniegi, by wymierzyć sprawiedliwość.

Postać prawdziwego Hugh Glassa znamy dość dokładnie dzięki pamiętnikom jego kolegi po fachu George'a C. Younta. Tak jak większość ówczesnych twardzieli z pogranicza umiał napisać prosty list, ale nie całą książkę, toteż swoje dzieje podyktował w latach 50. XIX w. znajomemu księdzu o nazwisku Clark. Rękopis duchownego opublikował 80 lat później historyk i paleontolog zarazem Charles Lewis Camp.

Geografia

Film zawdzięcza swój sukces wspaniałym plenerom. Widzimy zatem traperów obozujących na prerii, wkrótce potem przemierzających gęste knieje, lasy urwiskowe i pokonujących wąwozy. Ranny bohater uchodzi z owych krain z powrotem ku przysypanym śniegiem stepom, by skończyć podróż w forcie zbudowanym w lesistej dolinie otoczonej turniami.

Prawdziwy Hugh Glass był oczywiście jednym z „ludzi gór”, pierwszych białych penetrujących Góry Skaliste i polujących tam na bobry. Jak na ironię jednak najniebezpieczniejsze przygody, na czele z walkami z Arikarami i ze starciem z niedźwiedziem, przeżył na prerii, setki kilometrów od najbliższego lasu czy pasma górskiego. Fort, w którym filmowy Glass szuka zemsty na Fitzgeraldzie, może być zarówno Fortem Kiowa, jak i Fortem Henry. Oba leżały nad rzeką Missouri, która w owej części USA płynie z północnego zachodu ku południowemu wschodowi, kreśląc olbrzymi łuk. Wzdłuż rzeki forty owe dzieliło ok. 800 km, w prostej linii było niemal o połowę mniej. Z żadnego z posterunków nie było widać jednak gór.



Jakub Ostromecki

Film „Zjawa” został oparty na autentycznej historii Hugh Glassa, który na niedostępnym pustkowiu został straszliwie pokiereszowany przez niedźwiedzia. W rolę amerykańskiego trapera wcielił się Leonardo DiCaprio

Oglądanie monotonnego stepu przez dwie godziny dla większości widzów byłoby udręką. Reżyser musiał więc zawrzeć z geografią i historią pewien daleko idący kompromis, każąc Glassowi przemieszczać się pieszo w przeciągu dość krótkiego czasu między miejscami leżącymi od siebie ponad tysiąc kilometrów i bardzo różniącymi się pod względem roślinności.

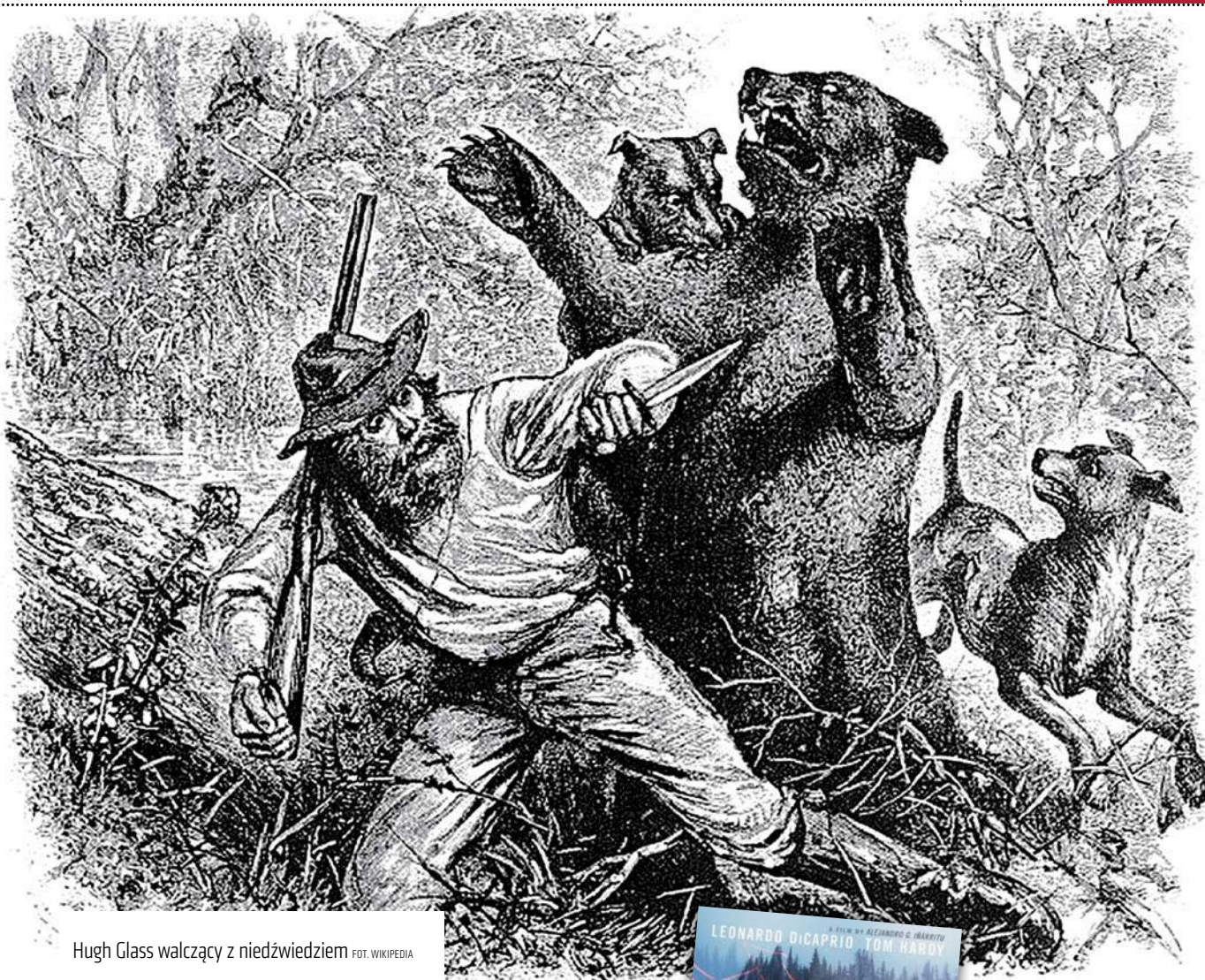
Czym różniła się filmowa fabuła od dziejów prawdziwego Glassa? Traper pojawił się w 1822 r. w Saint Louis, mając z jakiegoś powodu dość życia wśród Paunisów. Wiedział, jak przeżyć na prerii. Tereny górnego Missouri były mu jednak całkowicie obce, nie mógł być więc przewodnikiem, tak jak chciał reżyser. Glass najął się do drugiej wyprawy organizowanej przez handlarza futer Williama Ashleya, której celem było zbudowanie fortu 800 km w górę Missouri, w miejscu, gdzie odchodzi od niej rzeka Yellowstone.

Ów Fort Henry miał być bazą dla łowców skór bobrowych. Fort zbudowano, Ashley z większością ludzi wrócił do Saint Louis, załoga cierpiała jednak z braku podstawowych środków potrzebnych do przetrwania w dziczy.

Wyprawa zaopatrzeniowa ruszyła w czerwcu 1823 r. i to wtedy właśnie doszło do słynnej bitwy z Arakirami przedstawionej w filmie. Nie był to atak z zaskoczenia, ale raczej zdrada. Wszystko zaczęło się od niewinnej transakcji w indiańskiej wiosce, gdzie traperzy zamierzali wymienić karabiny na konie. Targu dobito, nocujący u Indian biali zostali jednak podstępnie wymordowani. Część zdołała uciec na barki rzeczne, co stało się inspiracją dla początkowych

scen filmu. W starciu tym Glass został ranny w nogę. Dwa miesiące później w odwecie armia USA zaatakowała i zrównała z ziemią wioski plemienia. W starciu tym po stronie białych uczestniczyli wrodzy Arakirom Siuksowie. W filmie nie widać owej współpracy części plemion z wojskiem USA.

Wyprawa do Fortu Henry ruszyła ostatecznie łądem, w sierpniu 1823 r. Glass wraz z myśliwymi maszerował z Fortu Kiowa na północny zachód, chcąc skrócić sobie drogę i ominąć niebezpieczne tereny zamieszkałe przez Arakirów nad Missouri. To właśnie wtedy w zaroślach nad rzeką Grand nastąpiła słynna walka Glassa z niedźwiedzią. Prawdą jest, że myśliwy wszedł między dwa młode a matkę, co – jak wiadomo – równa się wyrokowi śmierci. Niedźwiedzica wykończyłaby Glassa, gdyby nie dwaj jego towarzysze, którzy zdołali ją zastrzelić. Starcie wyglądało zatem



Hugh Glass walczący z niedźwiedziem. FOT. WIKIPEDIA

inaczej niż w filmie, gdzie Glass, mimo potwornych złamań nóg i rozszarpanego gardła, zdołał uśmiercić niedźwiedzia za pomocą strzelby i noża. Nie wiadomo dokładnie, jak mocno poturbowany został historyczny Glass, ale jedynymi oznakami życia, które dawał, był płytki oddech oraz mruganie oczami.

Niedźwiedź na prerii nie był wówczas niczym nadzwyczajnym. Glass nie był też pierwszą ani ostatnią ofiarą futrzastych olbrzymów. Dokładnie w tym samym roku, dwa miesiące później, inny słynny traper Jed Smith został zaatakowany przez grizzly nad brzegami Cheyenne. Jak pisze Jarosław Wojtczak w „Indianach i białych twarzach”, niedźwiedź „zdarł mu z głowy część skóry, tak że do końca życia zaczesywał włosy do przodu, aby ukryć okropną bliznę, jaką pozostawiły pazury zwierza”.

Fitzgerald i Bridges rzeczywiście pozostawili Glassa na pewną śmierć,

sami udając się za Henrym do Fortu Henry. Zmasakrowany Glass tymczasem, czołgając się przez prerię, natrafił na wilki dobierające się do cielaka bizona. Począł się nasycić, a wataha się nasycić, i sam zatopił zęby w porzucenym truchle. Nasyceni mogli poruszać się nieco szybciej. Nad Missouri napotkał znajomych Siuksów, którzy dali mu łódź. Glass dopłynął do Fortu Kiowa w październiku, a więc – wbrew temu, co pokazuje film – jeszcze przed opadami śniegu. Wydobrzała i nie bacząc na niebezpieczeństwa, ruszył w górę Missoury, aby zemścić się na Fitzgeraldzie i Bridgerze.

W tym samym jednak czasie Fitzgerald opuścił Fort Henry, kierując się... w dół rzeki. Nie wiadomo, jakie siły



czuwały wtedy nad Fitzgeraldem, ale myśliwi minęli się na rzece, nie wiedząc o swojej obecności. W styczniu 1824 r. w Fortcie Henry Glass odnalazł Bridgera, ale – tak jak w filmie – przebaczył mu ze względu na jego młody wiek. Fitzgeraldowi darować jednak nie zamierzał. W fortcie powiedziano mu, że wiarołomca zamie-

rza wstąpić do armii – w filmie o tym samym informuje Glassa Henry – i podążył do Fortu Atkinson.

Glass ruszył więc z powrotem jego śladem. Po drodze znów bił się z Arakirami. Przeżył owo starcie jako jedyny z białych i wędrując samotnie przez kilkaset kilometrów, dotarł w czerwcu 1824 r. do jednostki wojskowej. Stał twarzą w twarz ze zdrajcą. Nie mógł go

■ jednak ukatrupić – Fitzgerald nosił już mundur, a za atak na żołnierza groziła kara śmierci. Odzyskał jednak swój karabin. Glass przeniósł się na tereny Nowego Meksyku, gdzie jak zwykle żył z myślistwa. W starciu z Szoszonami dostał strzał w plecy, ale grot, na szczęście cały, udało się wydłubać za pomocą noża po znieczuleniu flaszka brandy.

W 1833 r. Glass polował w okolicy Fortu Union, gdzie rzeka Yellowstone wpada do Missouri. Pech chciał jednak, że w zimie, wraz z dwoma towarzyszami, wpadł w zasadzkę Arakirów, którzy kradli w okolicy konie. Tego spotkania Glass nie przeżył. Indianie oskalpowali ciała myśliwych, zabrali również broń, ubrania i rzeczy osobiste. Na swoją zgubę Arakirowie natknęli się po kilku dniach na inną grupkę białych. Indianie udawali zaprzyjaźnione z Amerykanami Wrony, więc traperzy pozwolili im usiąść przy ogniu. Po kilku minutach dowodzący białymi Johnson Gardner zauważył jednak w rękach Indian broń Glassa. Ci niezbyt przekonująco tłumaczyli się, jak weszli w jej posiadanie, toteż po krótkiej walce Indianie zostali oskalpowani i spaleni żywcem. Tak pomszczono Hugh Glassa. Gardner po kilku miesiącach wpadł jednak w ręce innej grupki Arakirów. Zjednął w ten sam sposób jak zabójcy Glassa.

Indianie

W filmie Glass jest bliższy Indianom niż w rzeczywistości. W retrospekcji na początku filmu widzimy, jak żołnierze USA napadają na wioskę Paunisów. Jedną z ich ofiar jest indiańska żona trapera. Po masakrze Glass zostaje sam z synem o imieniu Hawk, którego zresztą próbował zastrzelić w starciu amerykański oficer. Po latach, w czasie koszarnej wędrówki przez dziczą, życie uratuje Glassowi przypadkowo napotkany Paunis.

Historyczny Glass rzeczywiście spędził wiele lat wśród owego plemienia. Nie wiadomo, czy wśród nowych współplemieńców rzeczywiście znalazł żonę. Patrząc na dzieje innych Amerykanów, którzy wybrali życie wśród Indian, jest to prawdopodobne. Ówczesna literatura milczy zaś zupełnie na temat dzieci Glassa.



Rzeka Yellowstone FOT. BIG SKY FISHING

Na początku XIX w. armia USA nie prowadziła akcji eksterminacji Paunisów. Pierwsze spotkanie plemienia z urzędnikami i oficerami amerykańskimi opisał Aleksander Sudak w monografii „Paunisi. Nieszczęśliwy lud równin”. Amerykańska interwencja w 1819 r., a więc w czasie, gdy Glass mógł jeszcze przebywać wśród plemienia, spowodowana była grabieżami, których na myśliwych dopuszczali się młodzi wojownicy z jednego ze szczepów. Nie doszło jednak wówczas do żadnej krwawej pacyfikacji, ale do demonstracyjnej salwy artyleryjskiej, po której Paunisi ograniczyli się do wypraw na Meksykanów i walk z sąsiadami – Siuksami, Omahami czy Komanczami.

Wędrowanie przez prerię było igraniem ze śmiercią i nie zawsze biali występowali tu w roli agresorów, a Indianie w roli ofiar. Niewiele też brakowało, aby Glass spotkał wśród Paunisów nie miłość, ale śmierć. Otóż przyszły traper w młodości był żeglarzem. Na wodach Zatoki Meksykańskiej został porwany przez piratów i zmuszony do brania udziału w bandyckim procederze. Ów żywot nie podobał mu się zbyt, uciekł więc od kamratów ku dzikim wybrzeżom Teksasu. Wędrując, musiał się ukrywać przez wiele miesięcy, albowiem lokalne plemiona indiańskie – Komancze i Kiowa – miały w zwyczaju zabijać białych, a przed śmiercią torturować ich w wymyślny sposób.

Glass przewędrował w ten sposób niezauważony przez nieznany i wrogi teren ok. 1 tys. km, zanim natrafił na Paunisów. Ci postanowili oczywiście złożyć go w ofierze. Wędrowca odarto z części szat, wódz już przymierzał się do zadania pierwszego cięcia, gdy w ostatniej chwili Glass wyjął z kieszeni grudek minerału zwanego cynobrem, stosowanego jako barwnik. Paunisi bardzo cenili ową kopalinę, toteż wódz potraktował ów gest jako znak od bogów i zamiast Glassa uśmiercić, usynowił go. Glass

mieszkał u Paunisów blisko cztery lata.

Íñáritu nie wspomina o innym dość osobliwym zwyczaju Paunisów. Jeszcze 10 lat po czasach, w których rozgrywa się akcja filmu, Indianie owi składali co pewien czas w ofierze pochwycone dziewczyny z wrogich plemion.

Nazywano to ofiarowaniem Gwiazdzie Porannej.

W filmie rolę nieprzejednanych wrogów białych odgrywają Arakirowie. Po napadzie na obozowisko traperów polują na ledwo żyjącego Glassa. Ów, wylizawszy się z ran, po jakimś czasie ratuje z rąk Francuzów córkę wodza plemienia. Mijają miesiące i drogi wrażego plemienia oraz trapera znowu się przecinają. Gdy Glass leży ranny w śniegu po walce z Fitzgeraldem, mijający go Arakirowie, wdzięczni za uratowanie życia swojej rodaczce, łaskawie pozostawiają go w spokoju – a przecież mogli dobić. Na prawdziwej historycznej prerii Arakirowie rzeczywiście żyli do białych myśliwych zapiekłą nienawiścią. Jej motywem było to, że blade twarze zamierzały same łowić bobry w dalekich górach, omijając w ten sposób indiańskie pośrednictwo. Arakirowie nie zamierzali na to pozwolić. Glass ścierał się z nimi czterokrotnie. Nie było żadnego ratowania córki wodza ani rozejmu.

W niezbyt pozytywnym świetle przedstawiono w filmie Francuzów. Mówiąc skrótowo, jest to banda chciwych gwałcicieli i morderców. Z uwagi na to kanadyjski aktor Roy Dupuis zrezygnował z roli jednego z traperów. Miał rację. Cokolwiek by powiedzieć o krwawej jatce, którą zgotowała napoleońska Francja Europie, za oceanem panowanie francuskie było jednym z łagodniejszych i znośnych dla Indian.

„Zjawa” jest kolejnym westernem po „Geronimo. Amerykańska legenda”, gdzie w tle, między wierszami, wbija się szpilę Teksanczykom. Zdeprawowany, chciwy i samolubny Fitzgerald ogłasza kumplom, że zamierza przenieść się do Teksasu, by dołączyć do tamtejszych Rangersów, ponieważ służył tam jego ojciec. Oprócz zawołanego sztychu jest to spory anachronizm. Teksas w czasie, gdy rozgrywa się akcja filmu, należał do Meksyku i nie było tam żadnych amerykańskich organizacji paramilitarnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pamięć NRD

Wystawa „Pałac Republiki – utopia, inspiracja, wydarzenie polityczne”



Sklep z lampami Honeckera

Pałac Republiki w Berlinie FOT. BSTU



Piotr Semka

To jakby kolejny objaw „ostalgii” – sentymentu do czasów Niemieckiej Republiki Demokratycznej

Miał być demonstracją ambicji Niemieckiej Republiki Demokratycznej – dowodem jej zamożności, egalitaryzmu i humanizmu.

Pałac Republiki w Berlinie. Nieprzypadkowo stanął na miejscu Zamku Hohenzollernów, który po wojnie wysadzono w powietrze. Tyle że taka lokalizacja nie przyniosła mu szczęścia. Po 32 latach istnienia został rozebrany. Zniknął, ale sam stał się legendą. Mitowi Pałacu Republiki poświęcono wystawę w Kunsthalle w Rostocku.

Trudno nie dostrzegać jakiejś przekory w zorganizowaniu wystawy o tym symbolu epoki Ericha Honeckera, komunistycznego władcy NRD, w 30. rocznicę upadku muru.

Czy to kolejny objaw „ostalgii”, czyli sentymentu do czasów „pierwszego niemieckiego państwa robotników i chłopów?”. Jeśli już, to bez ostentacji.

Autorzy wystawy nadali jej dość zdystansowaną nazwę: „Pałac Republiki – utopia, inspiracja, wydarzenie polityczne”.

Na gruzach prusactwa

Gdy w 1945 r. Armia Czerwona zdobyła Berlin, Zamek Królewski nad Sprewą był dymiącą ruiną. Bombardowania zniszczyły pałacowe dachy, ale sama konstrukcja gmachu była na tyle solidna, że możliwe było odbudowanie tej perły późnego niemieckiego baroku z XVIII w. projektu znakomitego architekta Andreea Schlütera. Cała stolica Niemiec była wielką ruiną, więc na zrujnowany

■ zamek nie zwracano specjalnej uwagi. Przy kręceniu sowieckiego filmu „Bitwa o Berlin” na potrzeby realizatorów sowiecka artyleria raz jeszcze ostrzelała zrujnowany gmach.

W 1950 r. władze NRD, gdy już uprzątnięto z grubsza okolice Unter den Linden, stanęły wobec problemu: Co zrobić z wielkim gmaszyskiem w centrum miasta? Lepiej utrzymane sale służyły do organizowania wystaw artystycznych, ale reszta była wypalona. Ministerstwo odbudowy oszacowało koszty odnowienia zamku na 32 mln ówczesnych NRD-owskich marek. Zirykowany kosztami lider komunistycznej partii SED Walter Ulbricht zdecydował, że lepiej usunąć ruiny tego „pomnika pruskiego militarysty”, niż wydawać pieniądze na odbudowę. Protesty historyków sztuki zlekceważono. We wrześniu 1950 r. saperzy zaczęli wysadzać budynek, ale potrwało to aż cztery miesiące i wymagało 19 ton dynamitu. Kopuła zamku okazała się tak solidnie zbudowana, że nawet po wysadzeniu wieży nie pękła, ale w całości runęła na berliński bruk. Jedyne, co ocalono, to ryzalit zamku, z którego Karl Liebknecht 9 listopada 1918 r. ogłosił rewolucyjnym tłumom powstanie Niemieckiej Republiki Socjalistycznej, ale i ten wmurowano w nowy gmach rządu NRD.

Resztę gruzów usunięto i miejsce po zamku pod nazwą Marx-Engels-Platz stało się widownią parad i masówek u brzegów Sprewy. Po jakimś czasie chciano tu zbudować berliński odpowiednik naszego Pałacu Kultury, lecz pieniędzy nie wystarczyło.

Szklana pułapka

W 1971 r. doszło od zmiany na szczytach władzy NRD. Walter Ulbricht – długoletni wódz SED – musiał odejść. Nowy lider Erich Honecker przypominał nieco naszego Edwarda Gierka. Miał dosyć skąpstwa, prowincjonalizmu i braku rozmachu epoki Ulbrichta. Postanowił poluzować nieco terror, uchylić lufcik zachodniego świata i dać ludziom trochę prestiżu oraz rozrywki.

Wszystkie te oczekiwania miał spełnić wielki Pałac Republiki na miejscu dawnego Zamku Hohenzollernów. Zamiast pałacu dla koronowanych głów – ludowy dom dla wszystkich.

W 1973 r. grupie architektów zlecono projekt ogromnego gmachu, który miał połączyć w sobie siedzibę NRD-owskiego parlamentu Volkskammer, wielką salę widowiskową na potrzeby nie tylko zjazdów SED, lecz także wielkich koncertów. A wszystko to należało dodatkowo ubogacić restauracjami, barami, a nawet dyskoteką. Przed pałacem miał powstać wielki plac na oficjalne parady i defilady wojskowe.

W 1973 r. do pracy ruszył zespół planistów. Na czele stanęła trzech architektów: Heinz Graffunder, Manfred Berg i Karl-Ernst Szwara.

Przyjęto do realizacji projekt w formie prostopadłościanu złożonego z dwóch masywnych bloków połączonych hallem. Budynek miał mieć 180 m długości, 85 m szerokości i wysokość 32 m.

Chwalono się, że pałac zbudowano na konstrukcji samonośnego szkieletu stalowego. Co ciekawe, władcy NRD kładli



Zburzenie zamku miejskiego w Berlinie, 1950 r. FOT. DHM

nacisk na bezpieczeństwo pożarowe – być może był to uraz po pożarze Reichstagu w 1933 r. Z tego powodu budynek zabezpieczono rozpylanym antypożarowym azbestem. Przy budowie Pałacu Republiki użyto aż 5 tys. ton tej szkodliwej substancji. Wówczas uważano to za nowoczesny standard w ówczesnym budownictwie.

Dumą projektantów była wielofunkcyjność wielkiej sali, która miała kształt sześciokąta. Sześć wielkich platform z rzędami foteli można było autonomicznie opuszczać lub ustawić pionowo, tworząc ściany, i w ten sposób stwarzać różne formaty sali od 1 tys. do 4,5 tys. miejsc. Ten ostatni format przydawał się w czasie zjazdów partii SED.

Odbudowa, a potem wyposażenie pomieszczeń pałacu trwały 32 miesiące. Nie żałowano dewiz na sprowadzanie

z zagranicy najlepszych surowców do wystroju wnętrz. Projekt chwalono jako przykład nowoczesnej architektury porównywaną do paryskiego Centre de Pompidou czy Kulturhuset w Sztokholmie z 1974 r.

Wstępny kosztorys, obliczony na 485 mln NRD-owskich marek (DDM), został przekroczony. Ujawniony po latach niejawną kosztorys ministra budownictwa Wolfganga Junckera najpierw przekroczył 800 mln, a w końcu zamknął się sumą 1 mld DDM. Ta wysysająca dewizy i środki potrzebne innym ministerstwom inwestycja szybko zyskała złośliwe określenie „Ballast der Republik”.

Wspomnień czar

Koszty kosztami, ale gdy pałac otwarto 23 kwietnia 1976 r., był sensacją. „Pałac zwycięzców historii, robotników i chłopów” – głosili NRD-owscy propagandyści. Wielkie godło republiki – wieniec z kłosów oraz młot z cyrkiem – uwieczniono w metaloplastyce ozdabiającej główne wejście na tle opalizującej, brązowej, szklanej elewacji. Dla mieszkańców Berlina i reszty kraju szybko stał się obiektem nabożnych pielgrzymek. Wszystko lśniło. W hallu każdy chciał wypróbować wielkie kanapy i obejrzeć trzy restauracje pałacu. Do ozdobienia ścian zmobilizowano najlepszych malarzy, na czele z takimi gwiazdami NRD-owskich akademii sztuk pięknych jak Werner Tübke, Willi Sitte i Ronald Paris. Obrazy miały słać idee socjalistycznego humanizmu, ale zazwyczaj były na tyle symboliczne i abstrakcyjne, że nie kojarzyły się z prostacką propagandą wizualną partii.

Goście odwiedzający liczne restauracje, bary i kawiarnie zachwycali się zaprojektowaną specjalnie dla pałacu zastawą stołową oraz nowoczesnym designem krzeseł i stołów. Pomyślano też o pałacowych hostessach, zwracających na siebie uwagę pomarańczowymi żakietami i spódnicami.

Co roku pałac odwiedzało ok. 100 tys. gości. Tutaj odbywały się koncerty megagwiazd z Zachodu, takich jak Mireille Mathieu czy Carlos Santana. Tutaj realizowano niezwykle popularny NRD-owski show TV „Ein Kessel Buntes”. Swoją koncert miał tu nasz Czesław Niemen.

„Często bywałem w pałacu. Wykwintne podłogi z marmuru odbijały się elegancko w suficie” – pisze we wstępie do katalogu wystawy Jörg-Uwe Neumann, szef Kunsthalle w Rostocku. „Restauracje, koncerty, sala do gry w kręgle. Kiedy w całej NRD wszystkiego brakowało – pałac dawał złudne poczucie zbytku”.

Wystawa w rostockiej galerii zebrała wszystkie ocalone elementy wnętrza pałacu. Dzbanki do kawy i talerze z fantazyjnymi inicjałami „PR” – Pałast der Republik. Specjalnie zaprojektowane fotele i krzesła. Obrazy, które zdobiły pałac.

Autorzy wystawy wystraszyli nawet skądś ogromny bar, który ozdabiał pałacowy koktajlbar. W jednej z sal Kunsthalle na środku umieszczono ruchomy parkiet, który kręcił się w pałacowej dyskotekie. Słyszę, jak zwiedzająca wystawę para 60-latków wspomina, gdy trzy dekady temu udało jej się spędzić wieczór w tym lokalu marzeń wszystkich NRD-owskich nastolatków.

Najbardziej wyrazistym elementem wystroju wielkiego foyer były tysiące lamp. To z ich powodu pałac zyskał prześmiewczą dla wodza SED Honeckera nazwę „Erich Lampenladen” (Sklep z lampami Eryka). Na wystawie obejrzyć można nieliczne ocalone z rozbiórki lampy i fotele z Volkskammer.

I wreszcie zdjęcia. Pałac jako symbol komunistycznej władzy aż zachęcał konstatarstwo nastawionych fotografików do robienia zdjęć pokazujących paradoksy systemu. Wielkie bale sylwestrowe dla przodowników pracy, bankiety dla NRD-owskich budowniczych sowieckiej magistrali BAM czy wielkie zjazdy komunistyczne z setkami aparatczyków SED z prowincji, oglądających z otwartymi ustami zachodni blichrz w socjalistycznym sosie. Dla pałacu rezerwowano bowiem wszystko, co najlepsze. Wyszukane trunki, luksusowe specjały czy słodkie niewidziane zazwyczaj w socjalistycznym handlu. Do pałacu można było wejść bez przepustek i każda wycieczka z Saksonii czy Meklemburgii pielgrzymowała tu z nadzieją zobaczenia czy zjedzenia czegoś ekstra.

Schylek

Chwała pałacowi trwała 23 lata. 4 listopada 1989 r., jeszcze przed upadkiem muru, żądający demokracji demonstranci

zajęli ten symbol władzy. „Pałast ist besetzt” („Pałac jest zajęty”) – ogłaszał ręcznie wymalowany na prześcieradłach napis na gmachu okupowanym przez wolnościowych rebeliantów. Ściany pałacu zostały zalepione plakatami z żądaniem wolnych wyborów i wolności słowa.

Volkskammer, czyli pseudoparlament NRD, przeżył jeszcze pierwsze demokratyczne wybory w marcu 1990 r., ale już latem 1990 r. zdecydował o samorozwiązaniu. Pomysł, by przenieść tu Bundestag, zachodnia strona uznała za kiepski żart.

Oblegany niegdyś gmach nagle opustoszał. Sklepy zalewała żywność z Zachodu, więc nie trzeba było odwiedzać barów w pałacu, aby zjeść pomarańcze.

Jeszcze parę lat próbowano tu umieszczać różne urzędy i biura, ale każdy, gdy tylko mógł, wyprowadzał się z coraz bardziej opustoszałego gmachu. W foto-reporcie Stefanie Bürkle z 2003 r. widać jeszcze gabinet Daniela Barenboima, dyrektora artystycznego Opery Państwowej na Unter den Linden, czy sekretariat Petera Striedera – senatora Berlina do spraw rozwoju miasta. Rychło jednak zapadł wyrok inspekcji budowlanej: z powodu rakotwórczego azbestu gmach musi zostać zamknięty. Koszty jego usunięcia były za wysokie, więc budynek zamknięto.

Pałac powoli niszczał. W 2007 r. podjęto decyzję o jego likwidacji. Tylko postkomuniści z PDS prowadzili przegraną, co się wkrótce okazało, walkę o uratowanie gmachu jako pomnika architektury. W końcu w 2009 r. znikły ostatnie relikty pałacu – betonowe klatki schodowe.

Dzisiaj na miejscu pałacu trwają ostatnie prace wykończeniowe przy Forum Braci Humboldtów – replice zburzonego zamku.

Może gdyby pałac wciąż stał, nie byłby tak żywo wspominany. Rozebrano go jednak bardzo dokładnie. Tak, że nie ma po nim śladu. A to, co uratowano, zebrano pieczołowicie na wystawie w rostockiej Kunsthalle.

„Abreißen macht schön” („Wyburzenie czyni pięknym”) – kpiarsko komentuje wystawę Jens Bisky, dziennikarz „Süddeutsche Zeitung”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Pałac Republiki – utopia, inspiracja, wydanie polityczne” czynna jest od 13 października 2019 r. w Kunsthalle w Rostocku.

Książki MŁYN
DOM WYDAWNICZY

Książki dla ludzi ciekawych

Historia



Architektura



Komunikacja



Sekrety miast



i wiele innych...

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Książki Młyn 14
tel./faks: 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także SMS)
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

1939–1985 / Ireneusza Iredyńskiego dramat i proza

FOT. ARCHIWUM DOROTY MARCZEWSKIEJ

Pięściarstwo damskie i męskie



Krzysztof Masłoń

Woda i kobiety – to one zadecydowały o takim, a nie innym życiopisanu Ireneusza Iredyńskiego

Zony miał dwie, utrzymywał też dłuższe związki niesformalizowane, w tym przez trzy lata z późniejszą profesorem Jadwigą Staniszkis. Po latach przyznała się, że w tym czasie wiele razy była bita. Na użytek „Dziennika” opowiadała: „Uderzył mnie kilka razy. Uważał, że go

zdradzałam. Pamiętam, raz rąbnął mnie kluczami, aż mam bliznę, raz smyczą – też mam bliznę. Ale nie było tak, że on wracał pijany i mnie katował. Nie, ja w tym też widziałam coś ciekawego. To mi pozwoliło spojrzeć na przemoc jako na sposób komunikowania”.

Niech i tak będzie, choć bardziej przekonująca jest anegdota, niekoniecznie prawdziwa, za to dobrze oddająca charakter tych sadystyczno-masochistycznych relacji, przywołana w biografii Iredyńskiego „Gra w butelkę” przez Małgorzatę Raduchę. Otóż „po premierze teatralnej jednej ze swoich sztuk pisarz poszedł pić do Bristolu. W pewnym momencie skończyły mu się pieniądze, więc posłał po nie do swojego domu jednego z towarzyszy. Ale ten zapomniał numeru mieszkania i po powrocie skłamał, że był pod drzwiami i usłyszał odgłosy muzyki pomieszanej z męskimi głosami. To wystarczyło, aby Iredyński wpadł w szal. Nakazał partnerce, by wyznaczyła sobie karę. – Uderz mnie trzy razy smyczą – miała powiedzieć Staniszkis, przy-

zwyczajona do takiego sposobu traktowania przez kochanka. Chwilę później, gdy jego ręka szykowała się już do wymierzenia razów, jednak się otrząsnęła. – Irek, ale my nie mamy radia ani adaptera – przytomnie stwierdziła”.

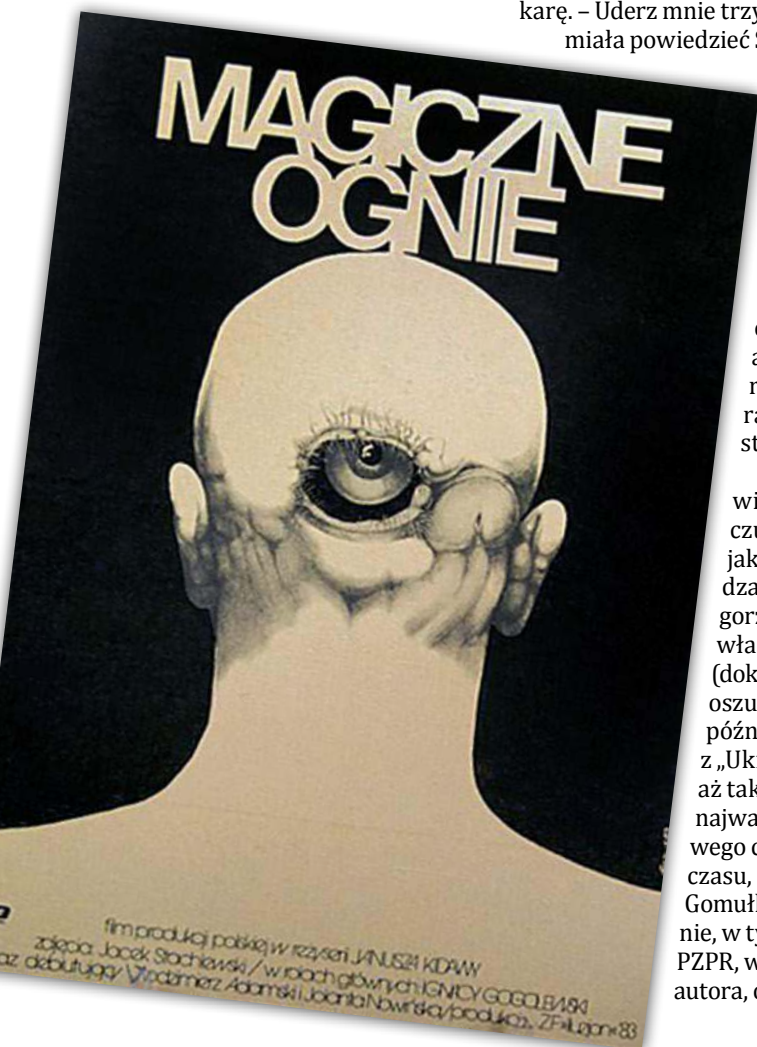
Dzisiaj jasno widzimy, że najlepiej czuł się w dramacie; jako prozaik sprawdził się znacznie gorzej, choć to właśnie jego proza (dokładnie „Dzień oszusta”, wznawiany później często wraz z „Ukrytym w słońcu”) aż tak zbulwersowała najważniejszego krajowego czytelnika swego czasu, czyli Władysława Gomułkę, że dwukrotnie, w tym na Plenum KC PZPR, wyklął książkę i jej autora, o którym wy-

krzykiwał, że „ten człowiek żyje tak, jak pisze”. Jasne, że pisarz musiał się odtąd liczyć z konsekwencjami swego stylu życia (i te nadeszły), jednak zyskał mołojcką sławę, o której cała literacka konkurencja mogła tylko marzyć, a którą „Iredencko” nieszczerze cenił, wdzięcznie nazywając „wicechujami”.

Wachlarz możliwości

Zaczynał przecież jednak od poezji i debiutanckiego tomiku Iskier „Wszystko jest obok” z 1959 r., a później też pisał wiersze i (z powodzeniem!) piosenki: bardzo liryczne, takie jak „Moja miła, moja cicha, moja śliczna”, którą wykonywał Jerzy Połomski, „Wieczory niekochanych” śpiewane przez Niemena, „Bywają takie dni” Alicji Majewskiej. Popularna była też rozerotyzowana piosenka „Jestem cała w twoich rękach”, towarzysząca filmowi „Anatomia miłości”, skąd wzięło się przekonanie, że Iredyński był również autorem scenariusza filmu Romana Załuskiego, ale sam zainteresowany zaprzeczył temu, utrzymując, że poza piosenką przyłożył jedynie rękę do pierwotnej wersji scenariuszowej zatytułowanej „Klucz z bramy”. Za to na pewno jego były scenariusze do „Kardiogramu” Romana Załuskiego, „Romana i Magdy” Sylwestra Chęcińskiego, „Niedzieli pewnego małżeństwa w mieście przemysłowym średniej wielkości” Jerzego Sztwiertni i paru innych jeszcze filmów.

Łatwość, z którą poruszał się Iredyński po różnych rodzajach i gatunkach literackich, budziła podziw. Marek Nowakowski, wspominając Iredyńskiego, pisał: „Potrafił dzielić czas na robotę zarobkową i twórczość z potrzeby serca. Świat jego wyobraźni ponury. Mroczne dramaty dzieciństwa, stały motyw przemocy i okrucieństwa, bohaterowie prozy (»Dzień oszusta«, »Ukryty w słońcu«) wciąż nakładają jakieś maski, prowadzą osobliwe doświadczenia z innymi, eksperymentują do granic wytrzymałości. Dominuje zło, demoralizacja. Najlepszy był w dramatach scenicznych. Sztuki takie jak »Jasełka-moderne« i »Żegnaj, Judaszu« wywierały silne wrażenie. Natomiast proza wydawała się sztucznie wymyślona, choć efektowna. Wszystko, co napisał, cechowało się nienaganną



■ sprawnością. Zaskoczył nas kryminałem, bardzo dobrze napisanym w duchu Chandlera, pod tytułem »Ryba płynie za mordercą«. Wydał tę powieść pod pseudonimem Umberto Pesco. Rzec się działa we Włoszech, gdzie nigdy nie był. Korzystał z map, przewodników i podręcznego słownika polsko-włoskiego. Wyprzedzał nas, początkujących pisarzy, o parę długości wachlarzem możliwości. Czasem mu zazdrościłem”.

I Nowakowski, i wielu innych nie mogło się nadziwić, że Iredyński pisaczą zaczął tak wcześnie, równie wcześnie przekroczył barierę druku, a przy tym wykazywał się podziwu godną erudycją, choć było wiadome, że nie miał nawet matury. Nie ulega wątpliwości, że data jego urodzin była naciągnięta, jeśli zaś chodzi o nazwisko...

Kije i dyscypliny

„Iredyński jakby wychynął z przestrzeni bezimiennej, z nieistniejącego krajobrazu, nikt go nie wychował, a nawet nikt go nie urodził. To znaczy nikt, do kogo chciałby się przyznać” – twierdził Roman Śliwonik („Portrety z bufetem w tle”). To, oczywiście, też przesada. W „Obławie. Losach pisarzy represjonowanych” Joanny Siedleckiej reprodukowane jest jedyne ocalałe zdjęcie matki autora „Dnia oszusta”, a obok fotografia jego ojca, zrobiona po wojnie w Londynie, w mundurze armii gen. Andersa.

Zdjęcia te ilustrują wypowiedź jednego z najbliższych przyjaciół „Iredyński”, Krzysztofa Mrozowskiego:

„Kluczem okrutnego często stosunku Irka do kobiet była jego matka, o której nigdy nie wspominał, czasem najwyżej jakieś strzępy. Urodził się w Stanisławowie, który przechodził podczas okupacji z rąk niemieckich w sowieckie. Jego ojciec, szlagon od bigosu, trafił do armii Andersa, potem do Londynu. Piękna matka natomiast była pochodzenia żydowskiego i w 1943, zostawiając małego syna pod opieką siostr ojc, zniknęła, ratując się przed zagładą. Po wojnie osiadła prawdopodobnie w jednym z kibuców Izraela. Ojciec wrócił do Polski w roku 1948.

Do Bochni, gdzie zamieszkały siostry z jego synem. Bojąc się, czy wychowywany przez baby wyrośnie na mężczyznę, sadystycznie go bił. Gdy odwiedziłem go kiedyś z Irkiem, miał kolekcję kijów



Jan Englert i Ewa Dałkowska w filmie „Ukryty w słońcu”, do którego scenariusz napisał Iredyński
FOT. FILMOTEKA NARODOWA

i dyscyplin, którymi ćwiczył syna, choć jednocześnie też poświęcony mu »ołtarzyk«, recenzje, wywiady.

Bił Irka tak, że uciekł od niego, gdy miał 15 lat, nie zrobił więc nawet matury, a tym bardziej studiów, był samoukiem, wielkim erudytą. Rozpoczął samodzielne życie, chwycił się różnych zajęć, dlatego właśnie tak wcześnie zaczął pić, zapijać biedę. Zadebiutował w wieku 17 lat. Jako 20-latek został najmłodszym członkiem Krakowskiego Oddziału Związku Literatów.

No i co? Przy ówczesnym braku mieszkań od razu dostał samodzielne mieszkanie, choćby i pokój »u literatów« na Krupniczej? Jego sąsiad – Stefan Kisielewski – zapamiętał, że „bawił się z moim synem

w zośkę, kopali na podwórzu i dostał list od prezesa związku, Otwinowskiego, że nie może członek związku z synem członka bawić się na podwórzu, bo to nie wypada. Zabawny. Trochę bandyta, trochę wariat, duży alkoholik. Ale niesłychanie zdolny chłopak. Całe lata go znałem”.

Oddajmy znów głos Mrozowskiemu: „Teatralność i sztuczność jego nazwiska, zbieżność z imieniem, od dawna budziła podejrzenia, że nie jest prawdziwe, i rzeczywiście, nazywał się bardzo zwyczajnie i po polsku – Kapusto, co potwierdzał jego dowód, którym posługiwał się jeszcze w Krakowie.

Znienawidził matkę za to, że go opuściła i nigdy się nie odezwała. Rzucił kiedyś w jakąś straszną listopadową pluchę, że

pojedzie do słonecznego Izraela, dorwie tę k..., żywą czy umarłą. Dlatego właśnie nie przyznawał się do swego pochodzenia, czasem nawet groteskowo. Choć lubił ryby, nawet ich nie tykał, bo to są żydowskie potrawy”.

Dźwignia handlu

Roman Śliwonik opowiadał: „Szedłem do jakiejś redakcji i trafiłem na taką scenkę. Irek, stojąc na środku jezdni, wyciągnął z kieszeni półlitrowkę, odbił korek, przechylił głowę i butelkę, i pił gorzałkę małymi łyżkami w pełnym letnim słońcu. Przerywał. Zerkał do góry. W oknach redakcji i wydawnictw trzepotały rączkami, główkami i ciałami rozochoczone, rozświergotane, prawie odlatujące gdzieś w południowe rozbuchanie panie redaktorki. Jedna z nich dała się już uwieść i pewnie targał nią mały żalik, że nie może tego teraz obwieścić przez okno w to gorące południe. Tylko jej nadmierne wychylenie z okna i szybki migot dłoni mogły wskazywać na zaangażowanie większe i upoważnione. Wtajemniczeni mogli to odczytać.

– Napijesz się? – Irek podał mi butelkę.

– Po co to robisz? – spytałem.

– Reklama jest dźwignią handlu, niech mówią źle, ważne, żeby w ogóle mówili – powiedział z trzeźwym i mocnym przekonaniem”.

Stało się jednak i tak, że reklamy tej miał o wiele za dużo. 13 grudnia 1965 r. w „Życiu Warszawy” ukazała się notatka o wszczęciu dochodzenia przeciwko pisarzowi Ireneuszowi I. (27 lat) i Edwardowi B. (30 lat), reżyserowi, którzy usiłowali przy użyciu siły fizycznej dokonać gwałtu na 19-letniej dziewczynie. Pokrzywdzonej udało się zbiec i zawiadomić MO.

W atmosferze niesłychanej nagonki doszło do parodii procesu, w którym wyroki znane były jeszcze przed sprawą. Pisarz, który podpadł Gomułce, musiał zapłacić za to, jak pisał i jak żył. Przy okazji swoje dostał też Edward B., czyli Edward Bernstein, w kinematografii funkcjonujący jako Żebrowski. Tego jednak zwolniono po ośmiu miesiącach, a Ireduński odsiedział trzy lata, choć w istocie gwałtu nie było. Wprawdzie pisarz znany był ze swego brutalnego obchodzenia się z kobietami (zdarzyło mu się określić je publicznie jako „naczynia na spermę”), nie jest wykluczone, że aku-

rat w tej sprawie doszło do prowokacji. W każdym razie z akt IPN wynika, że bezpieka namierzyła Ireduńskiego już dużo wcześniej i tylko czekała na stosowną okazję, by wsadzić go do więzienia i przyszyć mu łatkę kryminalisty. Konsekwentnie też odmawiano wcześniejszego wypuszczenia go na wolność, po odbyciu połowy i trzech czwartych kary. Nawiasem mówiąc, jego mężem zaufania na procesie był Stefan Kisielewski, co jednak na wiele mu się nie zdało.

Żona Ireduńskiego (Teresa Polkowska, primo voto Świeży; jego pierwszą żoną była Maria Kapelińska) mówiła Joannie Siedleckiej: „Myślę, że więzienie go nie zniszczyło – i tam miał przyjaciół, pozycję, potrafił wszędzie się urządzać. Oczywiście nie tylko dzięki swojej inteligencji, ale i pieniądзом, za które miał wszystko: kawę, alkohol, książki”.

Tak różowo chyba jednak nie było, bo jego współwięzień z celi w Sztumie, Jerzy Cieśliński, wspominał: „Miał sporo raportów, które dostawało się w Sztumie za wszystko, wcale zresztą nie podskakiwał, nie był idiotą, wiedział, że mogą go skopać, ukarać czternastoma dniami twardego łóża i wyjść jako wrak. Widział oczywiście, co się działo, musiał jednak siedzieć cicho, był bezradny. Ale przemoc właśnie, w najrozmaitszych wydaniach, stała się później wyłącznym tematem jego twórczości”.

Gracko pierś wypinać

Więzienie w jakiś sposób jednak go przetrząciło. Mimo tego, że komuny nienawidził, nie angażował się w żadne akcje protestacyjne, choć takie



planował pod celą, gdzie siedział m.in. z Jackiem Kuroniem. Skupił się na pisaniu i, niestety, na picciu. Popadał w długie ciągi przeplatane okresami abstynencji, za każdym razem gorzała jednak wygrywała. Przyczyną śmierci, a zmarł 6 grudnia 1985 r. w wieku (oficjalnie) 46 lat, było zapalenie trzustki.

W jego późnych tekstach, nawet tych najlepszych, takich jak dramat „Ołtarz wzniesiony sobie” z 1981 r., dominuje nienawiść. Bywa, że jest już tylko ona. Trudno zracjonalizować życie tego pisarza, zapomnianego dzisiaj i – jak się zdaje – definitywnie. Sądzę, że warto przypomnieć jego wiersz, jeszcze z 1961 r., który niczego wprawdzie nie tłumaczy, ale wyznacza jakąś tam perspektywę. Zatyłował go: „Przypisane samobójcom”.

*W grocie gdzie są sępy z szkła
czeskiego*

*gdzie wypchani są poeci
w teź grocie chcą zamieszkać
wkładać głowę w dzioby szklane*

*I odczuwać błyskawice gęsich
skórek
i wciąż sprawdzać własne mięśnie
potem gracko pierś wypinać
ostrość szpon wargami sprawdzać*

*Otworzone brzuchy są poetów
oni nigdy prócz rachunków nie
pisali
w brzuchach likier jest miętowy
i parówki w nim pływają*

*Oni byli poetami
i chodzili z żyłkami
sznurami lub rewolwerami
odkręcali gaz
w wodę też skalali
lub inaczej poczynali*

*Sępy brzuchy im przecięły
sępy miały swoją rację
ci poeci mieli rację
z gestu czyniąc wiersz
z gestu czyniąc pomnik.*

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Od niewoli do niepodległości". Taki tytuł mogłyby nosić wspomnienia Michała Sokolnickiego obejmujące lata 1896–1919.

Cóż to był za życiorys! Działacz PPS, bliski współpracownik Piłsudskiego. Jeden z licznych przedstawicieli polskiej inteligencji, którzy walkę o wolność Polski łączyli – jak sam pisał – z walką o sprawiedliwość społeczną. Innymi słowy, niepodległościowy socjalista.

W trakcie wielkiej wojny komisarz cywilny Legionów, członek Centralnego Komitetu Narodowego. Uczestnik polskiej delegacji na konferencję pokojową w Paryżu, a w późniejszych latach wytrawny dyplomata – poseł w Danii i ambasador w Turcji. Zaufany Marszałka. „Wy możecie zawsze bez meldowania się” – miał mu kiedyś rzucić Józef Piłsudski, gdy Sokolnicki niezapowiedziany wkroczył do jego pokoju w Belwederze.

Taki człowiek dużo widział i dużo słyszał. I dużo zrobił. Był blisko najważniejszych wydarzeń w historii Polski. I blisko najważniejszych postaci. W jego wspomnieniach roi się od dat, nazwisk, anegdot i mało znanych faktów. Kopalnia wiedzy dla wszystkich, którzy interesują się tym fenomenem, krółym było wskrzeszenie Rzplitej po 123 latach zaborów.

„Wreszcie przyszedł 11 listopada, wyjątkowy dzień, jakiś słoneczny, nawet ciepły, rozblyskujący niezmiernym życiem, jakby zapłodniony z odległości odbłaskiem Paryża – pisał Sokolnicki, który był wówczas w Rumunii. – Zaczęły się manifestacje uliczne, osaczenie i internowanie zdeorientowanych Niemców, przeprowadzanie ich potem w łatwym triumfie po ulicach miasta. Wschód Europy był w tej chwili jedną wielką niewiadomą lub – jeśli kto chce – zadaniem złożonym z kilkunastu niewiadomych”.

Michał Sokolnicki w swoich wspomnieniach pisze prawdę. Nie brązowi jej, nie upiększa. Píše również o mniej chwalebnych epizodach, które towarzyszyły odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Choćby o pogromie lwowskim, którego był świadkiem. I zachował się w jego trakcie bardzo odważnie i przyzwyczajenie.

„Żołnierze poczęli rozbijać sklep narożny – wspominał. – W tejsze chwili



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

1918 r. / Michał Sokolnicki

Świadek epoki

koło mnie, za mną, usłyszałem przykry trzask tłuczonych szkielek, a z paru sklepów już wynoszono snopami butelki i rozdawano między żołnierzy. »Bijcie, bijcie Żydów! Niech żyją nasi!«. Spotrzałem wśród nich pijanego oficera. Przedarłem się do niego natychmiast, byłem po cywilnemu: »Pańskie nazwisko? Funkcja? Z której kompanii?«. Był najzupełniej oszołomiony i zataczał się. »Pan przynosi wstyd! Pan hańbi mundur oficera!«. Wydarł mi się pomiędzy innych, pijanych żołnierzy. Spotkałem innych oficerów, znajomych; ci, tym razem trzeźwi, byli nieuleczalnie zachwyceni motłochem. I wydał mi się splamionym jeden z najpiękniejszych dni polskiego listopada”.

W ciekawym posłowniu do książki biograf Sokolnickiego dr Krzysztof

Kloc pisze o jego późniejszych losach. Między innymi o jego misji w Turcji i nieudanych próbach usunięcia go przez Władysława Sikorskiego. Mam nadzieję, że to zapowiedź tego, iż Ośrodek Karta pójdzie za ciosem i wyda kolejną książkę Sokolnickiego. Słynny, opublikowany na emigracji „Dziennik ankarski”. ©©

Piotr Zychowicz



MICHAŁ SOKOLNICKI
„EMISARIUSZ NIEPODLEGŁEJ.
WSPOMNIENIA
Z LAT 1896–1919”

OŚRODEK KARTA

Jałta pogłębiła tragedię Woli

Zaciekał mnie szczególnie artykuł Patrycji Grzebyk, która odpowiada na rzadko dotychczas stawiane pytanie: Czy pominięcie rzezi Woli w procesach norymberskich i ponorymberskich było nieświadome czy celowe? Na początek rozstrzyga zagadnienie kwalifikacji. Píše: „Biorąc pod uwagę skalę zbrodni oraz kategorii ofiar (głównie ludność cywilna), a także wyraźny celowy zamiar wymordowania tych osób, rzeź Woli można zakwalifikować w świetle prawa międzynarodowego nie tylko jako zbrodnię wojenną, ale także jako zbrodnię przeciwko ludzkości”.

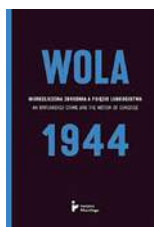
Następnie krytykuje – i słusznie! – ograniczenie składu sędziów Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze jedynie do przedstawicieli USA, Wielkiej Brytanii, Francji i ZSRS, a wykluczenie z postępowania przed trybunałem mniejszych państw, których obywatele ponieśli największe straty. Polski problem był tym większy, że na początku lipca 1945 r. wykluczono z Komisji NZ ds. Zbrodni Wojennych wysłannika rządu RP w Londynie, a zanim – w listopadzie! – przyjeżdżało na miejsce prawników z Warszawy, minął czas składania wniosków do oskarżycieli. Tak to zdrada jałtańska spotęgowała wolską tragedię...

Wreszcie, jak píše autorka, „wraz z wydaniem wyroku norymberskiego skończyła się współpraca między

mocarstwami, a i atmosfera wokół sądzenia zbrodniarzy drastycznie się zmieniła. To wszystko wpłynęło na politykę ekstradycyjną”. Dlatego polskim władzom nie udało się doprowadzić potencjalnych oskarżonych za zniszczenie Warszawy w latach 1944 i 1943 przed oblicze sprawiedliwości w Polsce.

Cenna, w pełni naukowa publikacja znakomicie świadczy o powołanym dwa lata temu Instytucie Pileckiego. Artykuły w zbiorze „Wola 1944” dużo wnoszą do naszej wiedzy o najgorszym bodaj akcie bestialstwa niemieckiego – nie tylko na ziemiach polskich, lecz także w całej Europie podczas II wojny światowej. Tłumaczą też zmiany zachodzące w badaniach nad martyrologią Polaków, mówią o miejscu wolskiej gehenny w całej polityce III Rzeszy wobec Polski, o dotychczasowych kłopotach w osądzeniu morderców i o takich prawniczych kwestiach jak kwalifikacja i podstawa prawna indywidualnej odpowiedzialności sprawców zbrodni. ©©

Maciej Rosalak



RED. JOANNA ADAMCZYK
„WOLA 1944. NIEROZLICZONA
ZBRODNIĄ A POJĘCIE
LUDOBÓJSTWA”

INSTYTUT PILECKIEGO

Mówi marszałek Śmigły

Wywiad rzeka z Edwardem Śmigłym-Rydzem w rzeczywistości nigdy nie powstał. Jednak to, co mówi marszałek w „Spowiedzi Śmigłego”, nie jest efektem wyobraźni autora książki. Sławomir Koper doskonale zna życiorys marszałka. Konstruując odpowiedź Śmigłego-Rydzę, wykorzystuje jego własne słowa, wspomnienia, publikacje o następcy Józefa Piłsudskiego.

W rezultacie powstała książka, która w bardzo atrakcyjnej formie przedstawia życie Śmigłego-Rydzę, postaci ważnej

w historii Polski i nazbyt surowo ocenianej. Marszałek broni się przed zarzutami. Opowiada też o swoim życiu prywatnym. ©©

(t.s.)



SŁAWOMIR KOPER
„SPOWIEDŹ ŚMIGŁEGO.
SZCZERA ROZMOWA
Z PIŁSUDCZYKIEM”

BELLONA



TIM HEATH

„DZIEWCZYNY WODZA.
TRAGICZNE DZIEJE
MŁODYCH WIELBICIELEK
HITLERA”

BELLONA

LOS KOBIET W III RZESZY

Kobiety w III Rzeszy miały rodzić dzieci i zajmować się domem. Tak je wychowywano w organizacjach młodzieżowych. Jednak kiedy klęska zajaśniała Hitlerowi w oczy, dziewczęta zaczęły być powoływane do armii, powstawały nawet kobiece oddziały partyzanckie. Pokonane Niemcy były świadkami gwałtów popełnianych głównie przez sowieckich żołnierzy na niemieckich kobietach. (t.s.)



PIOTR PLEBANIAK

„DROGI WĘDROWNYCH
DORADCÓW”

ZONA ZERO

MĘDRCY PAŃSTWA ŚRODKA

Pasjonująca jest historia Chin, sięgająca kilkuset lat przed naszą erą – Okresu Walczących Królestw oraz Epoki Wiosen i Jesieni. Wojny i chaos polityczny poprzedzający powstanie imperium Pierwszego Cesarza (221 r. p.n.e.) z dynastii Qin paradoksalnie sprzyjały rozwojowi nauki, techniki i kultury. To czas uczonych doradców wojujących książąt – Konfucjusza czy Suna, autora „Sztuki wojny”. ©© (m.r.)



**RED. PIOTR KARDELA,
KAROL SACEWICZ**
„ANTYKOMUNIZM
POLAKÓW W XX WIEKU”

IPN

ANTYKOMUNIŚCI

Ciekawa praca zbiorowa, w której historycy – i nie tylko – piszą o polskich przeciwnikach bolszewizmu. Od XIX w. do Solidarności Walczącej. Lektura książki skłania do smutnych refleksji. Ostrze bolszewizmu od samego początku wymierzone było w Polskę. Bolszewicy zamordowali setki tysięcy Polaków. A polski antykomunizm był niezwykle żywotny. Mimo to podczas II wojny światowej znaleźliśmy się z Sowietami w jednym obozie... ©© (p.z.)



FOT. WIKIMEDIA

Horror Czarnobyła

Na razie nie słuchamy utworów Tchaikowskiego ani nie kupujemy opowiadań Chekowa. Jednak maniera prezentowania rosyjskich imion i nazwisk w transkrypcji angielskiej szerzy się w najlepsze. Dlatego historyk Serhij Płochij został przedstawiony na okładce książki „Czarnobyl. Historia nuklearnej katastrofy” jako Serhii Plokhij.

Płochij jest znakomitym narratorem, opowiada o wydarzeniach, lecz przede wszystkim o bohaterach – pozytywnych i negatywnych – dramatu, który rozegrał się w kwietniową noc 1986 r. Reaktory typu RBMK dawały większą moc niż reaktory WWER, były tańsze w budowie i eksploatacji. Kryły w sobie jednak nie-

bezpieczeństwo katastrofy. Wiedzano, że koszty budowy reaktorów w Stanach Zjednoczonych wzrastają ogromnie z powodu dbałości o bezpieczeństwo. „Sowiecka energetyka podążała w odwrotnym kierunku” – pisze Płochij.

Dzwonek alarmowy w postaci awarii elektrowni atomowej koło Leningradu został zlekceważony. Paradoksalnie, to test systemu bezpieczeństwa spowodował katastrofę w Czarnobylu. Nie udało się, a inżynierom nie powiodło się opanowanie reaktora. Dyrektor elektrowni ukrywał przed lokalnymi władzami rozmiar

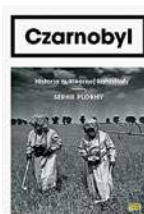
skażenia. Wszyscy się bali podjąć decyzję o ewakuacji ludności miasta Prypeć, położonego tuż obok elektrowni, by nie zostać oskarżonymi o panikę. Każdy szczebel czekał na reakcję przełożonych. Tak wyglądał system komunistyczny. Strach był uzasadniony. Członkowie rządu przybyli z Moskwy bagatelizowali rozmiar katastrofy i rugali za zamieszanie. Sowiecki wicepremier uznał, że decyzja o ewakuacji ludzi wywołałaby panikę gorszą niż same napromieniowania.

Pierwszomajowy pochód musiał się odbyć w Kijowie, mimo że władze wiedziały o chmurze radioaktywnej, która zawisła nad miastem. Gorbaczow zagroził, że jeśli pochód się nie odbędzie, to wyrzuci z partii szefa sowieckiej partii na Ukrainie.

Płochij stwierdza: „Dzisiaj ryzyko kolejnej czarnobylskiej katastrofy rośnie, w miarę jak technologia wytwarzania energii jądrowej dostaje się w ręce władców, którzy dążą do ambitnych celów geopolitycznych i pragną zwiększyć tempo rozwoju gospodarczego, żeby przezwyciężyć kryzys energetyczny i demograficzny, składając gołosłowne deklaracje troski o środowisko”.

Dotyczy to wprawdzie nie cywilizacji Zachodu, lecz reszty świata. ©©

Tomasz Stańczyk



**SERHII PLOKHII
„CZARNOBYL.
HISTORIA
NUKLEARNEJ
KATASTROFY”**

ZNAK

Miłość więźniarki i esesmana

Cóż to za tajemnica z Auschwitz? To miłość więźniarki obozu koncentracyjnego Stefani z esesmana Jürgena... Stefania została wydana wbrew woli za leśnika Floriana Budniaka, podczas wojny kwatermistrza AK spod Radomska, odznaczonego Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych, więzionego po 1949 r. przez komunę. Jego ryzykowne wyczyny potęgowały niechęć żony i jej obawy o los swój i dwóch córeczek. Po jednej z akcji schronił się w domowej skrytce, musiał słyszeć, jak Niemcy rewidują dom i biją mieszkające w nim kobiety. One go nie wydały, a on nie opuścił schronienia,

by się za nimi ująć. Po ich aresztowaniu uciekł, pozostawiając dziewczynki same. Urządził kolejny zamach na Niemców, co uniemożliwiło próbę wykupienia Stefani z więzienia.

Stefania winiła go w myślach za to, że trafiła do KL Auschwitz, następnie do Ravensbrück i Flossenbürga. Udało się jej przeżyć głównie dzięki esesmanowi, który też potrzebował jej uczucia. Do seksu nie doszło. Ninie Majewskiej-Brown opowiedziała tę historię córka Stefani – Ewa. Autorka książki mówi: „Ewa ma ogromny żal do ojca o to, co zrobił Stefani, że był tchórzem, że po wojnie Ewa nie mogła mieszkać z rodzicami...”. No i żona

go nie kochała. To, zdaje się, główna jego wina. Nasuwa się proste pytanie: Czy gdyby Florian Budniak okazał się „rycerzem” i poddał, rzeczywiście pomógłby komukolwiek? I jeszcze jedno: Kiedy kolejne wspomnienie o niegodziwym AK-owcu i subtelnym esesmanie? ©© (m.r.)

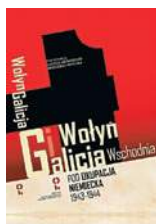


**NINA MAJEWSKA-BROWN
„TAJEMNICA Z AUSCHWITZ”**

BELLONA

Sowieci o Polakach i Niemcach na Wołyniu

Miałą niespodziankę sprawiło czytelnikom Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, publikując książkę „Wołyń i Galicja Wschodnia pod niemiecką okupacją 1943–1944”. Zawiera ona kilkadziesiąt sowieckich dokumentów obrazujących dramat eksterminacji polskiej ludności cywilnej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Poza opisami zbrodni UPA dokumenty te przedstawiają również polsko-niemiecką współpracę. Jest to o tyle ważne, że kwestia ta stanowi nadal temat tabu w polskiej historiografii. Jak do tej pory żadna inna polska instytucja



naukowo-badawcza nie pokusiła się o przeprowadzenie kwerendy w niemieckich archiwach, aby pozyskać tam informacje nie tylko o zbrodni ukraińskich, lecz także o pomocy udzielanej Polakom przez niemieckie władze okupacyjne.

Zagadnienia taktycznej kolaboracji z Niemcami dość szczegółowo ujmuje raport z 23 maja 1943 r. dowództwa zjednoczonych oddziałów partyzanckich obwodu rówieńskiego, kierowany do I sekretarza KC KP(b)U oraz naczelnika Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego o działaniach ukraińskich nacjonalistów na terenie obwodu rówieńskiego. Czytamy w nim m.in.:

„W związku z ogromnym terrorem nacjonalistów polska ludność zaczęła się organizować i stawiać zorganizowany opór nacjonalistom. Niemcy zaczęli wspomagać Polaków bronią, tworząc jednocześnie polską policję w miejsce policji ukraińskiej, która przeszła na stronę nacjonalistów. Obecnie w mieście Kołki policja składa się wyłącznie z Polaków. W południowych rejonach obwodu – Dubno, Sarny, Młynów, Klewań i inne – Niemcy zbroją Polaków w karabiny i karabiny maszynowe w tym celu, aby prowadzili walkę z partyzantami i nacjonalistami, jednakże przypadków wystąpień Polaków przeciw partyzantom nie zauważono... Polacy razem z Niemcami biorą udział w operacjach

przeciwko nacjonalistom; i tak spalili oni doszczętnie wieś Tryputnia i częściowo Hranie jako najbardziej nacjonalistyczne miejscowości. 11 maja bieżącego roku Polacy razem z Niemcami okrążyli nacjonalistyczną wieś Cepcewicz w powiecie włodzimierzskim, rozbili nacjonalistów i zabrali młodzież ukraińską w celu wysłania jej do Niemiec”.

„WOŁYŃ I GALICJA WSCHODNIA POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ 1943–1944”
RED. ŁUKASZ ADAMSKI I GRZEGORZ HRYSIUK

CENTRUM POLSKO-
-ROSYJSKIEGO DIALOGU
I POROZUMIENIA

gając zarówno podejmowane przez nich działania represyjne, jak i te wzmacniające niemieckie siły policyjno-wojskowe. W raporcie z 24 maja 1943 r. dowództwa Zgrupowania Partyzanckiego Obwodu Żytomierskiego do naczelnika Ukraińskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego czytamy m.in.:

„Niemieckie władze okupacyjne, po odejściu banderowców i policjantów do oddziałów nacjonalistycznych, przedsięwzięły szereg środków. Na terenie działania oddziałów nacjonalistycznych zwiększono liczbę garnizonów. W Kowlu garnizon zwiększono z 300 do 4000 osób, w Kostopolu z 50 do 500. Na stacjach kolejowych i mostach postawiono bunkry i karabiny oraz armaty... Niemcy rozpoczęli aresztowania ukraińskich nacjonalistów. Rozbrojona i aresztowana policja z rejonu miniewickiego i rokićciańskiego... Niemcy dokonali masowych aresztowań, przepędzając ludność do Niemiec, pałac wsie. Całkowicie spalono wieś Postyczyno, Stawek, Rudnia-Barbary, Michalin i inne”.

Może te dokumenty przeczytaliby łaskawie polscy pseudohistorycy, którzy przekraczając granice własnej śmieszności, głoszą tezy o rzekomej tolerancji Niemców wobec UPA i mordów dokonywanych przez tę organizację na Polakach. © ©

Arkadiusz Karbowiak

Dylemat II RP

Dziedzictwo II Rzeczypospolitej” to zbiór artykułów wielu autorów m.in. o polityce zagranicznej, gospodarce, oświacie i sztuce, pokoleniu wychowanemu w niepodległym państwie. Profesor Wojciech Roszkowski stwierdza, że zniszczenia potencjału produkcyjnego na ziemiach polskich były prawdopodobnie największe na świecie. To zasadniczo wpływało na niskie tempo rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego. Ogromnym problemem było odcięcie Polski od tradycyjnych rynków, którymi były Rosja i Niemcy, dokąd w czasach rozbiorów wysyłano surowce i towary z ziem polskich. Niemniej jednak, jak stwierdza prof. Roszkowski, przemysł rozwijał się w dwudziestoleciu szybciej, niż wynosiło przeciętne tempo wzrostu w Europie.

Profesor Wojciech Morawski zwraca uwagę, że Polska sama pokonała hiperinflację. Nie było jednak wyjścia. Pomoc zagraniczna była uwarunkowana sugestią podjęcia rozmów z Niemcami. W tle była rewizja polskiej granicy zachodniej... Premier Władysław Grabski zbudował silny bankowy sektor państwowy, bo wiedział, że kapitał obcy nie będzie chciał zaspokajać zapotrzebowania na kapitał długoterminowy i inwestycyjny. Podczas wielkiego kryzysu obcy kapitał wycofywał się z Polski i zamykał fabryki. Polityka etatystyczna nie była więc – jak podkreśla prof. Morawski – wyborem ideologicznym, lecz koniecznością ratowania gospodarki.

Dobrze się też stało, że w sporze między zwolennikami uprzemysłowienia kraju a tymi, którzy chcieli widzieć Polskę jako spichlerz Europy, wygrali ci pierwsi, reprezentowani przez ministra przemysłu i handlu Eugeniusza Kwiatkowskiego. © © (t.s.)

**DZIE-
DZICTWO
II RZECZY-
POSPOLITEJ**

**PRACA ZBIOROWA
„DZIEDZICTWO
II RZECZYPOSPOLITEJ”**
MUZEUM HISTORII POLSKI



Piotr Semka

/ Felieton

Egon Olsen

ma 100 lat

Dokładnie wiek temu, 21 grudnia 1919 r., urodził się w Odense w Danii Ove Wendelboe Sprogø Petersen. Jego nazwisko nie brzmi znajomo, choć jeszcze niedawno był najśłynniejszym Duńczykiem na świecie.

Ove Sprogø przeszedł do historii kina dzięki roli Egona Olsena – mózgu i założyciela trzyosobowego gangu z Kopenhagi, bohatera filmu, który pokochali widzowie na całym świecie. Filmy o przygodach trzech dość pechowych gangsterów okazały się takim hitem, że skłoniło to producentów filmu do nakręcenia aż 14 kolejnych odcinków. Od nadającego nazwę całej serii „Gangu Olsena” z 1968 r. aż do „Gangu Olsena – ostaniej misji” z 1998 r.

Żaden z trzech filmowych kompanów już nie żyje. Pierwszy zmarł w 1998 r. Poul Bundgaard grający korpulentnego, ale tchórzliwego Kjelda Jensena. Potem, w 2004 r., odszedł filmowy Egon – Ove Sprogø, i w 2018 r. zmarł Benny Frandsen (Morten Grunwald) grający lekkomyślnego Benny’ego Frandsena ubranego zawsze w kapelusik i kraciastą marynarkę.

Zadałem sobie trud obejrzenia niedawno wszystkich 14 filmów i nie żałuję. A ponieważ ten felieton pisany jest na potrzeby magazynu „Historia Do Rzeczy”, podzielę się z państwem obserwacjami, jakie cywilizacyjne zmiany można zauważyć, oglądając kolejne przygody trzech fajtlapów marzących wiecznie o udanym wielkim skoku.

Pierwsza obserwacja, która umyka zazwyczaj zagranicznym widzom, to

sama postać Egona Olsena jako echo amerykańskich fascynacji Duńczyków. Egon wystylizowany jest na gangstera z epoki prohibicji w USA. Elegancki garnitur w prążki, wykwinny melonik i nieodłączne cygaro sugerują, że Egon gangsterskiego fachu uczył się za wielką wodą i wrócił do ojczyzny. W Danii kult wszystkiego, co amerykańskie, narodził się w XIX w., kiedy to wielu Duńczyków emigrowało za ocean, uciekając od nędznych gospodarstw na kiepskich glebach.

/ Kres erotycznych wycieczek w kolejnych filmach przyszedł wraz z popularnością „Olsen-films” w Europie

Wzbogaceni emigranci z USA odwiedzający „stary kraj” byli atrakcją jeszcze w latach 60. Coś jak nasi górale wzbogaceni w Chicago, którzy w tamtych latach zajeżdżali w niedziele pod podhalańskie kościoły amerykańskimi krążownikami szos. Nieprzypadkowo „Gang Olsena” porusza się zdezelowanym chevroletem Bel Air model 1959.

Druga obserwacja to „purytaniczność” serii. W jej pierwszych trzech odcinkach pojawiają się dość naiwne, ale wyraźne nawiązania

do duńskiej rewolucji seksualnej, która w latach 1968–1971 nagłośniła Danię jako centrum porno. Co ciekawe, kres tego typu erotycznych wycieczek w kolejnych filmach przyszedł wraz z popularnością „Olsen-films” w Europie. Zagraniczni dystrybutorzy nastawieni byli na rodzinne oglądanie filmów i wygląda na to, że wskutek ich żądań duńscy producenci byli zmuszeni odseksualizować kolejne odcinki.

Trzecia obserwacja – rzuca się w oczy, jak w pierwszych odcinkach częste są kpiny antyniemieckie, echo okupacji. Od antypatycznego niemieckiego kustosza wystawy dzieł sztuki z RFN do zawodowych morderców z Niemiec w lodenowych płaszczach i tyrolskich kapelusikach, którym konkurencyjny gang zleca „mokrą robotę”. Dzisiaj byłoby to niemożliwe.

Po czwarte wreszcie – jest w filmach o gangu Olsena dużo żartów z duńskiej policji, ale wciąż obowiązuje dogmat o nieuchronności kary za łamanie prawa i niepowodzeniu każdego skoku. To dlatego Egon za każdym razem trafia do więzienia, choć jego kompani jakoś zawsze cudem unikają wpadki.

Dlaczego świat pokochał ten jedyny filmowy duński produkt eksportowy?

Ponieważ jest coś w desperackich staraniach gangu Olsena o zdobyciu fortuny – z mitu o Syzyfie. O ograniczoności ludzkich rachub, o sile przypadku i gorczy klęsk w mocowaniu się z losem. I sporo o sile grupy i przyjaźni.

Za to pechowych gangsterów Olsena pokochał cały świat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Obachodzenie Święta Niepodległości akurat 11 listopada – czytelników naszego magazynu nie trzeba chyba do tego przekonywać – nie ma merytorycznego uzasadnienia. Może poza tym jednym, że tego

dnia cały świat obchodzi rocznicę zakończenia wielkiej wojny, dziś zwanej I wojną światową, więc wpisujemy się tą datą w kalendarz światowy. Dla nas 11 listopada 1918 r. wcale jednak końcem wojny nie był, przeciwnie, dopiero się ona rozpałała na wszystkich granicach. W Warszawie tego akurat dnia nie zdarzyło się nic przełomowego. Piłsudski odesłany został przez Niemców z Magdeburga dzień wcześniej, władzę Naczelnika Państwa objął dwa dni później. Tego dnia objął tylko zarezerwowaną dla niego w rządzie Rady Regencyjnej władzę nad wojskiem i domknął negocjacje z niemiecką Radą Żołnierską.

Był to już trzeci utworzony przez Radę Regencyjną rząd niepodległej Polski, którą Lubomirski, Ostrowski i Kakowski proklamo-

Polacy to ludzie przekorni – efektem tej lewicowej wścieklizny stał się ogromny, w tym roku 150-tysięczny Marsz Niepodległości

wydarzeniem, z roku na rok piękniejszym, i wiele zmienił. Ponieważ tak się złożyło, że 10 lat temu zaoferowano mi rolę jednego z patronów tego przedsięwzięcia, na co się bez chwili namysłu zgodziłem, myślę o tym sukcesie z pewną dumą. U zarania wcale nie można było tego być pewnym. Na organizatorów, Młodzież Wszechpolską i Obóz Narodowo-Radykalny, lewicowo-liberalne media, a innych wtedy praktycznie nie było, ruszyły z bezprzykładną nawet na tamte czasy nagonką. Właściwie nie było takiego świństwa, do jakiego by się



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Ten pierwszy marsz

wali 7 października 1918 r. – natychmiast po tym, jak Niemcy i Austro-Węgry zaakceptowały „mapę drogową” Wilsona, której częścią była nasza suwerenność. Od tego czasu trwała intensywna praca nad stworzeniem polskiego wojska i polskiej administracji. Uczciwość kazałaby obchodzić właśnie 7 października, ale – jak wiemy – w roku 1937 reżim sanacyjny, rozpaczliwie potrzebujący legitymizacji i znajdujący ją w kulcie Marszałka, zdecydował inaczej. A potem były: wojna, okupacja i kolejna okupacja.

W III RP datę 7 października usiłowały odwojować środowiska konserwatywne i wolnościowe, ale organizowane przez nie coroczne obchody zupełnie nie przebiły się do powszechnej świadomości. Natomiast młodzi narodowcy pogodzili się z tym, że 11 listopada zajął w polskiej pamięci trwałe miejsce, i w roku 2009 zainicjowali Marsz Niepodległości.

Podaję to jako przykład skutecznej, realnej polityki. Marsz stał się bowiem wspaniałym

wówczas nie posunęły salony, odmawiając dziedzicom polskiego ruchu narodowego prawa do obecności w przestrzeni publicznej. Rok w rok obrzucano tradycję Dmowskiego błotem, usiłując ją zrównać z faszyzmem i nazizmem, szczerze przeciwko marszowi wszelkiej maści lewackie bojówki, urządzano kolejne policyjne prowokacje, podpalenia i inne inscenizowane ekscesy, słano obrzydliwe donosy do zagranicznych agencji, których owocem były haniebne słowa Guya Verhofstadta w europarlamencie o „sześćdziesięciu tysiącach neonazistów maszerujących w Warszawie, o kilkaset kilometrów od pieców i komór gazowych Auschwitz”.

Polacy to ludzie przekorni – efektem tej lewicowej wścieklizny stał się ogromny, w tym roku 150-tysięczny marsz, stanowiący coraz bardziej nieodzowną część naszego świętowania. Daleko zaszliśmy od czasu tego pierwszego, skromnego i zewsząd atakowanego przemarszu przed 10 laty. Jak widać, czasem nie warto kłócić się małostkowo o daty czy inne szczegóły.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Lwów 1918 r.

/ Kto brał udział w grabieży i mordowaniu Żydów?

Pogrom i iluzje

Synagoga Beit Chasidim spalona podczas pogromu FOT. ALAMY/BEGW



Tomasz Stańczyk

/ W listopadzie 1918 r. doszło we Lwowie do szokujących krwawych wydarzeń w dzielnicy żydowskiej. Książka Grzegorza Gaudena to szczególna próba ich interpretacji

Co robił lwowski półświatk 22 listopada 1918 r.? Męty, szumowiny, kryminaliści, bandyci. Chodzili pod rękę ze swoimi biniami. Pili ćmagę. Okazja do wypitki była zaś wyjątkowa. Ukraińskie wojska, po stoczeniu walk z obrońcami miasta i siłami odsieczy wojska polskiego, wycofały się nad ranem tamtego dnia ze Lwowa. Cieszono się więc na przedmieściach. Niektóre typy

spod ciemnej gwiazdy wybrały się do dzielnicy żydowskiej.

A co robili tamtego dnia stateczni obywatele Lwowa? Mieszczanie, ludzie z dobrych domów i wyższych sfer, urzędnicy, kupcy, studenci? Także świętowali, jednak nie na swoich ulicach, lecz w dzielnicy żydowskiej. Rabowali i mordowali. Był tam człowiek, który w przerwie między grabieżą a zamordowaniem Żyda dał recital fortepianowy. Były tam także elegancko ubrane kobiety. Rabusie obdarowywali je mieniem żydowskim.

Nie ma niewinnych Polaków

To oczywiście obraz skarykaturyzowany. Niemniej jednak pokazuje, w którą stronę zmierza autor książki „Lwów – koniec iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918” (Universitas). O tym wstrząsającym wydarzeniu autor, należący do starszego pokolenia, dowiedział się kilka lat temu od prof. Andrzeja Romanowskiego. Od niego też zapewne, jak

wynika z posłowania profesora, zaczerpnął wskazówkę, jak pisać o pogromie: „Nie ma tu żadnego: tak, ale...”.

Autor nie jest historykiem, dlatego też nie musi brać pod uwagę zasady znanej profesjonalnym badaczom dziejów, by pisać „sine ira et studio” (bez gniewu i sprzyjania, obiektywnie). I korzysta z tego. Jego książka to publicystyka, która nie jest pozbawiona silnych emocji, z mocnymi тезami.

Oczywiście, że sprawcy mordów i grabieży w dzielnicy żydowskiej to nie tylko lepsze, wykształcone, eleganckie lwowskie towarzystwo. Byli tam bowiem, według autora, dosłownie wszyscy.

„Do centrum miasta ruszyli obrońcy Lwowa w maciejówkach z orzełkami i bez nich, żołnierze i oficerowie odsieczy krakowsko-przemyskiej, a wraz z nimi tłum polskich mieszkańców Lwowa: kobiety i mężczyźni, ludzie prości i wykształceni, biedni i dobrze sytuowani, starzy i młodzi, mieszczanie, kolejarze, robotnicy, rzemieślnicy, subiekci, batiarzy, byli austriacy a przyszli polscy policjanci, byli austriacy a przyszli polscy urzędnicy”.

W innym miejscu autor dodaje do tego wyliczenia siostry miłosierdzia. Ile ich było? Co najmniej dwie, bo to minimalna liczba, od której można używać liczby mnogiej. Stanowiły większość samarytanek lub choćby znaczącą część? Na to pytanie brak odpowiedzi. Jednak jako kategoria siostry miłosierdzia zostały włączone do sprawców pogromu. Tak też można wciągnąć na listę sprawców na przykład aptekarzy, zegarmistrzów i cyklistów.

W wyliczeniu sprawców pogromu nie ma kryminalistów ani szumowin. Wprawdzie pojawia się słowo „batiarzy” i być może autor utożsamia ich (niesłusznie zresztą) z przestępcami. Nawet jeśli tak, to kryminaliści byłiby tylko jedną z wielu kategorii na liście sprawców, obok sióstr miłosierdzia.

Półświatek musi jednak zejść na daleki plan. Autor twierdzi bowiem, że sprawcami pogromu byli Polacy ze wszystkich klas, warstw, zawodów. Wszyscy bowiem byli zarażeni antysemityzmem.

Ówczesna prasa polska, obrońcy Lwowa, słowem – Polacy robili wiele, by przedstawić pogrom jako dzieło głównie kryminalistów, mętów, szumowin. Autor stwierdza, że było to ukrywanie rzeczywistych sprawców i idzie dokładnie w przeciwnym kierunku.

W pewnym momencie opowieści tłum lwowian schodzi niespodziewanie na drugi plan. Autor pisze, że gen. Roja apelował o przysłanie posiłków wojskowych. Oddziały, którymi dysponował, nie dawały sobie bowiem rady z plądrującym tłumem. Autor stwierdza: „To nie były bandy cywilów, z którymi łatwiej byłoby się rozprawić”.

Wśród uczestników pogromu ludzie w mundurach rzucali się w oczy. Czy wszyscy to obrońcy Lwowa i żołnierze odsiecz? Maciej Rataj, późniejszy marszałek Sejmu, obecny wówczas w mieście, wspominał: „Rozmaite indywidua w mundurach żołnierskich (pamiętać trzeba, że byliśmy po czterech latach wojny, że mundur stał się czymś pospolitym, noszonym nie tylko przez tych, którzy brali udział w obronie Lwowa) i w ubraniach cywilnych, wyniosły całe naręcza towarów ze sklepów, jawnie i bez zęady”.

Potwierdzał to sędzia Zygmunt Rymowicz, który stanął na czele nadzwyczajnej komisji śledczej, chwalony przez autora. W raporcie pisał, że znaczny

odsetek przestępstw został popełniony przez ludzi bezprawnie noszących mundury. Stąd też wrażenie, że tak wielu żołnierzy było wśród uczestników pogromu. A mundurów we Lwowie nie brakowało. Pochodziły m.in. z obrabowanych magazynów wojskowych, nosili je też dezterterzy i maruderzy.

We Lwowie mieszkało wówczas 100 tys. Polaków. W obronie miasta wzięło udział 6 tys. Niewielki procent. Najwyżej też taki procent Polaków wziął udział w pogromie. Wojsko, tłumiąc pogrom, zatrzymało 1,5 tys. jego uczestników. Z pewnością nie wszystkich. Może

dosłownie. Polacy nie ruszyli do dzielnicy żydowskiej, usłyszawszy „Mazurka Dąbrowskiego”. Jednak tak mieli, zdaniem autora, rozumieć od pewnego czasu słowa: „Co nam obca moc wydarła, szablą odbierzemy”. Zamienili się bowiem z walczącymi w XIX w. o własną wolność w naród dokonujący „ekspedycji karnych” przeciw narodom domagającym się swoich praw.

Autor twierdzi, że na początku XX w. w oczach Polaków wrogiem numer jeden byli Żydzi, traktowani jako czwarty zaborca i najgorszy z nich. Pogrom byłby więc „ekspedycją karną”.



Dzielnica żydowska we Lwowie FOT. ALAMY/BEGW

było ich dwa, a może cztery razy więcej. Dobrze i źle opinie o Polakach we Lwowie w listopadzie 1918 r. kształtowała mniejszość.

„Mazurek Dąbrowskiego” i trupie czaszki

22 listopada Ignacy Baczes usłyszał melodię „Mazurka Dąbrowskiego” graną na harmonijce. Nie wiedział, że „melodia przyszłego hymnu Polski to zapowiedź pogromu”. Zabrzmiiała „jak trąbka dająca wojsku sygnał do ataku na dzielnicę żydowską”. Nie trzeba tego odczytywać

To już nie idea wolności i niepodległości wyrażona w „Mazurku Dąbrowskiego”, nawet nie religia katolicka były, zdaniem autora, tym, co łączyło Polaków. Píše bowiem, że fundamentem tożsamości narodowej dla ogromnej większości z nich był antysemityzm.

Pogrom można więc uznać za jego wyraz. Drugim powodem pogromu było przeświadczenie o niechętnym stosunku części ludności żydowskiej do Polaków.

Trzeba zauważyć, że dramatem jest to, iż za postępowanie mniejszości, prawdziwe czy wyobrażone, odpowiada cała społeczność.

Za początek pogromu, symboliczny, ale jednak też rzeczywisty, uznaje autor obrabowanie sklepu jubilerskiego



Roman Abraham (ósmý z lewej) ze swoimi
żołnierzami, nazywanymi „straceńcami”

FOT. Z ALBUMU „ORLETA LWOWSKIE” WOJCIECHA ROSZKOWSKIEGO, WYD. BIAŁY KRUK

■ Zippera. Stał przed nim tłum polskich lwowian. „W narastającym, mrocznym podnieceniu czekali na sygnał inicjujący rabunki i przemoc wobec Żydów”. Czy karnie stali też kryminaliści i ludzie z półświatka? Sklep Zippera obrabowali ludzie z oddziału por. Romana Abrahama. To miał być impuls do pogromu. Odznakę oddziału stanowiła trupa czaszka. „Emblemat trupiej czaszki okazał się wyjątkowo trafnym symbolem” – zauważa autor. Czego symbolem miało być to „upiorne odznaczenie”? 22 listopada pod sklepem Zippera, gdzie byli „abrahamczycy”, rozpoczął się, zdaniem autora, pogrom.

Czy żołnierze z trupią czaszką przodowali w zabijaniu Żydów, niczym ludzie z Totenkopf na czapkach dwadzieścia parę lat później? Autor pisze o „abrahamczykach” tylko tyle, że zamiast stawić się na zbiórce przed ratuszem, ruszyli do dzielnicy żydowskiej. „Gdyż mieli tam inne zajęcia, bardziej opłacalne i w opinii polskich lwowian – patriotyczne”. Autor cytuję wstrząsające relacje o biciu i zabijaniu Żydów. Nie pojawia się w nich trupa czaszka na mundurze, choć to dość przykuwający uwagę symbol. Zwrócił uwagę autora, gdy oglądał zdjęcie oddziału „abrahamczyków”.

Metoda skojarzeń („Mazurek Dąbrowskiego”, trupa czaszka i pogrom) nie ominęła przy okazji Józefa Piłsudskiego. Autor wspomina także wydarzenia w Wilnie z kwietnia 1919 r., gdy polskie wojsko zdobyło miasto, wypierając oddziały Armii Czerwonej. Według relacji polskich Żydzi-bolszewicy strzelali do żołnierzy. Doszło potem do ataku na ludność żydowską, były ofiary śmiertelne. Autor twierdzi, że Piłsudski rozkazał wysłać tysiąc wileńskich Żydów do obozów koncentracyjnych. Niewątpliwie

odwołuje się do raportu Samuela Stuarta. Pojawiają się w nim tysiąc Żydów i obozy internowania. Nie ma Piłsudskiego. Inaczej w książce autora: jest Piłsudski, są Żydzi i obozy koncentracyjne.

„Piłsudski był oburzony – pisał prof. Andrzej Chwalba w książce »1919. Pierwszy rok wolności« – słownymi i fizycznymi atakami na Żydów”. Wydał w tej sprawie odezwę do armii, wzywając ją do ochrony mienia i życia ludności żydowskiej.

Milicja żydowska

W amerykańskich filmach kryminalnych można usłyszeć formułkę: „Cokolwiek powiesz od tej pory, może być użyte przeciwko tobie”. Autor zdaje się mówić polskiemu źródłom: cokolwiek powiecie, będzie to użyte przeciwko wam. Każdą wątpliwość rozstrzyga na niekorzyść oskarżonych, czyli Polaków.

Tak też jest np. w kwestii milicji żydowskiej. Polskie źródła stwierdzają, że zaangażowała się czynnie, przynajmniej w większości, po stronie Ukraińców bądź też, że zdarzały się incydenty złamania neutralności. O takich naruszeniach mówi także raport Chrzanowskiego i Wassercuga, delegatów MSZ, pozytywnie oceniany przez autora, stwierdzający zresztą, że milicja żydowska generalnie przestrzegła neutralności.

Przypadek strzelania do obrońców Lwowa w okolicy

ulic Źródlanej i Pod Dębem tłumaczyła milicja żydowska tym, że odpierała atak polskich bandytów w mundurach, którzy chcieli grabić Żydów. W polskich szeregach byli i tacy ludzie. Są jednak świadectwa polskie mówiące o ostrzeliwaniu polskich oddziałów, których nie można posądzać o uprawianie bandytyzmu.

22 listopada doszło do wymiany ognia z milicją żydowską – jak twierdzą relacje polskie. Autor cytuję dwa rozkazy oficerów o ostrzeleniu ich oddziałów. Podkreśla, że żaden nie napisał, kto był sprawcą, choć jeden z oficerów to endek (wniosek: napisałby, że to Żydzi, gdyby to byli oni). Brak jednak odpowiedzi na pytanie, kto strzelał do polskich żołnierzy, skoro wojsk ukraińskich nie było już w mieście. Jednocześnie autor pisze o „rzekomych strzałach” do żołnierzy. Czy wierzy więc, że strzelano, ale sprawcy nie byli milicjantami żydowskimi? Czy też uważa, że raporty oficerów przedstawiają wydarzenie, do którego nie doszło?

O nie zawsze dobrym zachowaniu się milicji żydowskiej wobec cywilnych Polaków pisał Maciej Rataj.

„W czasie walk na ulicach Lwowa – relacjonował Rataj – przez 22 dni uzbierało się w sercach polskich dużo słusznego i uzasadnionego oburzenia na Żydów, którzy głosząc neutralność, na ogół biorąc, stanęli po stronie Ukraińców nie tylko z sympatiami, ale także z czynną pomocą. Stykałem się z milicjantami żydowskimi i widziałem, jak brutalnie i wyzywająco traktowali ludność polską”.

Autor twierdzi, że Rataj formułował swoje opinie pod wpływem pogłosek krążących po Lwowie. Wynikały one jednak z osobistych obserwacji Rataja, które sam autor cytuję. Maciej Rataj nigdy nie był podejrzewany o antysemityzm.

Sędzia Rymowicz także pisał w raporcie o przypadkach nieprzyjaznej postawy milicji żydowskiej wobec cywilnych Polaków.

Prasa lwowska i obrońcy Lwowa wskazywali, że pogrom był – jak się wyraził jeden z nich – „smutną, lecz naturalną konsekwencją postawy Żydów wobec Polaków”. Nie można się z tym zgodzić. Nic nie usprawiedli-



wiało pogromu. Rataj, pisząc o oburzeniu Polaków, jednocześnie stanowczo potępił pogrom, zauważając trafnie, że był „czymś wstrętnym”.

Dlaczego Polacy nie wzięli odwetu na Ukraińcach, lecz dokonali pogromu Żydów, choć ci byli neutralni? Takie pytanie stawia autor i nie znajduje odpowiedzi. Jednak w innym miejscu książki pisze, że Polacy bali się powrotu wojsk ukraińskich i zemsty.

Sprawa ma jednak szersze tło. Profesor Roman Wapiński wyjaśniał w „Pokoleniach Drugiej Rzeczypospolitej”, że podczas walk polsko-ukraińskich nie było miejsca na neutralność Żydów. Nie rozumiała jej żadna ze stron konfliktu, a nierzadko odczytywano neutralność jako niechęć lub wrogość. „Ani tego, ani też innych pogromów usprawiedliwiać nie można, ale ich potępienie nie zwalnia od prób wyjaśnienia okoliczności, w jakich do nich doszło” – stwierdzał profesor Wapiński.

Kryminaliści, męty, szumowiny

Nie jest możliwe ustalenie, jak wielu sprawców pogromu kierowało się antysemityzmem i odwetem za rzekomą czy prawdziwą niechętną postawę wobec Polaków w części ludności żydowskiej, w tym milicji. Jak liczni byli natomiast ci, którzy wcale nie obchodziło zachowanie Żydów podczas walk? Szli do ich dzielnic wyłącznie w celu grabieży. Mordowali broniących swego majątku, także chcąc się pozbyć świadków przestępstwa.

Okazja czyni złodzieja. Rabowali nie tylko kryminaliści i męty. Nie mogli jednak być zaledwie jedną z wielu grup, ginącą w tłumie, wśród sióstr miłosierdzia i studentów. Profesor Wapiński pisał, że – jak można sądzić – udział kryminalistów zaważył na drastyczności pogromu.

Stan bezpieczeństwa we Lwowie jesienią 1918 r. był koszmarny. Na obrzeżach miasta grasowały uzbrojone grupy dezertersów i maruderów, które przenikały w jego granice. Profesor Andrzej Chwalba w książce „1919. Pierwszy rok wolności” pisał, że na przedmieściach Lwowa, przed rozpoczęciem walk, rządzili bandyci. Rabowali ulicę za ulicą. Wobec skali przestępczości lwowska policja

była bezsilna. Obawiano się, że przestępcy i dezertersi opanują miasto. Lwów nie był wyjątkiem. W Galicji i Kongresówce grasowały liczące kilkadziesiąt tysięcy ludzi bandy łupiące i Polaków, i Żydów.

Po rozpoczęciu walk we Lwowie część ludności, ogromnie zubożałej w efekcie wojny, wraz z przestępcami rabowała magazyny wojskowe na dworcach kolejowych. Grabież była też charakterystyczną cechą pogromu lwowskiego.

W listopadzie 1918 r. w mieście znajdowało się na wolności ok. 1 tys. kryminalistów. Część z nich uwolniła się z więzień w pierwszych dniach walk. Zdecydowana większość znalazła się na ulicach 21 listopada, gdyż wojska ukraińskie nie pozostawiły straży w więzieniach. Co robił tysiąc kryminalistów



Bernard Mond, generał WP, wcześniej legionista i obojca Lwowa

FOT. WIKIPEDIA

dzień później, gdy rozpoczął się pogrom?

Chęci grabieży sprzyjało przekonanie, że Żydzi, mający silną pozycję w handlu, wzbogacili się na wojennej spekulacji oraz lichwie. Dotyczyć to mogło tylko części z nich. Rabusie grasowali głównie w dzielnicy żydowskiej – bo to było bezpieczniejsze – ale nie oszczędzali sklepów „chrześcijańskich”, w tym sklepu „eleganckich wyrobów modniarskich” Szałkiewicza na parterze hotelu George. Niedaleko, zresztą, sklepu Zippera.

Raport amerykańskiej komisji Henry’ego Morgenthaua wspominał m.in. o dezertersach i kryminalistach. Uznano, że „te właśnie podejrzane elementy spłądowały domy i sklepy w dzielnicy żydowskiej, dokonując grabieży na kwotę

milionów koron; gdy napotymano opór, nie wahano się mordować”. Morgenthau, amerykańskiego dyplomaty pochodzenia żydowskiego, krytykowała część środowisk żydowskich, uważając, że raport jest propolski. Tego fragmentu opinii raportu Morgenthaua nie akceptuje też autor.

Udział kryminalistów i półświatka w pogromie nie był aż tak wielki, jak chcieliby go widzieć ówczesni Polacy. Nie był jednak aż tak marginalny, jak chciałby go widzieć autor.

Autor przypomina pogrom w rosyjskim Kiszyniowie w 1903 r. Zabito wówczas 47–49 Żydów. To wydarzenie wstrząsnęło całą Europą. Według autora pogrom lwowski przewyższył pogrom kiszyniowski, nawet jeśli przyjąć minimalną liczbę ofiar we Lwowie. Skoro autor sądzi, że ważne jest wykazanie, kto zabił więcej Żydów, to trzeba zauważyć, że pomija raport lwowskiej Dyrekcji Policji, który na podstawie danych zebranych w szpitalach mówi o 44 zabitych i zmarłych z ran w dniach 22–24 listopada 1918 r.

Co innego zwraca jednak uwagę w tym raporcie. Wśród 44 ofiar znalazło się 11 chrześcijan. Czyli jedna czwarta. Profesor Zbigniew Zaporowski, który opublikował raport, uważał, że potwierdza to bandycki charakter ekscesów we Lwowie. Potwierdza ten charakter także to, że wśród ponad 40 rannych (w znakomitej większości z powodu postrzałów) było niewiele więcej Żydów niż chrześcijan. Kto więc był winien śmierci i zranień Polaków oraz Ukraińców? Przecież nie Żydzi ani nie ludzie z lepszych sfer Lwowa.

Autor, podsumowując lwowski pogrom, stwierdza, że „Pan Tadeusz” zabił w listopadzie 1918 r. Jankiela. Jednak Jankiel to symbol tych Żydów, którzy sympatyzowali z wolnościowymi i niepodległościowymi dążeniami Polaków. Soplica nie mordował w listopadzie 1918 r. Jankiela. Razem z nim walczył o Lwów. Wśród obrońców miasta było 49 Żydów (według wyznania). Być może jeszcze większą grupę stanowili Żydzi chrześcijanie lub bezwyznaniowcy.

Zarówno krytycy książki, jak i ci, którzy ją chwalą, zgadzają się z pewnością z wypowiedzią autora w jednym z wywiadów prasowych: kto rządzi przeszłością, ten decyduje o przyszłości. Dodać można: i o teraźniejszości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

XVIII/XIX w. / Zaczęło się od Volty i Ampere'a



Na zdjęciu wizerunek
Alessandro Volty FOT. WIKIPEDIA

Elektrownie



Tymoteusz Pawłowski

/ Prąd powstaje w wyniku zjawisk chemicznych lub fizycznych, ale jego produkcja jest skomplikowana. W grę wchodzi bowiem nie tylko technologia, lecz także ludzkie ambicje, pieniądze i interesy

Nazwiska wynalazców z reguły są bardzo szybko zapomniane. Nie dotyczy to jednak spraw związanych z prądem, gdyż w 1881 r. Międzynarodowy Kongres Elektryków postanowił upamiętnić tych, którzy zasłużyli się najbardziej. Najważniejsze jednostki miary elektrycznej nazwano nazwiskami Alessandra Volty

oraz Andrégo Ampère'a. Pierwszy z nich – jeszcze w XVIII w. – zbudował ogniwo galwaniczne, czyli baterię produkującą prąd dzięki przemianom chemicznym. Drugi – działający w początkach XIX w. – zajmował się elektromagnetyzmem, a jego badania umożliwiły mechaniczną produkcję prądu.

Dokonania obu wynalazców – a także wielu ich kolegów – przez długi czas mia-

ły jednak minimalne znaczenie praktyczne. Nie było urządzeń elektrycznych, bo prąd był trudno dostępny. Nie opłacało się produkować prądu, bo nie było urządzeń elektrycznych. Potrzebne było urządzenie, którego wszyscy będą chcieli używać; urządzenie, dzięki któremu produkcja prądu będzie opłacalna. Takim urządzeniem stała się żarówka.

Działające żarówki pojawiły się w końcu lat 70. XIX w. I wówczas, w 1879 r., lord Armstrong zbudował sobie elektrownię, żeby oświetlała mu lordowski pałac. Nie bez przyczyny został pionierem elektryfikacji: był nie tylko arystokratą, lecz także inżynierem oraz przedsiębiorcą. Zarabiał jednak, budując pancerniki, nie zainwestował w przemysł elektryczny. Uczynił to Thomas Alva Edison, otwierając w 1882 r. pierwszą elektrownię miejską w Londynie. Jej

zasada działania była prosta: silnik parowy napędzał umieszczone pomiędzy magnesami zwoje miedzianego drutu. W drutach powstawał prąd rozsyłany do abonentów.

126 lat polskiej energetyki

Do Polski prąd zawitał dość szybko, ale tylko tam, gdzie rządili Polacy – w Galicji. Pierwsza elektrownia miejska powstała w Bielsku-Białej w 1893 r., w kolejnym roku zaś we Lwowie i w Przemysłu. Nieco później otwarto elektrownię w Gnieźnie, w zaborze pruskim. Zabór rosyjski musiał czekać na elektryfikację do kolejnego stulecia. Przyczyny tego stanu rzeczy były proste – polskie miasta w zaborze rosyjskim rządzone były przez carskich urzędników.

W Warszawie oświetlenie elektryczne pojawiło się wprawdzie już w 1879 r., ale tylko w fabrykach, gdzie silniki parowe i generatory prądu stanowiły część wyposażenia. Dotarcie jednak do szerszej publiczności zajęło ponad 20 lat. O zgodę na zbudowanie elektrowni trzeba było prosić rosyjskich urzędników, a ci – nawet uchodzący za życzliwego Polakom prezydent Warszawy Sokrates Starynkiewicz – zgody nie chcieli wydać. Prawo do oświetlania miasta miało bowiem przedsiębiorstwo gazowe, trzeba było czekać na wygaśnięcie tej koncesji albo płacić wysokie łapówki, na co nie było pieniędzy. Pierwsza elektrownia w Warszawie powstała zatem dopiero w 1903 r. (trzeba jednak pamiętać, że dwa lata wcześniej zbudowano elektrownię w Radomiu).

Gdy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, w jej granicach znalazło się niespełna 300 elektrowni, głównie niewielkich, przemysłowych, zasilanych maszynami parowymi, rzadziej silnikami Diesla lub wodą. Władze odrodzonej Rzeczypospolitej postanowiły zelektryfikować kraj w ciągu kilkudziesięciu lat (elektryfikację polskiej wsi planowano zakończyć w latach 50.). Po 20 latach liczba elektrowni przekroczyła 3 tys. Postanowiono oprzeć się na odnawialnych źródłach energii i zbudować sieć łączącą wszystkie miasta w Polsce. Prąd dla Warszawy miała od 1941 r. dostarczać elektrownia wodna w Rożnowie, na

Dunajcu. Niestety, wybuchła wojna, elektrownię tę otwierali już Niemcy, a linia przesyłowa została zniszczona podczas „wyzwalań” Polski przez Rosjan.

Nowi władcy Polski nie bawili się w subtelności. Polska Rzeczpospolita Ludowa potrzebowała prądu, aby budować czołgi i sprzedawać stal. Nowe elektrownie były opalane łatwo dostępnym węglem, a elektrownie wodne – w Solinie czy Nidzicy – powstawały przypadkowo, jako realizacja przedwojennych jeszcze planów. W latach 70. XX w. udało się wreszcie – z 20-letnim opóźnieniem – zelektryfikować do końca polską wieś. W tym czasie stawało się już jasne, że węgla kamiennego może dla energetyki zabraknąć. Pod Bełchatowem odkryto jednak olbrzymie złoża węgla brunatnego i zbudowano tam największą polską elektrownię ciepłą. Postanowiono również zbudować elektrownię jądrową w Żarnowcu.

Żarówka – dzięki niej produkcja prądu stała się opłacalna. FOT. ARCHIWUM



Elektrownia jądrowa nie różni się zbyt wiele od elektrowni wodnej czy wiatrowej, a już najmniej od ciepłej. Generatory prądotwórcze elektrowni ciepłej obracane są turbinami napędzanymi przez parę produkowaną w kotłach. W elektrowni atomowej para pochodzi z wody, którą ochładzany jest reaktor. Po upadku Związku Sowieckiego – i po upadku Polski Ludowej – zrezygnowano z tego pomysłu, pamiętano bowiem katastrofę w Czarnobylu. Zmniejszyło się również zapotrzebowanie – przestano budować maszyny, blachy pancerne i statki na eksport do Związku Sowiec-

kiego, a polski przemysł stawał się mniej prądożerny.

Po co nam prąd?

Żarówki są najbardziej efektywnym przykładem użycia prądu – aby się o tym przekonać, wystarczy wyobrazić sobie wakacyjny wyjazd do krainy, gdzie źródłami światła nocą są wyłącznie gwiazdy, świece i lampy naftowe. Do oświetlania używa się jednak niewielkiej części wyprodukowanej elektryczności. Stosuje się ją przede wszystkim w produkcji. Większość maszyn fabrycznych ma właśnie taki napęd – jest on wydajny i można nim łatwo oraz precyzyjnie sterować. Nawet w lokomotywach spaliniowych silnik Diesla służy do wytwarzania prądu, który napędza silniki elektryczne umieszczone przy osiach kół – niepotrzebne są wówczas skomplikowane skrzynie biegów, układy przeniesienia napędu i sterowania mocą.

Obok przemysłu transport jest kolejną dziedziną, która nie istniałaby bez prądu. Pierwsze elektrownie miejskie powstały po to, żeby napędzać tramwaje. Dzisiaj wiele osób może uważać ten środek transportu za przeżytek, jednak na przełomie wieków XIX i XX zrewolucjonizował on życie miejskie: dzięki tramwajom robotnicy nie musieli mieszkać w dzielnicach fabrycznych, tylko w ładnych domach zbudowanych wśród ogrodów. Tramwaje elektryczne zmieniły życie ludzi i zmieniły miasta, a kilkadziesiąt lat później – już w postaci pociągów elektrycznych – przyczyniły się do stworzenia tożsamości europejskiej. Cechą, która wyróżnia Europę na tle innych kontynentów, są szybkie i sprawne elektryczne połączenia kolejowe.

Bez elektrowni nie istniałaby również – szeroko pojęta – łączność. Być może funkcjonowałyby depesze iskrowe, ale już nie telefony, radio, telewizja, a nawet kino. Nie istniałyby również telefony komórkowe chociażby z tego powodu, że nie istniałyby akumulatory. No bo jak byśmy je ładowali? Przede wszystkim jednak świat bez elektrowni byłby światem bez komputerów, bez ich możliwości obliczeniowych i bez ich zdolności do przechowywania danych. Wszystko to opiera się bowiem na elektryczności i magnetyzmie – tak samo jak cały nasz świat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

1 DYWIZJA PANCERNA
DOWODZONA PRZEZ
GEN. STANISŁAWA MACZKA
OTRZYMAŁA
26 PAŹDZIERNIKA
1944 ROKU NOWE
ROZKAZY BOJOWE.

ZE WZGLĘDU
NA BARIERĘ LASÓW
OD BREDY DO ALPHEN,
ŁATWYCH DO SKUTECZNEJ
OBRONY, JEDYNYM
SPOSOBEM WYKONANIA
ZADANIA JEST SKUPIĆ
ODDZIAŁY DYWIZJI NA JEJ
PRAWYM, T.J. WSCHODNIM
SKRZYDLE I UDERZYĆ SIŁNIE
POPRZECZ LUKĘ W LASACH
Z OBSZARU ALPHEN-TEROVER
W KIERUNKU OOSTERVIJK-GILZE
I PRZEZ ŚCiągnięcie NA SIEBIE
NIEMCÓW, NIE DAĆ IM MOŻNOŚCI
DO PRZERZUCENIA SIĘ
Z TEGO REJONU
NA ZACHÓD...



NIEMCY BUDUJĄC
UMOCNIENIA NA TERENIE
BREDY, SPODZIEWALI SIĘ
ATAKU Z ZACHODU.
TYMCZASEM TEN NASTĄPIŁ
Z PRZECIWNEGO KIERUNKU.
W NOCY Z 28 NA 29 PAŹ-
DZIERNIKA UDAŁO SIĘ
POLSKIM ŻOŁNIERZOM
Z ZASKOCZENIA ZDOBYĆ
WSCHODNIE PRZEDMIEŚCIA
MIASTA.

29 PAŹDZIERNIKA 1944 R.



UDAŁO SIĘ
ZREALIZOWAĆ
TEN CEL
MIASTO NIE
ZOSTAŁO
ZNISZCZONE,
A PO WYPARCIU
NIEMCÓW
MIESZKAŃCY
BREDY
WYSZLI ABY
RADOŚNIE
POWITAĆ
POLSKICH
ŻOŁNIERZY.



11 LISTOPADA 1944 ROKU W BREDZIE
ZORGANIZOWANO DEFILADĘ, W CZASIE
KTÓREJ PRZEMÓWILI BURMISTRZ
BARTHOLOMEUS W. T. VAN SLOBBE.



JESTEŚMY
WAM, POLACY,
GŁĘBOKO WDZIĘCZNI
ZA WASZ UDZIAŁ W WY-
WOLENIU NAS. NIE ZAPOMNI-
MY TEGO NIGDY. MY, HOŁENDRZY,
ZAWSZE CZULISMY WIELKĄ
SYMPATIE DLA WASZEGO
NARODU.

PO LATACH GENERAL MACZEK
NAPISAŁ W SWOICH WSPOMNIENIACH:
„BREDA CZEKAŁA NA UWOLNIENIE.
BREDA - STOLICA PROWINCJI
PÓŁNOCNEGO BRABANTU - STOLICA
KATOLICKIEJ CZĘŚCI HOŁANDII.
BREDA SIĘ NIECIERPLIWIŁA.
I TO Z DUŻĄ DOZĄ SEUSZNOŚCI,
GDYŻ WIADOMOŚCI, DALEKI HUK DZIAŁ,
NERWOWE PRZESUWANIE ODDZIAŁÓW
NIEMIECKICH - WSZYSTKO TO
WSKAZYWAŁO, ŻE ALIANCE JUŻ BLISKO;
A TYMCZASEM W OCZACH GIEŁKI
POSZCZEGÓLNI CZEŁKOWIE
HOŁENDERSKIEGO RUCHU OPORU,
A WYOBRAŹNIA ZATRZYMYWAŁA SIĘ
Z PRZERAŻENIEM PRZED WIZJĄ
MOŻLIWYCH OKROPNOŚCI WOJNY”.



MIESZKAŃCY BREDY
PANIĘTAJĄ O POLSKICH
ŻOŁNIERZACH.
26 PAŹDZIERNIKA 2019 ROKU
ODBYŁ SIĘ UROCZYSTOŚCI
75. ROCZNICY WYZWOLENIA
MIASTA. PRZYBYLI NA NIE
OSTATNI ŻYJĄCY
„MACZKOWCY”
I TAK JAK 75 LAT WCZEŚNIEJ,
BYLI WITANI JAK
BOHATEROWIE.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Pochwała niemieckich antykomunistów

W ciągu dwóch dni, 9 i 10 listopada 1989 r., upadł mur berliński symbolizujący na całym świecie koniec komunizmu. W Polsce jest to rocznica nielubiana. Polska elita polityczna, od lewa do prawa, niemal konsekwentnie od 30 lat zaklina rzeczywistość, prawiąc morały (głównie w Polsce) o naszym pierwszeństwie, jeśli chodzi o pożegnanie z komunizmem.

Mam do tego szczególnie dystans, bo dobrze wiem, jak wyglądał ten upadek komunizmu dokonany za naszą sprawą... Z zakompleksionym agentem bezpieczeństwa jako przywódcą antykomunistycznego ruchu, z kontrolowanymi i negocjującym odchodzeniem od komunizmu elit solidarnościowych do spółki z komunistami, z 35-procentowymi wolnymi wyborami, z wyniesieniem Jaruzelskiego do godności prezydenta PRL/RP, z szefem bezpieczeństwa jako ministrem spraw wewnętrznych w „pierwszym niekomunistycznym rządzie”, z przyzwoleniem na przemysłowe niszczenie dokumentów służb specjalnych i partii, z abolicją za zbrodnie komunistyczne, z faktycznym utrzymaniem decyzji o likwidacji Stoczni Gdańskiej i dosłownym zaoraniem historycznego miejsca realnego pokonania komunistów w 1980 r. tak, by to miejsce nigdy nie stało się symbolem walki Polaków z komunizmem...

Upadek muru berlińskiego wywoływał niepokój elit III RP i był postrzegany jako zagrożenie dla postkomunistycznej Polski. Przed laty opisałem to za pomocą ujawnionych notatek wywiadu cywilnego z 1990 r., który alarmował Mazowieckiego z Jaruzelskim o konsekwencjach antykomunistycznego przewrotu w NRD.

Na szczególną uwagę zasługuje dokument z 20 stycznia 1990 r., podpisany przez płk. Henryka Jasika, dyrektora Departamentu I MSW. Szef wywiadu zwracał m.in. uwagę, że podczas szturm na berlińską siedzibę Stasi „w jednym z przeszukiwanych pokoi znaleziono, a następnie zabezpieczono materiały dot. działalności Solidarności i jej przywódcy oraz korespondencję obywateli polskich (materiały te zostały uzyskane w wyniku działań operacyjnych MSW NRD)”. Jasik dodawał, że dokumentacja dotycząca współpracy wywiadowczej NRD z bratnimi krajami socjalistycznymi, w tym z wywiadem PRL, została zniszczona „bądź zmikrofilmowana i w kontenerach przekazana partnerom radzieckim na przechowanie”.

**/ Upadek muru
berlińskiego wywołał
niepokój elit III RP
i był postrzegany jako
zagrożenie dla nich**

W świetle dokumentu płk. Jasika możemy uznać za pewne, że po 1990 r. posiadanie wcześniej przez Stasi, a więc i przez KGB (niezależnie od posiadanych przez nią innych źródeł informacji), dossier na temat Solidarności i Wałęsę stało się wspólną wiedzą Rosji i zjednoczonych już wkrótce Niemiec. W ten sposób polska nierozliczona przeszłość stała się przedmiotem wielkiej polityki. Rodzi się pytanie: Na ile owo dossier na temat Solidarności i „jej przywódcy” zgromadzone w rękach naszych międzynarodowych partnerów

po 1990 r. miało znaczenie w naszej wewnętrznej i zewnętrznej polityce?

W jakimś sensie odpowiedź na to pytanie zawiera drugi odkryty przeze mnie przed laty dokument. Podpisał go również płk Jasik, 27 lutego 1990 r. Notatka dotyczy podejmowanych na początku 1990 r. przez brytyjskie służby wywiadowcze (MI6) prób werbunku polskich dyplomatów. Jasik cytuje treść oferty podpisanej przez „Edwarda”, którą otrzymali niektórzy polscy dyplomaci w Londynie 29–30 stycznia 1990 r. Brytyjczycy zwracali wytypowanym do werbunku uwagę na „niepewną przyszłość, zagrażającą ich karierom”. Jasik konstatuje, że podobne próby podejmują także Amerykanie i Francuzi, którym też zależy na „rozbudowie sieci agenturalnej w krajach Europy Wschodniej, m.in. w Polsce”. Dokument ten skłania do smutnej konstatacji, że komunistyczna przeszłość dyplomatów III Rzeczypospolitej była powodem zainteresowania ze strony obcych służb specjalnych. Zbiórzy, ankietowy i rutynowy charakter oferty werbunkowej wobec aparatu dyplomatycznego PRL/III RP wskazuje na pogardliwą ocenę jego odporności na zdradę.

Tak oto zwalczanie rocznicy upadku muru berlińskiego staje się w Polsce czymś naturalnym. Zamiast szturm na archiwum bezpieczeństwa mieliśmy niemalże usankcjonowane przez państwo niszczenie akt w tym samym czasie, kiedy niemieccy antykomuniści zajmowali siedziby Stasi, zabezpieczając archiwum. Dostrzec to można jednak wyłącznie z perspektywy antykomunistycznego światopoglądu, o którym pisał kiedyś Józef Mackiewicz. ©©



TYLKO TRAFIONE PREZENTY



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIEŹOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK